

Rafał GAN-GANOWICZ

K O N D O T I E R Z Y

MOTTO:

*"Poprzez czarną narodową noc,
poprzez bagno tchórzostwa i podłości
pójdą młodzi zawzięci i prości
stawiać prawdy swe, jak kosy na sztorc..."*

/Józef Łobodowski: "Polska rewolucja"/

COPYRIGHT BY AUTHOR

COPYRIGHT FOR POLAND BY SOLIDARNOŚĆ WALCZĄCA

O AUTORZE

RAFAŁ GAN-GANOWICZ urodził się w Warszawie w 1932 roku. Jest dziennikarzem. Mieszka w Paryżu. Jako kilkunastoletni chłopiec przeżył powstanie warszawskie, w którym zginął jego ojciec, żołnierz AK /matka zginęła już w 1939 roku/. Po powstaniu uciekł z transportu w drodze do obozu w Pruszkowie. W 1948 zostaje członkiem grupy antykomunistycznej młodzieży wzorującej się na tradycji "Małego Sabotażu" harcerzy w czasie wojny: ulotki, napisy na murach, kolportaż prasy. Podczas jednej z akcji ubecki patrol zaczyna strzelać. Są pierwsze ofiary. Odtąd chłopcy "pracują" z własną obstawą, która również strzela. W 1950 roku grupa wpada. Gan-Ganowicz, ostrzeżony w ostatniej chwili, postanawia uciec na Zachód. Trzydzieści godzin spędzonych pod pociągiem z Warszawy do Berlina z Walterem P38 w ręku... Historia tej ucieczki opisana jest na początku wspomnień.

Po trzyletnim pobycie w Niemczech jedzie do Francji. Jest żołnierzem Oddziałów Wartowniczych przy armii amerykańskiej. Równolegle przechodzi szkolenie dla komandosów. Dyplom porucznika Wojska Polskiego dostaje z rąk generała Andersa.

Następnie zostaje nauczycielem w gimnazjum dla polskich uchodźców w Les Ageux pod Paryżem. "Profesorowanie" nie trwa długo. Nie pozwala na to temperament Rafała. Będąc już przekonany, że w najbliższym czasie nie wyląduje w Polsce na spadochronie, Rafał postanawia walczyć przeciw komunistom z bronią w ręku wszędzie tam, gdzie to jest możliwe. W 1965 roku zostaje najemnikiem w Kongo. Jest jednym z trzech dowódców kierujących obroną Stanleyville i pacyfikacją Prowincji Wschodniej. Po kapitanie Toporze-Staszaku przejmuje dowództwo słynnego batalionu, który miał szczęście do polskich dowódców, batalionu "Czerwonych Diabłów" /żołnierze tego batalionu nosili czerwone berety i czerwone chustki na szyjach/. W Kongo pozostaje przez rok. Po upadku Czombego wraca do Europy, a następnie zostaje najemnikiem w Jemenie. Walczy po stronie rojalistów przeciwko promoskiewskim siłom "republikańskim" wspieranym militarnie przez Sowieców.

Walkom w Jemenie poświęcona jest druga część książki Gan-Ganowicza, książki jeszcze nie skończonej, której fragmenty dotyczące Konga ukazywały się jedynie w polonijnej prasie amerykańskiej. Lektura tych fragmentów, a także tych rozdziałów, które znam w maszynopisie, pozwala mi stwierdzić, że książka Rafała jest pozycją zupełnie wyjątkową. Są to jedyne - znane mi - wspomnienia Polaka, który był "psem wojny", jednym z najemników obszczeakiwanych przez prasę peerelowską w czasie wojny domowej w Kongo i w Jemenie, najemników, którzy sami siebie nazywali ochotnikami, ponieważ słowo "najemnik" w stosunku do większości z nich nie było prawdziwe. Już sam ten fakt przesądza o ważności książki. Ważności jako dokumentu. Ale oprócz tego książka Rafała jest - a nie są to komplementy prawione przez przyjaciela - prozą artystyczną w pełnym tego słowa znaczeniu, sytuującą się gdzieś pomiędzy wspomnieniem, reportażem a beletrystyką.

Książka ta powinna być jak najszybciej wydana i dotrzeć do Czytelnika, szczególnie w Kraju. Zmieniłaby w jego świadomości obraz "psa wojny" i motywacji, które nim kierowały. Pomijając względy ideologiczne i dokumentalne byłaby także pasjonującą lekturą. Tej satysfakcji Rafałowi życzę.

Jacek BIEREZIN

OD AUTORA

Nie jestem pisarzem. Byłem nauczycielem, kierowcą, stróżem nocnym, spadochroniarzem, komandosem, doradcą wojskowym, monterem na rusztowaniu, elektrykiem przemysłowym /jak Wałęsa/, kierownikiem warsztatu, dziennikarzem...

Książka ta powstała na skutek usilnych namów przyjaciół, którzy przy winie czy przy whisky, ale zawsze przy papierosie słuchali moich wspomnień.

Pierwszym był Jurek Sowiński, dziś dziennikarz w Radio France Internationale, który już w latach siedemdziesiątych namawiał mnie na spisanie wspomnień. Drugi był Henio Skwarczyński, który popchnął mnie do publikowania opowiadań: drukowała je później amerykańska prasa polonijna. Niektóre z nich wchodziły w skład tej książki. Największą jednak rolę odegrał Jacek Bierezin, którego pozytywna opinia o moich opowiadaniach przewyciężyła mój strach przed czytelnikiem. Jackowi zawdzięczam również przedmowę, która służyła jako wstęp do opowiadań drukowanych w "Tygodniku Nowojorskim".

Im to wszystkim trzem serdecznie dziękuję.

Książkę tę dedykuję "Solidarności Walczącej".

Autor

WSTĘP

NAJEMNICY? TO STARE JAK ŚWIAT...

Wojska najemne mają długą historię. Polakom wystarczy przypomnieć dzielnie walczące za polskie pieniądze najemne oddziały niemieckie, o których pisze Sienkiewicz w "Potopie", albo słynnych lisowczyków, którzy walczyli po stronie Dymitra Samozwańca. Jeden z tych dzielnych wojaków został uwieczniony przez Rembrandta. Już greccy hoplici służyli za pieniądze egipskim faraonom. Pierwsze nazwisko utrwalone w historii to Ksenofont. Filozof i pisarz o duszy poszukiwacza przygód wziął udział w wyprawie dziesięciu tysięcy najemników greckich, zaangażowanych przez Cyrusa Młodszego, który wystąpił przeciw swemu starszemu bratu, Artakserksesowi. Mimo cudów męstwa, dokonywanych przez Greków, zwolennicy Cyrusa załamałi się w bitwie pod Kunaksa, w pobliżu Babilonu, w roku 401 przed Chrystusem. Powrót Greków do ojczyzny poprzez wrogie terytoria opisał później Ksenofont. Znacznie później, gdyż wpierw służył jeszcze wojskowo w Tracji i Sparcie.

Zarówno Rzym, jak i Kartagina korzystały z usług słynnych z umiejętnego miotania kamieni procą, wyspiarzy z Balearów oraz niemniej słynnych łuczników z Krety. Rewoltę najemników opisał Flaubert w "Salambo". Ale dopiero w epoce dekadencji imperia starożytne rozpowszechniły użycie wojsk najemnych do obrony swego stanu posiadania. Rzym płacił za swą obronę barbarzyńcom: Alamanom, Sarmatom i innym.

Siły wojskowe Bizancjum przez długie wieki składały się z cudzoziemców: Germanowie i Normanowie stanowili elitarny korpus straży cesarskiej. W armii Bizancjum służyli również Frankowie. Nie tylko zresztą chrześcijanie byli na żołdzie cesarstwa. Nie brakło również dawnych nieprzyjaciół: Turków, Scytów i Pieczyngów...

W Europie Zachodniej dopiero w późnym średniowieczu wrócono do zwyczaju najemnictwa wojsk. W XIII w. szczególnie książęta wynajmowali wojskowych na udział w jednej tylko kampanii. Francusko-angielska wojna stulecia była okresem rozkwitu wojsk najemnych. Jeden z wodzów najemniczych tego okresu, Arnaud de Cervol, znany był z okrucieństwa. Opanował wiele zamków i wyduszał haracz z wielkich włości. Nawet papież w Avignon płacił mu ogromne sumy, by mieć spokój.

Włochy były w tym okresie całkowicie w rękach wodzów najemnych wojsk, których nazywano condottieri /stad przydomek, jaki mi nadał w Kongo uroczy belgijski misjonarz/. Każde miasto, każda prowincja miały swoich "condottieri" i to niekoniecznie Włochów. Wystarczy wspomnieć słynnego Anglika Johna Hawkinsa. Aby uniknąć rozboju w czasach pokojowych włoscy książęta pierwsi zrozumieli konieczność opłacania najemników nawet wtedy, gdy nie prowadzili wojny. Był to początek istnienia wojsk zawodowych.

W początkach renesansu Karol Śmiały stworzył oddziały najemnej piechoty, która go zresztą zdradziła, gdy nie miał czym płacić, w bitwie pod Nancy, co przypieczętowało jego koniec. W tych też czasach rozniosła się sława wojenna Szwajcarów, toteż książęta na wyścigi kupowali sobie ich usługi. Niebawem na wielu polach bitwy oddziały szwajcarskie znajdowały się często w przeciwnych obozach. Franciszek Pierwszy, którego kawaleria pokonała Szwajcarów, zapalał mimo to takim podziwem dla ich męstwa, iż zawarł z Helwecją pokój wieczysty, w którego akcie figurował obowiązek dostarczenia pod sztandary królewskie sześciu tysięcy żołnierzy. Korpus Szwajcarski przetrwał w armii francuskiej aż do rewolucji. Po dziś dzień Gwardia Szwajcarska służy Papieżowi.

W osiemnastym wieku w służbie króla Francji były całe pułki niemieckie, szkockie, a nawet jeden turecki. Nie tylko wojska były cudzoziemskie: ich wodzowie również. W siedemnastym i osiemnastym wieku wielu słynnych dowódców przebiegało Europę ofiarowując swą szpadę księżętom, którzy mogli ich opłacać pieniędzmi i honorami. Jednym z najsławniejszych był Maurycy von Sachsen, syn nieślubny księcia Augusta Saksońskiego i księżny Aurory Duńskiej. Zaczął walczyć po stronie cara Piotra Wielkiego przeciw Szwedom, a później przeciw Turkom. Następnie udał się do Francji, gdzie do dziś jest sławny we francuskim brzmieniu imienia i nazwiska: Maurice de Sachse, uzyskawszy uprzednio tytuł księcia Kurlandii. Został marszałkiem Francji po wygranej bitwie pod Fontenoy i zmarł w roku 1750 w pałacu Chambord nad Loarą.

Mniej więcej w czasach francuskiej rewolucji następuje zanik klasycznego typu żołnierza-najemnika. Od tej pory przeważa uwarunkowanie ideowe. Najemnicy służą sprawie, którą uważają za słuszną; pojęcie to było zupełnie obce ich poprzednikom, dla których znaczenie miał tylko pieniądź. Takim najemnikiem nowego typu był Francisco Miranda, Hiszpan z Wenezueli, który już w wieku lat siedemnastu, dosłużywszy się stopnia kapitana w rodzimej armii, zaangażował się do francuskich wojsk wspierających Waszyngtona. Następnie walczył w szeregach francuskiej armii republikańskiej i dosłużył się stopnia generała. Po czym wrócił do Wenezueli i poświęcił się walce o niepodległość swego kraju. Takim był też Garibaldi. Ten Wioch urodzony w Nicei walczył w Brazylii przeciw Argentynie, a następnie oddał swą szpadę na usługi Peru. Zdobywszy sławę w czasach włoskich wojen o niepodległość walczył przeciw Francuzom, co nie przeszkodziło mu wspomóc Francję w wojnie z Prusami w roku 1870.

Rewolucja francuska przyniosła koncept wojsk poborowych. W dziewiętnastym wieku armie poborowe stały się regułą. Toteż nastąpił zmierzch oddziałów najemnych. Jednak w tym czasie Ludwik Filip stworzył Francuską Legię Cudzoziemską... którą z miejsca użył do stłumienia rewolty Adb-el-Kadera w Algierii, a następnie "pożyczył" zaprzyjaźnionym monarchom, jak na przykład królowej Hiszpanii...

Po pierwszej wojnie światowej wielu pilotów wojskowych znalazłszy się bez pracy poszło walczyć do Chin. Byli tam i Francuzi, i Niemcy, a nawet Amerykanie. Jeden z tych ostatnich, niejaki Smily, walczył później po stronie Negusa przeciw Włochom. Z dniem wybuchu drugiej wojny światowej zaoferował swe usługi Francji. Spotkawszy się z odmową poszedł walczyć - za darmo - przeciw Sowiecom w Finlandii

Po drugiej wojnie światowej wydawało się, że najemnicy należą wyłącznie do historii. Ale dekolonizacja, wrzenie w Afryce i na Bliskim Wschodzie oraz trudne narodziny tamtejszych struktur państwowych stworzyły na nich nowy popyt. A podaż zapewnili zdemobilizowani żołnierze wojen w Korei, Wietnamie i Algierii. Ci już jednak walczyli za jedną sprawę i z jednym wrogiem, choć na wielu frontach. Do tego gatunku należał - po przeciwnej stronie - Che Guevarra. Walczył za pieniądze, ale wyłącznie na rzecz czerwonych.

ŻEGNAJ BEZPIEKO

Rafał, organizacja wpadła, szukają cię". Te kilka słów rzuconych śpiesznie przez kolegę w sobotę 24 czerwca 1950 roku, spowodowało największy przełom w moim życiu. Czasy były stalinowskie. Prześladowano już nawet nie tylko za czyny, ale i za słowa. Starano się zabić myśli. Garstka młodzieży walcząca o źdźbło prawdy przy pomocy ulotek i napisów na murach zrujnowanej jeszcze Warszawy ryzykowała więcej niż życiem. Tortury były na porządku dziennym. Bałem się. Od tego momentu byłem zwierzyną łowną. Zapanować nad zdenerwowaniem i strachem było trudno. Powoli jednak ochłonałem. Trzeba było działać. Do mieszkania wrócić nie mogłem - a tam miałem pieniądze i... broń.

Och, nie powiem, że byłem zupełnie nieprzygotowany. O możliwości wsypy myśleliśmy wszyscy. Ale jakoś abstrakcyjnie. Plan miałem taki: dostać się do Wrocławia, gdzie mogłem ewentualnie otrzymać fałszywe papiery jako niby repatriant ze wschodu. Ale Wrocław daleko, a ja się bałem, by nie dostać się żywym w ręce czerwonych. Pojechałem na Żoliborz, w pobliże domu, w którym mieszkałem. Po dłuższej obserwacji spostrzegłem idącego ulicą synka dozorcę. Dwunastoletni Wojtek, rudy jak wiewiórka warszawski ulicznik, już nie raz oddawał mi przysługi. Byłem pewny jego dyskrecji. Gdy gwizdnąłem przybiegł w krzaki, gdzie byłem ukryty. Potwierdził, że "smutni panowie" zwiedzili już moje mieszkanie, ale na razie bez rewizji, wyszli i teraz czekają w bramie naprzeciwko na moje pojawienie się.

Mój młody przyjaciel zgodził się wynieść z mieszkania pieniądze i pistolet. Gwizdząc głośno pobiegł i zniknął w czeluści klatki schodowej. Na ulicy nikt nie drgnął. W chwilę później miałem przy sobie sporą sumę pieniędzy, a pasek od spodni obciążył mi Walter P38. Poczułem się rażniej. Udałem się na dworzec, by zorientować się w rozkładzie jazdy. Ku mojemu przerażeniu zauważyłem, że kasy są pod obserwacją. Pociąg do Wrocławia odchodził o dziesiątej wieczorem. Była dziewiąta. Dałem nura w tłum i znalazłem się na ulicy. Ukryłem się w ruinach i zapaliłem papierosa. Za piętnaście dziesiąta zebrałem się na odwagę i wróciłem na dworzec. Wmieszany w tłum, bez biletu wtoczyłem się na peron. Przeciążona obsługa nie była w stanie wszystkich skontrolować. Charakterystyczni "smutni panowie" również byli bezradni. Pociąg do Wrocławia stał. Już miałem się wcisnąć do przepelnionego wagonu, gdy zauważyłem stojący na przeciwległym torze pociąg do Berlina. A może uciec za granicę? Miałem jeszcze kilka minut. Wszedłem do pociągu berlińskiego gorączkowo rozglądając się za możliwą kryjówką. Nie znalazłem nic. Ale przypomniawszy sobie Londona, postanowiłem rzucić okiem na zewnątrz pociągu. Zajrzałem pod wagony. Między metalowymi poprzeczkami podwozia a podłogą wagonu była szczelina, w którą ktoś tak szczupły jak ja mógł się wcisnąć. Decyzję powziąłem natychmiast. Wgramoliłem się do kryjówki, urywając guziki od marynarki i tłukąc zegarek. Z drugiej strony peronu ruszył z małym opóźnieniem pociąg do Wrocławia. Kości zostały rzucone. Po pewnym czasie w wagonie nade mną zaczął się ruch. Wchodzili pasażerowie. Z desek podłogi sypał mi się kurz prosto w oczy. Chciało mi się pić i palić. Czas płynął poza kontrolą stłuczonego zegarka. Wreszcie pociąg ruszył.

Leżałem na żelaznych belkach nieamortyzowanego podwozia. Nade mną na resorach kołysał się wagon. Rozhuśtana podłoga dotykała mi piersi. Ogarnął mnie lęk. Rozdygotany wagon mógł mnie zmiażdżyć. Kurz sypał się ciągle. Musiałem zamknąć oczy. I tak mknąłem w ciemnościach ciepłej na szczęście nocy obrzucany żwirem i ogłuszony hukami kół. Przeklinałem mój pomysł. Ogarniały mnie wątpliwości, czy gdziekolwiek dojadę. A nawet jeśli tak - to mnie złapią. Ale żywy się nie dam. Postanowiłem mocno, że jeśli mnie wykryją, to sprzedam drogo swoją skórę. Powoli, z trudem zacząłem drzeć na drobne kawałki wszystkie dokumenty i papiery, jakie miałem przy sobie. Na wszelki wypadek. By nie ułatwić "im" identyfikacji zwłok. Nienawidziłem ich. Za prześladowanie patriotów, za mordowanie akowców, za "zapłutego karła reakcji"... Miałem trochę starszego kolegę. Chodził o kulach. Ranny w powstaniu. Odznaczony. Patriota. Bohater. Kaleka. Gdy zgłosił się do odpowiedniej instytucji z prośbą o stypendium jako

sierota i inwalida "czerwony" urzędnik zrzucił go ze schodów wyzywając od bandytów. Jego Kalekę. Bohatera.

Pociąg pędził dalej. Powoli uspokajałem się. W oczach kurz. W ustach piach. W uszach huk kół i świst wiatru. Nie wiedziałem gdzie jestem, ile upłynęło już czasu. Pomyślałem o kolegach. Nie wiedziałem kto wpadł, kto ocalał. Zaczęło się to niewinnie. Ulotki i afisze. Tajniacy z urzędu bezpieczeństwa nie próbowali nas nawet aresztować. Strzelali jak do kaczek. Jeden z kolegów był ranny w płuca, innemu przestrelili kolano. Jeszcze innego dobili na śledztwie. Nikogo nie wydał. Było to rok temu. Postanowiliśmy się bronić. W ścisiku tramwajowym kradliśmy milicjantom pistolety. Rozbroiliśmy w ciemnej ulicy sowieckiego żołnierza. Przy naklejaniu plakatów był teraz kolega w "obstawie". Gdy strzelano do nas, ukryta w ruinach "obstawa" odpowiadała ogniem. Ubecy stali się mniej odważni. A teraz wsypa!

W pewnym momencie pociąg zaczął zwalniać. Kutno? Koluszki? Nie wiedziałem. Ale z przerażeniem poczułem, że pod moimi plecami podnosi się metalowa sztaba i unosi mnie w kierunku rozhuśtanej podłogi wagonu. Podnosi i grzeje przez ubranie. Czuję z tyłu gorąco, a z przodu rytmiczne dotknięcia szalejącej podłogi. Zdrętwiałem ze strachu. Zorientowałem się, że leżę na przekładni hamulca. Co będzie gdy pociąg zacznie hamować mocniej? Podniesie mnie wyżej i zgniecie? Umrę z poparzenia? Gdzieś czytałem, że hamulce kolejowe rozgrzać się mogą do czerwoności. Pociąg wreszcie stanął. Na bocznym torze jakiegoś dworca. Przez szparę między ścianą wagonu a podwoziem widziałem w poświacie księżycowej zardzewiałe szyny i dębowe kłody. Z dała smętne światło latarni. Pociąg ruszył chyba po godzinie. Za tym Kutnem czy Koluszkami tory były już lepsze. Mimo napięcia nerwowego i huku momentami drzemałem. Trwało to wieczność. W ustach zgrzytał mi piach, język miałem jak kołek, a załzawione oczy obrośnięte kurzem szczypały mnie mocno. Gołe ręce i twarz smagane były dotkliwie zwirem. Na spieczonych wargach zakrzepła krew. Piekielna podróż.

Potem świst... Robiło się coraz jaśniej. Pociąg zbliżał się do Poznania. Nowy strach. Czy wsiadłem pod właściwy wagon? Bo kilka wagonów szło z Poznania do Szczecina. Pociąg zwolnił i stanął na dworcu w Poznaniu. Słysząc stuk odczepianych wagonów. Silne uderzenia lokomotywy. I nic. Długo jak wieczność: nic. Potem rosnący, zbliżający się dźwięk. Od przodu pociągu nadchodził kolejarz sprawdzający hamulce wagonów. Dużym młotem uderzał w hamulec i słuchał jaki wydaje dźwięk. Wiedziałem, że mnie wykryje. Leżąc na przekładni hamulcowej niewątpliwie musiałem przytłumić dźwięk. Niezdecydowanie ścisnąłem w rękę rękojeść Waltera. Na to nie byłem przygotowany: przecież nie będę strzelał do kolejarza! Jeszcze kilka uderzeń i już jest. Uderzył, posłuchał i... zajrzał w lufę Waltera.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy. Powoli wyprostował się, uderzył w dwie następne osie i spieszym krokiem, oglądając się czasem do tyłu, podszedł w kierunku pobliskiego budynku i zniknął mi z oczu. Myślałem gorączkowo. Co robić? Uciekać? W biały dzień, na dworcu? A jeśli pociąg ruszy w momencie, gdy będę się spod niego gramolił? Przecież to śmierć. Czas upływał. Śledziłem peron. Spodziewałem się ujrzeć biegnących milicjantów z bronią w ręku. A tu nic. Cisza. Wsiadają do pociągu nieliczni pasażerowie. Czas upływa. Nabrałem otuchy...

Gdy już pociąg opuścił Poznań i biegł przez równinę powoli odprężyłem się. Stary kolejarz najwyraźniej nie zdradził. Co sobie mógł myśleć ten człowiek o młodym chłopaku ukrytym pod wagonem kolejowym i kurczowo ścisnącym broń?

Fizycznie czułem się coraz gorzej. Od wiatru i huku bolała mnie głowa, a pragnienie stawało się nieznośne. W ustach zgrzytał piach, a śliny brakowało mi nawet na przetarcie z kurzu załzawionych oczu. Nie wiedziałem, jak daleko jest do granicy Niemiec Wschodnich ani jak ta granica wygląda. Znowu ogarnął mnie lęk. W miarę upływu czasu - którego nie mogłem mierzyć

inaczej jak tylko rosnącym zmęczeniem i bólem dręczonych na żelazie gnatów - denerwowałem się coraz bardziej zbliżającym się przejściem granicznym.

A pociąg pędził dalej... czas robił swoje: zaczął rosnać we mnie fatalizm. Zaczęło mi być wszystko jedno. Chciałem już tylko końca przygody. Niech się dzieje co chce byle szybko, byle już nie tłuc się pod pociągiem oczekując na groźną przeprawę. Wiedziałem, że w razie czego nie dam się. Wyobrażałem sobie krótką walkę, strzelaninę i serię z sowieckiego automatu. Czy śmierć boli? Przestałem się bać. Patrzyłem na siebie jakoś z zewnątrz. Jak na obcego, który jest w strasznej sytuacji.

Pociąg mknął dalej. Gdy zacząłem się znowu głowić, czy czasami nie jadę do Szczecina, nagle poczułem, że znowu unosi mnie sztaba przekładni hamulca... zaczęliśmy raptownie zwalniać. Pociąg wtoczył się między wysokie siatki ogrodzenia uwieńczone drutem kolczastym. Stanęliśmy. Wiedziałem, że to już granica.

Na górze w wagonach zaczął się ruch. Jakieś głośnie słowa, tupot nóg nad moją głową, otwieranie i zatrzasukiwanie drzwi. Szuranie przesuwanych bagaży. Trwało to chwilę i odgłosy zaczęły się oddalać ku przodowi pociągu. Z następnego wagonu wyprowadzono kogoś, kto głośno protestował. W momencie, gdy odetchnąłem z ulgą i odprężyłem się, moją uwagę przyciągnął jakiś ruch.

Od strony lokomotywy szło czterech mężczyzn w mundurach. Przez moją szparę między podwoziem a ścianą wagonu widziałem tylko nogi. Mundury były różne. Poznałem jeden polski i dwa sowieckie. Czwarty kolor spodni był mi nieznany... przypuszczałem, że to Niemiec. Od czasu do czasu mignęła mi jakaś twarz i czapka, gdy któryś z nich zaglądał pod wagon. Wagonów przede mną było pięć. Już tylko trzy... Znowu zajrzeli schylając się nisko. Wprowadziłem nabój w lufę i odbezpieczyłem pistolet. Pierwszy zginie ten, który zajrzy. Czy będę miał czas zabrać tych innych ze sobą do piekła? Ręka z pistoletem drżała mi lekko. Opanuj się Rafał! Zaglądają pod wagon bezpośredni przed moim. Idą... Przeszli. Ich niedbalstwo w służbie ocaliło mi życie. Im też. Ale oni o tym nie wiedzą.

Pociąg pędzi znowu. Tym razem nerwy mi wysiadły. Ręce mi drżą. Dopiero po długiej chwili spostrzegłem, że mam szczęki zaciśnięte do bólu. Królestwo za papierosa!

W dramatycznych chwilach najgorszym wrogiem człowieka jest jego własna wyobraźnia. Człowiek torturuje siebie samego wymyślając niebezpieczeństwa. Teraz zaczynam się bać o to, jak wysiądę na dworcu w Berlinie. W jakim Berlinie? We Wschodnim, sowieckim, czy w Zachodnim? Przestali się dręczyć, idioto! Przecież już dawno mogłeś być zabity. A żyjesz.

Znów długie godziny /ile - nie wiem/. Ale już widać, że zbliżamy się do jakiegoś miasta. Gęstnieją domy. Nie widać już pól. Przemysł. Wzdłuż toru, równo z pociągiem, jedzie autobus z młodzieżą. Machają rękami do pociągu. Ach, jakże im zazdrościłem!

Autobus został w tyle. Tory mnożą się na lewo i prawo. Znów hamulce. Stoimy przy peronie. Tupot nóg. Bagaże. Wysiadają ludzie. Zdecydowałem się. Wysunąłem się pod wagon. Rozejrzawszy się wokół, wylazłem na międzytorze. W międzyczasie pasażerowie opuścili pociąg. Byli nieliczni. Musiałem się śpieszyć. Szybko wsiałem do wagonu i wyszedłem z drugiej strony. Na zegarze dwunasta. Byłem w Berlinie. W Berlinie Wschodnim. W dali, na innym peronie, biwakowali Sowieci.

Tymczasem peron opustoszał. Źle. Liczyłem, że wyjdę z berlińskiego dworca tak, jak wszedłem w Warszawie: w tłumie. Tu tłumy nie było, a kontrola biletów odbywała się przy wyjściu z każdego peronu. Mój już był niemal pusty, tylko gdzieś w głębi kilku ostatnich pasażerów

podawało bilety do kontroli. Sytuacja niebezpieczna: musiałem przyciągać wzrok jak jedyny włos na łysej głowie. Schować się, zanim ktoś mnie zauważy! Wpadłem do ubikacji - niewielkiej budki na peronie: umywalka i dwie kabiny. Długo piłem wodę o smaku chloru i rdzy. Nad umywalką lustro. W lustrze moja twarz. Potwornie brudna: sadze i kurz, a na czole brunatny zaciek skrzące krwi: musiałem się skaleczyć, nawet tego nie czując. Brudny kołnierzyk białej koszuli, urwany guzik od marynarki... Nie przeszedłbym przez miasto zalane słońcem niedzielnego poranka!

Umyłem się szybko na ile się dało to zrobić zimną wodą bez mydła. Wyrwałem guzik ze spodni i "przyszyłem" go do marynarki znalezionym w kącie drucikiem. Otrzeptałem się z kurzu. Lustro nad umywalką skwitowało moje wysiłki życzliwszym obrazem. Wyrzałem na zewnątrz. Peron opustoszał już zupełnie, a kontroler przeciągnął w poprzek wyjścia łańcuch z napisem "gesperrt" i właśnie zniknął w czeluści wiodących w dół schodów. "Co robić?" pomyślałem naśladowując bezwiednie Lenina.

Postanowiłem czekać do wieczora w gościnnej ubikacji, a później, już pod osłoną ciemności, opuścić na wpół zrujnowany wojną dworzec. W postanowieniu tym nie wytrzymałem długo. Zegar na dworcu wskazywał dopiero południe. Południe czerwcowego, długiego dnia. Byłem głodny i zdenerwowany. Gdy jakiś podmiejski pociąg zasłonił widok na mój peron od strony dworca, puściłem się biegiem ku wyjściu. Przeskoczyłem łańcuch z napisem "gesperrt" i zbiegłem po schodach. Po chwili byłem na ulicy, po której przewijał się tłum niedzielnych spacerowiczów.

Miasto, nieznane i w mej polskiej podświadomości wrogie, nie wydało mi się zupełnie obce: może sprawił to widok ruin. Ucieszyłem się. Z warszawskich przygód wyniosłem znakomitą umiejętność "pryskania" w zakamarki spalonych domów, wspinania się po resztkach schodów oraz łażenia po gzymsach i rusztowaniach. W razie czego wiedziałem co robić! Ruszyłem więc w miasto wybierając najmniej ruchliwe i najbardziej zniszczone ulice.

Stałem przed nowym problemem. Jak znaleźć któryś z zachodnich sektorów: amerykański, brytyjski lub francuski? W którą stronę pójść? Przez jakiś czas kierowałem się według słońca na zachód, ale szybko zbeształem się za głupotę: zachodnie sektory okupacyjne wcale nie musiały się pokrywać z zachodnią, w sensie geograficznym, częścią Berlina. Majaczyły mi wspomnienia z jakichś reportaży z czasów niedawnej blokady miasta: punkty graniczne, szlabany w poprzek ulic... Myślałem, że bez większego trudu uda mi się je ominąć ruinami. Ale na horyzoncie najdłuższych nawet ulic, w które zerkałem - szlabanów nie było widać...¹ Pędziły gdzieś tramwaje, turkotała nadziemna kolejka na stalowych wiaduktach... Co robić, gdy któryś z nielicznych przechodniów spyta mnie o coś? Uciekać w gruzy? Udawać niemowę?

Po kilku godzinach kluczenia w zaułkach ruin spostrzegłem, że coś się zmieniło. Po chwili zdałem sobie sprawę: widziane z odległości wystawy sklepowe, na które nie zwracałem przedtem uwagi! Jakies weselsze, kolorowe. Czyżbym był w Berlinie Zachodnim? Nie, to niemożliwe. Przecież nie przeszedłem żadnej granicy!... Ale i ruch samochodowy większy i przechodnie lepiej ubrani! I ... amerykański jeep z napisem MILITARY POLICE! Jeszcze nie miałem pewności, ale już nabrałem nadziei, przestałem się bać. Odważyłem się wejść w jakąś bardziej ożywioną arterię. Wmieszać się w tłum. Tak, niewątpliwie to był Zachód! Przed sklepem z owocami wystawione pomarańcze. POMARAŃCZE! Owoc, który pamiętałem z dawnych, przedwojennych lat, a we współczesnej mi Warszawie niemal mityczny. Reklama coca-coli... błyszczące, amerykańskie samochody... Byłem jednak w Berlinie Zachodnim!

* * *

¹ Było to już po blokadzie, a jeszcze przed postawieniem słynnego muru. Granice sektorów oznaczone były tylko tablicami z odpowiednimi napisami. Nie pozbawione to było swoistego humoru: "Tu kończy się sektor demokratyczny, a zaczyna amerykański", lub "Tu kończy się francuski, a zaczyna demokratyczny".

Półtora roku spędziłem w obozie dla uchodźców przy ulicy Rotheraburgerstrasse 6, w dzielnicy Steglitz, w sektorze amerykańskim. Obozów w zachodnich sektorach było wiele: z "demokratycznych" Niemiec uciekały tysiące ludzi, by schronić się u imperialistów. Obóz w Steglitz był jedynym obozem dla cudzoziemców. Większość jego mieszkańców stanowili Polacy. Było jeszcze trochę Czechów, Węgrów i Rumunów. Był nawet jeden Bułgar, dezerterski z bułgarskiej misji wojskowej w Berlinie Wschodnim.

Polacy byli różni. Starzy i młodzi. Z AK i z NSZ. Byli i tacy, którzy wojnę spędzili pod sztandarami Drugiego Korpusu i wrócili do Kraju zwabieni propagandą lub po prostu gnani tęsknotą za rodziną, za ojczyzną... Wieczne podejrzania czerwonych, nękanie rewizjami, strach przed oskarżeniem zmuszały ich do ucieczki w dramatycznych nieraz warunkach. Uciekali przez Odrę. Wpław. Na łódce. Uciekali przez Nysę. Zimą, po łamiącej się pod nogami krze. Ścigani psami. Ostrzeliwani przez strażę sowiecką, przez WOP i VOPO². Wędrując nocami przez wschodnioniemieckie lasy. Zdradzani przez wrogą ludność. W Berlinie - ci co doszli - leczyli odmrożone nogi, leczyli gangrenę w rękach poranionych na zasiekach. Leczyli wyniesione z wilgotnych lasów zapalenie płuc. Leczyli rany postrzałowe odniesione na granicy lub w drodze. Leczyli rany zadane im w śledztwie przez UB.

Piliśmy spirytus apteczny mniej lub więcej rozcieńczony wodą. Paliliśmy papierosy ze skromnego przydziału. Nocne rozmowy ludzi, którzy nie widzieli przed sobą normalnej przyszłości, ludzi z nienormalnego państwa, ofiar nienormalnego porządku na świecie. Żołnierze z Obozu Zwycięzców w obozie kierowanym przez zwyciężonych... Byłem wśród nich najmłodszy. Z ich snutych nocami opowieści czerpałem "naukę o Polsce i świecie współczesnym", jakiej nie dałaby mi żadna inna szkoła. Bo obóz dla cudzoziemskich uchodźców przy Rthembergerstrasse był szkołą. Szkołą goryczy i tłumionej żądzy zemsty, szkołą nienawiści do czerwonego.

² VOPO - skrót od "Volkspolizei", wschodnioniemieckiej policji.

KONGO

W PRZEDSIONKU WIELKIEJ PRZYGODY

Było parno. W powietrzu unosił się zapach tropikalnej roślinności. Była noc. Na wprost mnie Krzyż Południa. Ten mityczny dla Europejczyka conradowski gwiazdozbiór zasłonięty był przed moim wzrokiem przez wysoki budynek hotelu Baccara. Tylko przed wzrokiem. Bo wyobraźnia wyczulona jeszcze na egzotykę chłoneła otoczenie widzialne i nie widzialne. Byłem dopiero drugi dzień w Afryce. W ciemności tropikalnej nocy miasto jarzyło się różnokolorowymi światłami. Z dala dochodziły dźwięki muzyki o zwariowanym, pulsującym rytmie. Miasto zdawało się drgać w takt tego rytmu. Leopoldville, stolica Konga³.

Siedziałem na bambusowym wyplatany fotelu, na balkonie pierwszego piętra "buildingu". Nie dowiedziałem się nigdy, kto tak nazwał dwupiętrowy budynek stojący wśród drzew, a służący jako miejsce tranzytowe dla najemników. Najemnicy. Psy wojny. Les mercenaires. Soldiers of fortune. Byłem jednym z nich od trzech dni.

Ze szklanką whisky w ręku wsłuchiwałem się w płynące z miasta dźwięki, chłonałem zapach tropików. Całym organizmem czułem oczekującą mnie Wielką Przygodę. Z dołu, z pierwszego piętra, dobiegała śpiewana przez kilka głosów męskich melodia marszu Pierwszego Pułku Spadochroniarzy Legii Cudzoziemskiej. To moi przyszli współtowarzysze, których alkohol przeniósł w czasy, gdy walczyli gdzie indziej, pod innym niebem. Choć chyba nie o inną sprawę. Czy moi nowi koledzy wspominali Wietnam, czy wojnę w Algierii? Nie wiedziałem. Psy wojny? Na pewno. Wojna była ich żywiołem i narkotykiem. Najemnicy? Niezupełnie. Jeśli najemnik jest w stosunku do żołnierza tym, czym prostytutka w stosunku do kochanki - to autentycznych najemników wśród nas nie było. Ci żołnierze nie sprzedawali się ani każdemu kto płacił, ani nawet temu, kto płacił więcej. Wtedy czułem to instynktownie. Dowód otrzymałem na to w kilka lat później, gdy wysłannik Fidela Castro proponował nam w paryskiej restauracji "Le Fouquet's" na Polach Elizejskich znacznie wyższe gaże i wyższe stopnie w służbie rewolucji w Boliwii. Żaden z obecnych ze mną sześciu oficerów nie zgodził się pójść "zaszczytnym" śladem Che Guevarry. A przecież naszych odpowiedników z przeciwnej strony barykady nikt nie śmie nazwać "czerwonymi najemnikami". Nawet tych, którzy jak Che zarabiali dziesiątki tysięcy dolarów i posiadali luksusowe wille na Kubie...

Whisky czy nastrój? Pograżałem się w myślach. Nawet połączenie legionowego śpiewu z rytmem muzyki czarnego lądu nie drażniło ucha, lecz upajało...

Czułem, że tych weteranów zapomnianych wojen łączy coś, co dla mnie nie jest jeszcze dostępne. Zazdrościłem im. Ale formalnie już byłem jednym z nich. Mało. Byłem oficerem. Czy dam sobie radę? Czy zyskam ich szacunek? Czy nie stchórzę? Wzdrygnąłem się. Nie wolno mi zwątpić w siebie. W tym gronie elity żołnierskiej wielu narodowości muszę się wykazać, choćby mi przyszło zapłacić najwyższą cenę.

Trzy dni temu w Brukseli, w biurze werbunkowym mieszczącym się na trzecim piętrze ambasady kongijskiej, przeszedłem komisję lekarską. Nie miałem ni płaskostopia, ni hemoroidów. Zdolny do służby. Podpisałem cyrograf. Otrzymałem bilet lotniczy. Paryż - Leopoldville. W mój uchodźczy paszport wstemplowano pierwszą z całego późniejszego szeregu egzotycznych wiz. Ze

³ Leopoldville od 1967 roku nazywa się Kinshasa, a Kongo zostało w roku 1971 przemianowane na Zair.

skromnego uchodźcy, który próbował zaspokoić swą potrzebę pracy społecznej jako nauczyciel w podparyskim liceum dla polskich dzieci - stałem się kimś innym...

Polakiem, któremu dane jest walczyć z czerwoną zarazą z bronią w ręku. Bo przez całe lata przygotowywałem się do tego myśląc, że doczekam się wreszcie walki o wyzwolenie ojczyzny. Po latach oczekiwania - olśnienie! Z komunizmem walczyć można /i trzeba/ wszędzie tam, gdzie ten rak zagraża jakiemuś społeczeństwu. Na międzynarodówkę komunistyczną - odpowiedzieć międzynarodówką antykomunistyczną. Walczyć, a nie kibicować.

Czy tamci, na dole, w barze, myśleli tak same? Antykomunistami byli na pewno. Ale w wojnie szukali czego innego. Czegoś, czego smak poznałem dopiero później: męskiej, wiernej przyjaźni, przygody, a przede wszystkim ciągłego wystawiania się na próbę. Narkotyk ryzyka. Nigdy człowiek tak się nie cieszy życiem jak wtedy, gdy o włos uniknął śmierci. Przekonałem się później, jakim rajem wydaje się życie, gdy przejdzie się przez płomień piekła. Jaką żądzę życia czuje ten, kto ociera się o śmierć, jak smakuje szklanka whisky splukująca smak potu lub krwi. Narkotyk wojny.

Rozpedziłem się. Wybiegłem w przyszłość. Wtedy, na balkonie "buildingu" w Leopoldville, jeszcze o tym nie wiedziałem. Przeczuwałem, tylko słuchając śpiewu wiecznych żołnierzy...

A czym kierował się Kowalski? Kapitan Kowalski. Człowiek, o którym słyszałem od wszystkich starych bywalców "buildingu", poszukiwaczy wrażeń pod Krzyżem Południa... Kim był ten mój rodak?

Miałem go poznać w kilka dni później. Ale już znałem go ze słyszenia. Nie jego. Raczej legendę o nim: młody oficer Drugiego Korpusu w czasie Wielkiej Wojny - osiedlił się po niej w Belgii. Imał się różnych zawodów. W ostatnich latach był kucharzem na dworze króla belgijskiego. Rzucił wszystko, by wziąć udział w wojnie jaką komuniści rozpętali w Kongo. Był tu już prawie od dwóch lat. Tydzień po tygodniu obrastał w legendę. Postać szalona. Jak Kmicic - hulaka i awanturnik. Odważny do nieprzytomności, do szaleństwa. Uwielbiany przez żołnierzy białych i czarnych. Biali cenili w nim męstwo i fantazję. No i mocną głowę przy butelce. Czarni zabobonnie wierzyli w jego gwiazdę. W niebywałe wprost szczęście człowieka, który nie unikał żadnego ryzyka. Mówili, że Kowalski ma szczęście⁴ i szli za nim w ogień. Kowalski z dziesięcioma ludźmi zdobywał miasto chronione przez 300 komunistycznych, świetnie uzbrojonych rebeliantów. Kowalski był siedem razy ranny. Kowalski wyniósł z płonącej wsi rannego żołnierza mając sam kulę w łopatce. Kowalski całe ciało, z wyjątkiem twarzy, miał w bliznach. Kowalski, Kowalski, Kowalski. Wracał w rozmowach - w stołówce, w barze i na kwaterze. Imponował odwagą starym wyjadaczom, którym z reguły nie imponowało nic. Co tu dużo mówić: dumny byłem z mojego sławnego rodaka. Trochę bardziej rozumiałem życzliwość, jaka mnie tu spotykała na każdym kroku jako Polaka.

Mój dyplom oficerski, który otrzymałem od generała Andersa, został uznany jako pełnoprawny dzięki innemu Polakowi. Był nim major Morcinek. Doktor Morcinek, szef służby zdrowia kongijskiej armii. Również ceniony przez wszystkich za odwagę, z jaką poruszał się po froncie niosąc pomoc rannym - co wcale nie należało do jego obowiązków.

Było już późno. Wstałem. Iść spać? Zbyt wiele wrażeń. Piętro niżej trwała wrzawa żołnierskich głosów. Poczulem potrzebę zanurzenia się w to, co miało stać się moim środowiskiem. Jakby sam fakt obcowania z nimi, wtajemniczonymi i wypróbowanymi, miał mnie upewnić, że się sprawdzę, że nie zawiodę, że będę ich godny. Kowalski był oczekiwany za cztery dni! Zobaczę legendę.

⁴ W języku swahili szczęście - "nasibu" - to przynoszący szczęście amulet, dobra aura, w przeciwieństwie do "hari" lub "heri" co oznacza szczęście pospolite, na przykład z powodu pełnego żołądka.

Drzewa rosnące wokół "buildingu" przypominały jarzębinę. Z bliska jednak można było zaobserwować na nich wszystkie cztery pory roku: młode listki i pączki, dojrzałe liście i kwiaty, wreszcie owoce i żółtkę, opadające listowie. Na drzewach mnóstwo ptaków i biegające szybko jaszczurki. Leopoldville jest miastem rozległym, z dużą ilością zieleni. Budynki niskie jedno- lub dwupiętrowe. Od czasu do czasu imponujący drapacz chmur. Już wtedy znać było brak nadzoru technicznego. Ze wspinających czasami budowli spadał tynk. W eleganckich dzielnicach piętrzyły się zwały śmieci. Wszędzie ogromny zgiełk. Murzyni lubią tranzystorowe radia. Rozkrzyczane dzieci, nawoływania handlarzy, kłótnie i śpiew. Na targowisku, które przełamawszy tamy kolonialnych porządków wlewało się w dzielnicę rezydencjalną - roje much. Głodne psy i równie głodne dzieci zebrały wspólnie w tłoku i brudzie. Na ogół bez skutku. Spod tynku belgijskiej cywilizacji wзираła wieczna, beztroska i bezlitosna Afryka. Na skraju targowiska zbiegowisko. To czarownik, ubrany w małpie skóry i obwieszony amuletami, wróżył amatorom z wnętrzości specjalnie w tym celu mordowanych kur. Kałuża kurzej krwi czarna była od much, które unosiły się chmurą, gdy jakiś pies próbował lizać krew, zanim zwinął się z bólu od potężnego kopnięcia w podbrzusze. I wszystko w zaduchu tropikalnego upału. Spocone twarze i ciała.

W barze hotelu Baccara panował przyjemny chłód. Zamieszkały przez zagranicznych gości hotel jeszcze starał się utrzymywać dawną świetność. Ale tu i ówdzie brakowało żarówki. Na cztery windy - dwie były nieczynne. Z niektórych skórzanych foteli wystawały sprężyny zagrażające dostojnym tyłkom dewizowych gości. Ale i tak była to oaza czystości, spokoju i chłodu...

Zwiedzanie miasta zmęczyło mnie. Sączyłem "bloody Mary" przy barze. Z głośnika płynęła melodia Platersów "Only you..." Ktoś uderzył mnie w ramię. Odwróciłem się. Stał przede mną brunet o jasnoniebieskich oczach i szczerzył zęby w uśmiechu.

"Kowalski jestem, witam rodaka"... Zerwałem się z barowego stołka. Kapitan Kowalski był niewysokim, ale świetnie zbudowanym mężczyzną, którego zgrabną sylwetkę podkreślał krój kamuflażowego spadochroniarskiego munduru. W Leopoldville najemnikom nie wolno było nosić mundurów. Ale Kowalski zawsze robił to czego nie wolno... Zimne, niebieskie oczy kontrastowały z pełnym sympatii wyrazem twarzy. Kowalski sondował mnie. Ja obserwowałem człowieka, o którym tyle słyszałem. Wygląd watażki lub korsarza. Kocia zwinność ruchów. Piękne rysy cygańskiego księcia. I te zimne, jasne oczy...

Zaprosił mnie na obiad. Umiejętnymi pytaniami i skupioną uwagą wyciągnął ze mnie wszystko. Przy deserze już znał mój życiorys. Przy koniaku i kawie zaczął mówić on. Jego motto życiowe brzmiało: "Lepiej jest przeżyć jeden dzień jak lew, niż całe życie jak zając". Tłumaczył mi "swoją" wojnę. Wojnę, którą pojmował jak Wielką Grę. Przechytrzyć przeciwnika, zaskoczyć. Niespodziewany atak, w którym odwaga i brawura mylą wroga co do sił atakującego. A później - śmiał się Kowalski - zabobon i legenda robią swoje. Przeciwnik wpada w panikę na sam dźwięk nazwiska. Ucieka przed człowiekiem, któremu najwyraźniej sprzyjają duchy. Zabobon i karabin maszynowy. Penicylina i amulet. Radio krótkofalowe i tam-tamy Bazooka i zatrute strzały. Afryka.

Wyszliśmy z baru późnym wieczorem, gdy dzienny upał zmieniał się w parną noc. I w tym wypadku legenda Kowalskiego okazała się prawdziwa: Mocną miał głowę. Światła hotelu Baccara dwoiły mi się w oczach...

W kilka miesięcy później ciężko rannego Kowalskiego ewakuowano do Brukseli. Kilka operacji postawiło go na nogi. Ożenił się z bogatą, przystojną Belgijką, która opiekowała się rannymi w szpitalu. Wyjechali na Wyspy Kanaryjskie i kupili hotel. Kowalski zainwestował

wszystkie swoje oszczędności i wysokie odszkodowanie za rany. Zapraszał mnie. Gdy po latach chciałem skorzystać z zaproszenia i napisałem do niego list - odpowiedziała mi żona:

'Mój mąż przepisał na mnie cały stan posiadania. W tajemnicy przede mną. 15 kwietnia 1971 zniknął, zostawiając list: "Wybacz, kocham cię, ale takiego życia nie mogę znieść. Nudzę się. Jadę tam, gdzie mnie jeszcze nie było. Nie czekaj na mnie. Tacy jak ja nie wracają nigdy...'"

Od 1971 roku pytam wszystkich - czy nie słyszeli o kapitanie Kowalskim.

ZIELONA DŻUNGLA I CZERWONA REWOLUCJA

Któż to dziś jeszcze pamięta? Pierwsze strony gazet. Sensacja budząca grozę. Wieści z piekła. Rozpacz rodzin pomordowanych. Rok 1965. Miasto Stanleyville⁵, stolica Prowincji Wschodniej⁶, głośne było podówczas w całym świecie z powodu krwawej rzezi, jaką podburzony przez komunistów motłoch urządził europejskiej ludności miasta.

Kongo ze swymi złożami miedzi, uranu, złota i diamentów, miało stać się czerwonym przyczółkiem do zdobycia Czarnego Łądu. Gdyby Sowietom i ich ówczesnym chińskim sojusznikom udało się położyć łapę na tym kraju i wcisnąć go w orbitę swych strategicznych planów - zagrałoby Angoli i Afryce Południowej. Gra była warta świeczki. Ale jak mówić o komunizmie w kraju w trzech czwartych zarośniętym dżunglą, gdzie ludność poza miastami, prowadzi życie koczownicze, na poły myśliwskie, gdzie tradycje plemienne i zabobony splecione w sieć zakazów, "tabu", regulują stosunki, a plemiona murzyńskie z rzadka tylko widziały białego człowieka?

Sowieccy i chińscy strategowie dywersji rozegrali partię po mistrzowsku. Agenci komunistyczni w pierwszej fazie podburzyli motłoch miejski do kradzieży i rozgrabiania mienia białej ludności. W następnej fazie, wykorzystując strach Murzynów przed zemstą białych, nakłonili ich do rzezi. Żeby nie było świadków - mówili. Żeby inni biali bali się tu wrócić i pociągnąć zbrodniarzy do odpowiedzialności. Krew zaczęła się lać strumieniami. Gwałcono kobiety, zarzynając je potem nożami. Sztachety płotu okalającego koszary udekorowano białymi dziećmi żywcem wbijanymi na ostrza. Ze szczególną gorliwością znęcano się nad zakonnicami, księżmi i misjonarzami.

W tym samym czasie komunistyczni emisariusze docierali do na pół dzikich plemion żyjących w dżungli i wchodzili w kontakt z plemiennymi czarownikami. Szamani nie lubili białego człowieka, bowiem tam gdzie wkraczał misjonarz i lekarz, tam kończyła się ich władza. "Różnć białego" było hasłem, które odpowiadało im szczególnie. Zagrały w dżungli tam-tamy. Czarownicy głosili koniec mitu białego człowieka. Uzbrojone przez Sowietów plemiona zajmowały miasta i plantacje. Upojeni haszyszem przez czarowników czarni wojownicy prześcigali się w krwiożerczości i okrucieństwie. Przez Sudan szły transporty sowieckiej broni.

Prowincja Katangi, bardziej uprzemysłowiona i cywilizowana, oderwała się od Konga. W imię świętości i nienaruszalności granic odziedziczonych po mocarstwach kolonialnych - "błękitne hełmy" Organizacji Narodów Zjednoczonych zwalczały katangijską secesję. Ale wobec pożogi, jaka zalała Prowincję Wschodnią, przywódca katangijskiej secesji, Mojżesz Czombe, zostaje premierem całego Konga. Wierne mu i wypróbowane w boju oddziały katangijskie są bowiem jedyną lokalną siłą zdolną przeciwstawić się rebelii. Czombe już w czasie katangijskiej wojny secesyjnej walczył przeciwko siłom ONZ - tu przy pomocy sprowadzonych z Europy specjalistów wojskowych różnych narodowości.

To były narodziny najemników. Wypróbowawszy ich niezwykle kwalifikacje bojowe w Katandze, Czombe stworzył z nich kadry dla oddziałów katangijskich rzuconych przeciw rebelii.

Gdy do Europy dotarły wieści o rzezi białej ludności w Stanleyville, rząd belgijski, za zgodą Czombego, zdecydował się na wysłanie pomocy. Nie Czombemu w walce z rebelią, ale białej ludności Stanleyville. Krwawa orgia trwała już długo. Spędzona w kilka punktów miasta

⁵ Dziś Kisangani

⁶ Dziś Górny Zair

wielotysięczna ludność europejska przeżywała katusze. Co wieczór pijani i odurzeni haszyszem Murzyni wywlekali dziesiątki ludzi na rzeź. Belgijskie oddziały spadochronowe, zrzucone na lotnisko w Stanleyville, szybko opanowały przyczółek, a przybyłe samolotami posiłki umożliwiły zajęcie miasta i uratowanie resztek białej ludności. Oddziały katangijskie pod dowództwem najemników przybyły do Stanleyville częściowo drogą lotniczą, częściowo zaś - prawdziwa to epopeja - drogą rzeczną, czyli grubo ponad dwa tysiące kilometrów w górę rzeki Kongo na źle do tego przystosowanych barkach, poprzez dżunglę, z której przeważające siły rebelianckie przypuszczały ciągłe ataki. Gdy trzy bataliony katangijskie znalazły się w mieście, belgijskich spadochroniarzy wycofano. Dziwne to było miasto. Część jego czarnej ludności, zamieszana w niedawne zbrodnie uciekła w dżunglę ze strachu przed karą. Ci, którzy nie uciekli, ciągle nie mogli uwierzyć, że zgodnie z dyrektywami Czombego kara ich ominęła. Czombe bowiem chciał uniknąć wciągnięcia kraju w łańcuch niekończących się rzezi. Administracja miasta znajdowała się w rękach Kongijczyków przybyłych za wojskiem do stolicy. Również sztab wojskowy był kongijski. Natomiast oddziały frontowe były katangijskie. Toteż nie brakło konfliktów. Niedawno przecież, w czasie secesji Katangi, ci ludzie walczyli przeciwko sobie. Szczęściem najemnicze kadry oddziałów frontowych i belgijscy doradcy administracji cywilnej współpracowali jako tako, choć i tu nie brakło antagonizmów...

W dawnej szkole średniej mieściła się kwatera najemników. Oficerowie zaopatrzenia i służb administracyjnych mieszkali w Hotelu Wodospadów. Belgowie z administracji cywilnej i wojskowi doradcy sztabu zajmowali hotel Stanley'a. Policja była kongijska. Ulice patrolowały oddziały katangijskie. Kongijczycy ze stolicy mówili narzeczem lingala. Katangijscy i tubylcza ludność cywilna używali języka swahili. Belgowie mówili po francusku i, rzadziej, po flamandzku. W kwaterze najemników usłyszeć można było wszystkie języki europejskie. Walki toczyły się na przedmieściach. Przez linię frontu przedzierała się do miasta czarna ludność przerażona panującym w dżungli terrorem czerwonej rebelii. Brakowało żywności i lekarstw dla ludności cywilnej, a amunicji dla wojska. Lotnisko, jedyna droga jakichkolwiek dostaw, było pod ostrzałem z pobliskiej dżungli, o czym się zresztą sam miałem przekonać...

Z grubsza o tym wszystkim wiedziałem już z gazet, ale słuchałem uważnie kapitana Kowalskiego, który objaśniał mi sytuację kraju, w którym miałem żyć i walczyć.

Kapitan Kowalski nie należał do załogi Stanleyville. Terenem jego korsarskich zagonów były plantacje cukru nad jeziorem Tanganika w okolicach miasta Uwira. Do Leopoldville przyleciał po należny jego ludziom żołd, po części wymienne do zużytej broni, po amunicję. Przyleciał starym rozklekotanym jednosilnikowym samolotem z belgijskim pilotem, amatorem silnych wrażeń. Samolot znaleźli w hangarze jakiejś opuszczonej plantacji...

Tymże dychawicznym, czteroosobowym aparatem lecieliśmy teraz nad dżunglą z Leopoldville do Stanleyville. Rudy Belg - pilot, Kowalski i ja. W ciasnej kabinie wypchanej szczelnie zaopatrzeniem było duszno. Przeciężony samolot leciał nisko. Jedyne silnik czasem się krztusił. Pod nami dżungla. W dżungli rebelia, dająca z rzadka znak, że istnieje seria z karabinu maszynowego. Nic groźnego. Byle silnik wytrzymał! Wołałem nie myśleć, co stałoby się z nami w razie awarii. A Kowalski "wprowadzał mnie w tutejszą rzeczywistość" - jak sam to określił. Mówił z przejęciem, z sympatią dla kraju, w którym przyszło mu walczyć. Murzyni są jak dzieci - tłumaczył mi. Jak dzieci okrutni i jak dzieci tegoż okrucieństwa nieświadomi. Kowalski czuł był na krzywdę kongijskiego społeczeństwa. Winił białych za kolonizację, która załamała dawne struktury plemienne, ale jeszcze bardziej winił ich za pośpieszną, nieprzemyślaną dekolonizację, która z kolei usuwała struktury kolonialne.

W ten sposób czarna ludność, której odebrano tradycje, a nie nauczono korzystania z postępu, pozostawiona sama sobie była podatna na wszystko. A co dopiero, gdy Sowieci podrzucali broń, agentów i wywrotowe hasła...

Samolot leciał wzdłuż rzeki Kongo, której brudnożółte wody toczyły się przedziwnymi meandrami poprzez skłębioną dżunglę. Jak okiem sięgnąć, aż po horyzont, widać było bezkresne kłębowisko splątanej roślinności. Dominował kolor zgniłozielony. Na wysokości ośmiuset metrów, którą osiągnął z trudem nasz przeciążony samolot - grat, czuć było wilgotny, mdły oddech dżungli i bagien. Nie widać było ani dróg, ani wsi. Nieliczna ludność zamieszkująca dziewicze lasy nie zdołała wycisnąć na nich jakiegokolwiek śladu obecności człowieka. Tylko nad samą rzeką Kongo z rzadka rozsiane plantacje świadczyły o istnieniu ludzi w tym imperium przyrody. Większość plantacji była zniszczona przez rebelię. Co się stało z ludźmi? Zdołali uciec? Zostali wymordowani? Kowalski mówił, że niestety w większości wypadków każda z plantacji, po których przesuwiał się teraz cień naszego samolotu, była miejscem tragedii, męczeństwa i śmierci. Na całej prawie trasie dwóch tysięcy kilometrów ocalało tylko kilka plantacji. Zamienione w warowne obozy, otoczone rebelią, stanowiły etapy naszego lotu wzdłuż Konga. Samolot musiał co kilkaset kilometrów lądować, by uzupełnić paliwo. Paliwo dostarczali nam bohaterscy osadnicy za garść amunicji, za jakąś broń...

I tak, skokami z plantacji kawy na plantację cukru, trwał nasz lot nad krajem, o którym jeszcze nie tak dawno nie wiedziałem nic... Gdzieś w połowie drogi nocleg w starym kolonialnym domu. Belg, który się w tym domu urodził, opowiadał o losach ojca, który ten dom zbudował. Czuję się Afrykaninem. Był kongijskim patriotą. Belgii prawie nie znał...

I ostatni skok. W dżungli, pod nami, coraz większe połacie uprawnych pól i plantacji. Sieć dróg i domy. Widać wioski murzyńskie: bambusowe chaty ustawione kręgiem dookoła centralnego placu. Puste. Nie ma nikogo. Tylko czasami, z dżungli lub ze skłębionych krzewów kawowych opuszczonej plantacji, wznosi się i biegnie ku nam struga świetlnych pocisków karabinu maszynowego. Kiepscy strzelcy. Krowiasty, przeładowany, dychawiczny i nisko lecący samolot jest przecież celem łatwym. Zbyt łatwym jak na mój gust. Ale rudy pilot gwizdże beztrąsco stosując ociężałe uniki, a Kowalski nie przerywa swej opowieści o wojnie i ludziach. Więc poskramałem wyobraźnię nasuwającą mi uparcie obraz strąconego samolotu nadzianego jak konserwa naszym mięsem. Trochę nadrabiałem miną. I tak płynął czas. Aż nagle z łysawej już w tym miejscu dżungli wynurzyło się miasto. Samolot położył się na lewe skrzydło i zatoczywszy szeroki łuk zszedł do lądowania. Z zarośniętego chaszczami pobrzeża lotniska w ślad za samolotem biegły pociski karabinu maszynowego. Ze strony budynków sprzężone karabiny maszynowe odpowiadały ogniem. Kilka wybuchów pocisków z moździerza w pobliżu miejsca skąd grożono nam zestreleniem i samolot zaczął się toczyć po płycie lotniska, dziurawej i pełnej wyrw. Strzałów z zarośli już nie było słychać, ale jednak chyłkiem biegliliśmy w stronę budynków. Samolot znalazł bezpieczne schronienie w hangarze.

Było gorąco i parno. Kowalski z trudem dodzwonił się do kwatery dowództwa najemniczych kadr. Byłem w Stanleyville. Tu miałem zostać i tu miałem być żołnierzem i dowódcą. Kowalski nazajutrz miał odlecieć do Uwiry.

Przed budynek lotniska z niejaką fantazją zajechał wojskowy jeep z zamontowanym karabinem maszynowym. Pół godziny najbardziej zakurzoną drogą świata, przez rogatki ku centrum, klakson, ostry skręt w lewo, elegancka aleja, brama i już...

Plamisty, spadochroniarski mundur. Stojący przy bramie wartownik zaszalutował Kowalskiemu. W podwórzu Kowalski zeskoczył z jeepa i zniknął w jakiś drzwiach. Zostawszy sam - rozglądałem się ciekawie. Szofer jeepa, który też zniknął, po chwili zawołał mnie i wskazał ręką

drzwi. Wszedłem do biura. Za biurkiem siedział belgijski dowódca najemniczej kadry w Kongo, pułkownik Lamouline. Zameldowałem się. Gruby pułkownik, usłyszawszy, że jestem Polakiem i oficerem uśmiechnął się i powiedział: "Dobrze się składa. Pański rodak, kapitan Topór-Staszak odchodzi na urlop. Zastąpi go pan na stanowisku dowódcy 12 batalionu katangijskiego. Ośmiuset pięćdziesięciu Katangijczyków i dwunastu białych ochotników". Jak się już od Kowalskiego dowiedziałem, europejscy żołnierze nazywali się między sobą ochotnikami. Słowo "najemnik" nie brzmi dobrze, a zresztą w stosunku do większości z nas nie odpowiada prawdzie.

Przestraszyłem się odpowiedzialności... Być dowódcą jednego z trzech batalionów obrony Stanleyville, dowodzić starymi wygami, weteranami z najprzeróżniejszych wojen, oraz kilkoma setkami Katangijczyków - to nie było zadanie łatwe dla kogoś, kto stawiał swoje pierwsze kroki na ścieżce wojennej przygody. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że nie te trudności będą najcięższe do pokonania: Już niedługo miałem możliwość stwierdzić, że najtrudniej będzie zastąpić Topora. Kapitan Topór, to druga z kolei polska legenda kongijskiej wojny.

Pocieszał mnie mundur, pistolet przy pasie i oficerskie gwiazdki na naramiennikach. W lustrze, w przeznaczonym dla mnie pokoju, studiowałem marsowe miny. W głębi ducha czułem jednak niepokój. Jak zdam ten najtrudniejszy egzamin - egzamin dowódcy?

MULELE MAJ⁷

"Mulele maj! Muleleee maaaj!!!" Ryk setek gardzieli nie dał się zagłuszyć nawet ogniem broni maszynowej. Splątane chaszczce zdziczałej roślinności na Czwartym Kilometrze⁸ wypływały z siebie setki rozwrzeszczanych postaci ledwie widocznych w bezksiężycową noc. Fale oszalałych Murzynów szły, biegły, padały, podrywały się znowu... Rycząc i strzelając na oślep zbliżały się niebezpiecznie. Zamontowany na jeepie karabin maszynowy drgał w moich rękach krótkimi seriami. Pot zalewał mi twarz i tylko strasznym, niemal nadludzkim wysiłkiem woli, tłumilem ogarniającą mnie panikę. Bałem się tego strasznego tłumy, który wrzeszcząc szedł na mnie prawie niewidoczny, oszalały, podniecony własnym krzykiem, nieludzki... Rozsądek kazał mi panować nad sobą. Serie krótkie, sprawne, przemyślane. Nie zagrażać lufy! Oszczędzać amunicję! Z rozwagą! Skutecznie! A strach zaciskał mi palec na języku spustowym - wydłużałem serie. Łapałem się na tym, że strzelam na oślep, że nie wybieram celu; grzała się lufa. I znów rozsądek przewyciężył strach. Z zimną krwią. Celnie. Skutecznie. A z chaszczki wyłaziły nowe tłumy pędzone dźwiękami tam-tamów. Dwunastu katangijczyków w rowie koło jeepa. Zbili się w grupkę, leżeli jak najbliżej rozszczekanego karabinu maszynowego, którego jazgot dodawał im odwagi, chronił przed paniką... Strzelali również. Ich pistolety maszynowe pluły długimi seriami. Nie byli zdolni do myślenia, panikowali. Ich ogień był nieskuteczny, ale sprawiał wrażenie, że jest nas więcej. Gdy musiałem wymienić rozpaloną lufę, gdy koniec taśmy przerywał ogień karabinu maszynowego na kilka czy kilkanaście sekund, wrzask nieprzyjaciół zbliżał się. I znów naciskałem na język spustowy. I znów przyduszałem rozpędzoną falę do ziemi. Kończyła się osiemnasta taśma podana mi przez czarnego szofera, który dwie godziny temu wyrwał mnie z łóżka krzycząc: "Lieutenant⁹, KILOMETR CZWARTY ZAATAKOWANY!" Nieubrany, w szortach tylko, wybiegłem z willi, w której kwaterowałem. Szofer już wrzucał na jeepa blaszane pudła amunicji... Z dala słychać było strzelaninę, która zbliżała się szybko, gdy gnaliśmy asfaltową szosą w kierunku zagrożonej placówki. Osiemnasta taśma kończyła się... Madou, mój szofer, po omacku doczepiał dziewiętnastą. Nie szło mu to sprawnie, gdyż każde oddanie serii wyrывało mu koniec taśmy z ręki. Zdaży podczepić, czy nie? Bo jeśli nie, to kilka sekund straconych na zataśmowanie może się skończyć tragicznie... Zdażył. Szarpnięta z nowego pudła dziewiętnasta taśma dobiegła do zamka. Krótkie serie. "Mulele maj, mulele maaaj!" - coraz bliżej moich uszu jadowity świst kul, coraz bliżej przelatują robaczki świętojańskie pocisków świetlnych. Czarna fala nadchodzi, zaraz nas zaleje. Jakiś katangijczyk rzucił granat ręczny: huk - i w blasku wybuchu sylwetki wroga tuż, tuż. Długa seria. Szofer sam już strzela z ręcznej broni. Pół taśmy... Wróg już blisko... Już muszę zataczać lufą większy łuk. Taśma kończy się... Śmierć???

Fala załamała się o kilkanaście metrów. Dwa następne granaty dokończyły dzieła. Szybko zakładałam dwudziestą taśmę, gorączkowo wprowadzam nabój do lufy. Ale już tam-tamy warczą inaczej. "Madou - pytam - co to znaczy?" "Koniec! - uśmiecha się szofer - wzywają do odwrotu". Rozejrzałem się. W jeepie była już tylko jedna taśma amunicji. Atak wroga załamał się w porę!

Siedząc na brzegu łóżka, w kilka minut potem, zaciskałem zęby z bólu. W gorączce bitwy nie czułem, że wyrzucane z karabinu maszynowego rozgrzane łuski padały mi na gołe uda. Teraz czerwone i pokryte bąblami piekły mnie straszliwie. Kłamałem w okropny sposób. W trzech językach...

⁷ Mulele to czerwony generał, przywódca rebelii w Prowincji Wschodniej. Maj - to woda. Czarownicy wmówili Murzynom, że gdy idąc do ataku krzyczeć będą "Mulele-Woda", to kule wroga rozplyną się. Oszolomieni haszyszem Murzyni nie zauważali nawet, że obok nich padają koledzy...

⁸ W Stanleyville utarł się zwyczaj, by poszczególne placówki rozmieszczone wzdłuż dróg nazywać według kamieni drogowych. Dawało to precyzję z dokładnością do stu metrów. Np. kilometr 12,7.

⁹ Porucznik

Moja pierwsza bitwa skończyła się moim zwycięstwem jako żołnierza. Ale była dowodem mojej klęski jako dowódcy. Z dwunastu podkomendnych białych ochotników ani jeden nie wziął w niej udziału. "Moje wojsko" piło w mieście... Kompletne lekceważenie moich rozkazów...

Gdy kapitan Topór przedstawił mnie jako swojego następcę, zarówno czarny, katangijski batalion, jak i biali podoficerowie przyjęli mnie niechętnie.

Czarni kochali Topora, który dowodził nimi już w Katandze przeciwko wojskom "błękitnych hełmów" Organizacji Narodów Zjednoczonych. Byli razem, gdy szwedzkie oddziały masakrowały ich wioski¹⁰. Byli razem, gdy Katangę obiegła wieść o zestrzeleniu samolotu, którym leciał znienawidzony przez nich Dag Hammarskjöld, sekretarz generalny ONZ. Topór był sprawiedliwy, odważny i... brutalny. Dbał o swe wojsko jak matka i karał jak ojciec. Był jedynym oficerem w Kongo, który bił po pysku nie wywołując buntu. Od dawna był ich M'kuu, czyli plemiennym szefem, któremu służyli wiernie jak psy. Bez szemrania. Odpłacał im tę wierność. Żaden batalion nie mógł poszczycić się dowódcą, który by tak troskliwie dbał o swych żołnierzy, tak rozumiał ich potrzeby. Łamany język francuski Topora, jego tubalny głos wywoływały pełną szacunku ciszę w katangijskich szeregach. Kto choć raz przekonał się, jak niezdyscyplinowani i hałaśliwi są Katangijszczy, ten zrozumie, co chcę przez to powiedzieć. Topór był wysokim, atletycznie zbudowanym, silnym mężczyzną. Kulawy od postrzału w kolano w Katandze w 1961 roku, podpierał się laską. Gdy odszedł z dowództwa 12 Batalionu, katangijszczy rozpaczali. "Czerwone Diabły"¹¹ kochały swego dowódcę. Niełatwo było zastąpić Topora!

Niełatwo było również zastąpić go jako dowódcę dwunastu białych podoficerów i żołnierzy. Dziwna to była ekipa: sześciu Włochów, dwóch Francuzów, dwóch Belgów, jeden Niemiec i jeden Duńczyk. Włochom przewodził sprytny chorąży Valcamonica. Valcamonica był ambitny. Wiedząc o bliskim odejściu Topora¹² myślał, że Lamouline¹³ wyznaczy go na dowódcę odpowiednio awansując. Miałem więc wroga. Nie miałem czym imponować tym starym wyjadaczom znanych i nie znanych wojen. Ni doświadczeniem, ni siłą fizyczną. Wiedziałem, że gdybym dyscyplinarnie wyrzucił Valcamonica lub ukarał któregoś z nich, to zginąłbym od kuli w plecy w pierwszej bitwie. Francuzi nie lubili Włochów, ale nie mieli powodu lubić mnie, a będąc w mniejszości woleli z Włochami nie zadzierać. Jeden z Belgów, stary wyga, miał odejść za dwa tygodnie, a drugi, młokos, nie liczył się wcale. Niemiec patrzył na mnie bokiem, w oczy okazywał pruską dyscyplinę, a za plecami zapewniał Valcamonica, że go popiera. Tylko Duńczyk jakoś mi sprzyjał. To on mnie ostrzegał. Zwłaszcza przed Alfredo Cossi.

Alfredo Cossi był człowiekiem strasznym. Strasznym na pewno. Czy człowiekiem? Miałem wątpliwości. Brzydki, ciężki, niezgrabny. Utykał na jedną nogę, co uparcie nasuwało skojarzenie z poruszaniem się goryla. Wrażenie to zwiększone było przez zaiste małą długość potwornie silnych ramion. Alfredo był analfabetą. W języku francuskim porozumiewał się za pomocą kilku wyrazów. Uporczywa plotka głosiła, że dawniej był płatnym mordercą mafii. Że uciekając przed mafią, której przez wrodzoną tępotę wyrządził jakąś szkodę /zabił nie tego człowieka co trzeba/, schronił się w Afryce Południowej. Ponieważ umiał tylko zabijać, więc gdy trafiła się okazja - znalazł się w Kongo. Przywykły do posłuszeństwa dla mafiosi - upatrzył sobie szefa w

¹⁰ Wśród wszystkich narodów służących w Katandze pod sztandarami ONZ - Szwedzi wyróżniali się okrucieństwem. Czyżby wojna rozbudziła w tych pacyfistach krwiożercze instynkty Wikingów?

¹¹ Dowodzony przeze mnie 12 Batalion Katangijski był znany jako "Diables Rouges" /Czerwone Diabły/. Żołnierze nosili czerwone berety i czerwone chusty na szyjach.

¹² Topór miał dużo wrogów na wysokich stanowiskach w Stanleyville, toteż ogólnie było wiadomo, że po powrocie z urlopu obejmie dowództwo "gdzieś dalej".

¹³ Dowódcy wszystkich kadr Europejskich zgrupowanych w tak zwanym 6 Batalionie Kadrowym. Batalion ten wydzielał grupy kilkunastoosobowe z jednym lub kilkoma oficerami jako kadry do batalionów i mniejszych, niezależnych oddziałów katangijskich. Lamouline był rodzajem szefa personelu. Dopiero jego następcą, słynny Francuz Bob Denard, zdobył sobie sławę jako dowódca.

Valcamonica. W spelunkach Stanleyville Valcamonica miał prestiż. Nawet najgorsze zabijaki bały się, by nie poszczuła na nich Alfreda Cossi.

Nie spałem, gdy pod dom zajeżdżały wozy wiozące z miasta moich wojowników. Już wiedzieli o stoczony na Czwartym Kilometrze bitwie. Nie chciałem ich widzieć.

Wściekły na własną głupotę chłodziłem wentylatorem poparzone uda. O świcie wziąłem jeepa, dwóch katangijskich żołnierzy i udałem się na Czwarty kilometr. W blasku wschodzącego słońca miejsce straciło grozę ubiegłej nocy mimo wielkiej ilości trupów zalegających okolicę. Półnaczy, obwieszani amuletami, leżeli jak okiem sięgnąć. Sowiecka broń walała się na przedpolu. Oszołomieni haszyszem przez czarowników, otumanieni zabobonem i uzbrojeni przez dalekie, złowrogie mocarstwo, szli na śmierć pędzeni warkotem tam-tamów, ogłupieni własnym wrzaskiem, który jeszcze brzmiał mi w uszach: "Mulele maaaj!". Biedne, ciemne ofiary czerwonego imperializmu leżały teraz cicho, w przerażających pozach, w jakich zastała ich śmierć, śmierć, którą zadał im belgijski karabin maszynowy w moich rękach. Wróciłem do willi i jednym haustem wypilem szklanek whisky.

Stacja benzynowa Esso. Obłożony workami z piachem budynek. Na dachu dwa karabiny maszynowe. W oszklonych niegdyś oknach budynku ani jednej szyby. Dwie postrzelane pompy benzynowe. Dwóch katangijskich żołnierzy czuwa na dachu, reszta leży pokotem w cieniu budynku i kilku pobliskich drzew, odsypiając ostatnią noc. Bo w nocy nie spali. Stanowili "Kilometr Szósty", ostatnią placówkę otoczonego rebelią miasta... Dalej już "no man's land" i wróg. Za stacją benzynową asfaltową szosę zarastała powoli roślinność. Rebelianci nie mieli pojazdów...

Pięćdziesiąt metrów dalej od asfaltowej szosy odchodziła w lewo boczna, bita, na połę zarośnięta droga, wiodąca do Kisaua - dużej plantacji kawy. Tą właśnie drogą miał ruszyć oddział wojska pod moim dowództwem. Rano otrzymałem rozkaz operacyjny, dostałem amunicję dla katangijskich i ruszyliśmy w sile jednej kompanii. Trzecia kompania mojego batalionu po ostatnich stratach liczyła już tylko dwie trzecie pierwotnego stanu: 200 ludzi. Towarzyszyło mi siedmiu Europejczyków. Valcamonica nie było. Był Alfredo Cossi.

Na Kilometrze Szóstym zostawiliśmy samochody. Kazałem poruszać się tyralierą po obu stronach szosy. Rowami, gdzie były rowy. Poza szosą, gdzie roślinność na to pozwalała. Tak szliśmy z początku w słońcu i kurzu, a w zgniętej wilgoci później, gdy przekroczyliśmy miejsce, gdzie zaczynała się dżungla. Naszym zadaniem było oszacowanie sił przeciwnika, a jeśli się da, to zajęcie i obsadzenie załogą budynków plantacji w Kisaua. Pierwszy raz byłem w prawdziwej dżungli. Rozglądałem się ciekawie i chłonałem każdy odgłos. Potężne drzewa splecione lianami, bujna równikowa roślinność. Krzyki małp powtarzane niekończącym się echem przez tysiące papug. Szum skrzydeł dziwnych ptaków o ogromnych dziobach zwanych "calaos"...

Szedłem wzdłuż drogi lewym rowem. Przedemną po lewej i prawej stronie drogi z palcem na cynglu posuwał się katangijski oddział zwiadowczy. Dwóch francuskich podoficerów prowadziło go, każdy po swej stronie. Następnie szedłem ja i moich dwóch Belgów. Naprzeciwko, po prawej stronie, na mojej wysokości, posuwali się trzej Włosi. Między nimi kulawy małpolud: Alfredo.

Nagle huk wybuchów, jazgot broni maszynowej. Charakterystyczny klekot diektieriewa¹⁴, sowieckiego karabinu maszynowego. Równie charakterystycznie brzmiały szalejące długimi

¹⁴ Diektieriew-deszeka 38, ciężki karabin maszynowy na podwoziu, kaliber 12,7 mm. Deszeka oznacza "Diektieriewa-Szpagina Kulomiet",

seriami karabinki szturmowe kałasznikow¹⁵. Trafiliśmy na przeciwnika, który górował nad nami liczbą, uzbrojeniem i terenem. Niewidoczny dla nas, raził z porośniętego dzunglą pagórka. Dysponował co najmniej kilkoma moździerzami średniego kalibru. Miał nawet broń przeciwpancerną: o pobliskie drzewa rozwały się z hukiem dwa pociski bazooki. Moi ludzie padli plackiem w rowie, który chronił ich przynajmniej od bezpośredniego ognia. Jednakże przed 60-milimetrowymi pociskami sowieckich moździerzy broniła nas tylko nieumiejętność obsługi przeciwnika.. .

Przyczołgał się do mnie po rozkazy francuski podoficer Jean Larue. Kazałem mu, by wraz z jednym z moich Belgów cofnął się rowem do tyłu, a znalazłszy się poza widocznością wroga zabrał z sobą całą katangijską straż tylną, czyli około osiemdziesięciu żołnierzy, i starał się obejść przeciwnika z lewej strony przedzierając się przez dzunglę. Jako niedoświadczony dowódca obawiałem się reakcji Francuza na mój plan. Skinął głową z aprobatą, kiwnął na starszego z Belgów i ruszył, czołgając się, do tyłu. Po krótkim czasie na niewidocznych tyłach mego oddziału zapanował ruch: straż tylna wsiąknęła w dzunglę... Odetchnąłem.

W pełnym słońcu, dręczeni przez owady i upał, leżeliśmy nie wychylając głowy. Aby obejść wroga bokiem sierżant Larue musiał przejść dzunglą około półtora kilometra. Wiedziałem z doświadczenia innych, że w zależności od gęstości dzungli, trzeba na to w najlepszym wypadku około czterech godzin. Wróg strzelał coraz rzadziej. Najwyraźniej ucieszony brakiem widocznej reakcji z naszej strony, uważał nas za "uziemionych", co w gwarze wojskowej oznaczało przyduszonych ogniem do ziemi i niezdolnych do akcji. Wróg czekał na noc i wzywał posiłki. Słyszałem tam-tamy, powtarzane przez dzunglę w nieskończoność¹⁶. Czas dłużył się. Niepokoilem się, czy Larue sobie poradzi. Zdolny podoficer. Świadczyło o tym wysokie francuskie odznaczenie wojskowe, zdobyte przez niego w Wietnamie. Ale wiedziałem, że jeśli przeciwnik wykryje go w dzungli przedwcześnie, to całą grupę sierżanta Larue czeka niechybna śmierć.

Od czasu do czasu ktoś z nas wychylał łeb znad rowu. Odpowiedzią był jazgot broni przeciwnika i chmura kurzu na drodze podrywana pociskami diektieriewa. Piekło słońce. Niepokój i nuda. I tak płynął czas...

Przypomniałem sobie, że w wewnętrznej kieszeni bluzy mam płaską metalową butelkę whisky. Oparty o rów pociągnąłem łyk. Ciepłe, ale dobre. Podniosłem buteleczkę ponownie do ust, rzucając jednocześnie spojrzenie na przeciwną stronę szosy. Moją uwagę przykuł czyjś wbity we mnie wzrok. Był to wzrok Alfreda, który nie spuszczał oczu z... małej, metalowej butelki, którą trzymałem w ręce. Jego twarz, zwykle pozbawiona wyrazu, tym razem wyrażała graniczące z cierpieniem pragnienie.

Nie wiem, co mi wówczas strzeliło do głowy. Zerwałem się nagle i przebiegłem na drugą stronę szosy. Za moimi piętami podreptał szlaczek wyrwany w szosie przez karabin maszynowy. Zwaliłem się w rowie obok Alfreda, ku zdumieniu jego i pozostałych dwóch Włochów. Pociągnąłem jeszcze mały łyk z buteleczki i podałem ją Alfredowi. Alfredo trzema potężnymi haustami opróżnił buteleczkę. Czknął i uśmiechnął się. Uśmiech ten był prawie... ludzki.

Późną nocą zajechałem jeepem pod "Makutano", największy kabaret-dancing Stanleyville. Byłem szczęśliwy. Pierwsza dowodzona przeze mnie operacja powiodła się. Gdy Larue obszedł

¹⁵ Doskonały sowiecki karabinek szturmowy Kal. 7,62. Magazynek 30 nabojów. Celny do 400 m. Solidny i prosty w obsłudze.

¹⁶ Prawdziwy tam-tam jest środkiem porozumiewania się w dzungli w sposób przypominający telegraf. Wydrążony pień drzewa jednego tylko gatunku, obciążony z obu stron małpią skórą. Wydaje dźwięk o takiej częstotliwości, że nie tłumy go listowie dzungli. W dzungli nie słyhać strzału karabinowego z odległości kilometra, a istnieją wielkie tam-tamy plemienne, których głos rozchodzi się w promieniu kilku, a nawet kilkunastu kilometrów.

przeciwnika - zaatakowaliśmy z dwóch stron. Zdobyliśmy mnóstwo broni i amunicji. Zajęcie plantacji nie nastęczało już trudności. Zostawiwszy połowę mojego oddziału w Kisana pod dowództwem Larue, wróciłem do Stanleyville zmęczony, ale zadowolony... Teraz przepychałem się przez tłumną klientelę kabaretu, która widząc oficerskie naszywki rozstępowała się z szacunkiem. Tak dobiegłem do bufetu. "Whisky!" - krzyknąłem władcym głosem do drobnego Greka, właściciela lokalu, który "urzędował" za ladą. "Niestety zabrakło" - odpowiedział. I wtedy stało się coś dziwnego. Wyciągnięta z za moich pleców potężna łapa uniosła Greka w górę dusząc go nieledwie. "Dla mojego dowódcy musi się znaleźć" - powiedział złym głosem Alfredo, rzucając Grekiem w półkę z napojami. Zgięty w pół ze strachu i bijący pokłony wystraszony Grek wyciągnął butelkę spod lady. Wypiliśmy. Alfredo zaczynał splancać zaciągnięty na zakurzonej drodze dług. Tak to zostałem prawdziwym dowódcą, którego decyzji nie kwestionował już nikt. Alfredo dbał o to...

DOLARY ZIELENIĄ SIĘ W DŻUNGLI

Dowództwo brygady mieściło się w centrum miasta, przy szerokiej alei ocienionej dwoma rzędami drzew. Gdy wychodziłem z odprawy było późne popołudnie. Po wyjściu z klimatyzowanego pomieszczenia sali odpraw na zalany słońcem dziedziniec rozpiąłem bluzę. Po przejściu dziedzińca poczułem pierwsze krople potu spływające mi po plecach. Dzień był wyjątkowo duszny, nawet jak na klimat Stanleyville. Szedłem szybkim krokiem w stronę służbowego jeepa, marząc o chłodzącym wietrze, gdy będę pędził - jak zwykle z niedozwoloną szybkością przez miasto. Był to jeden z cennych przywilejów funkcji: krótki sygnał klaksonem i na mój widok policja zatrzymywała ruch, salutując grzecznie. Jeepa zostawiłem w cieniu pod drzewami. Gdy podszedłem, jakaś postać wyskoczyła zza krzaków. Szybko wyciągnąłem pistolet i uskokczyłem w bok: zamachy zdarzały się często.

Poczułem się nieco głupio, gdy poznałem tęgawą sylwetkę Takariosa. Takarios był rzecznikiem kolonii greckiej w Stanleyville. Cały tutejszy handel spoczywał w rękach Greków. Dorabiali się szybko, gdyż dla handlu narażali życie. Docierali z wojskowymi patrolami do najbardziej narażonych na niebezpieczeństwo wysuniętych placówek i osad. Ponosili ryzyko sprowadzając towar nieraz pod ostrzałem. Często ginęli. Ale zbijali majątki. Takarios był ich szefem. Pożyczał pieniądze, układał się z władzami, dawał łapówki...

W chwilę później siedziałem w greckiej restauracji, w osobnym gabinecie na zapleczu, przy suto zastawionym stole. Takarios czegoś potrzebował. A że czasem wojsko potrzebowało greckich kupców, więc warto było posłuchać mego rozmówcy. Czyżby mu chodziło o przyłączenie się kilku kupców greckich z ich ciężarówkami do najbliższego wojskowego transportu zaopatrzeniowego?

Kto widział przemarsz Armii Czerwonej pod koniec drugiej wojny światowej, ten nigdy nie zapomni sowieckiego wandalizmu. Czego sowieciarz nie mógł ukraść, to niszczył. Sowietcy żołnierze wyrzucali przez okna radia i gramofony, bagnetami cięli portrety, wrywali struny z fortepianów, kolbą rozbijali umywalki i muszle klozetowe, strzelali do luster i kandelabrow, niszczyli biblioteki, tłukli meble i rwali w strzępy kotary. Każdy dom przez nich zamieszkały - choćby kilka dni - wymagał gruntownego remontu. Nie mówiąc już o brudzie i smrodzie, jaki po sobie zostawiali. Wiadomo: jak się potłukło klozetowe muszle... Dlaczego tak strasznie niszczyli? Czyżby pchała ich do tego zazdrość, że ktoś mógł żyć w warunkach, jakie oni, obywatele "przodującego kraju" widywali tylko w kinie? Czy może winna była propaganda wmawiająca im bezustannie, że poza Sowietami panuje straszny wyzysk i wobec tego każde przyzwoite mieszkanie jawiło im się jak siedlisko wyzysku? A może to jest naturą sowieckiego człowieka napędzanego wódką, jak silnik samochodu napędzany jest benzyną? Nie wiem. Ale barbarzyństwo sowieckie pamiętam...

Murzyni wandalami nie są! Murzyn, ani ten "dziki", z dżungli, ani ten "cywilizowany", z miasta - niczego świadomie nie niszczy. Na terenach odbitych rebelii znajdowałem domy, wille i warsztaty. Niejedna willa była w oplakany stanie, lecz nie było to spowodowane świadomym wandalizmem. Murzyńska rodzina zajmąwszy pobełgijską willę nie umiała po prostu korzystać z urządzeń i wygod. Zresztą najczęściej brak było elektryczności i gazu. "Rewolucjoniści nie umieli włączyć elektrowni i generatorów... Więc w willi rozpalano ognisko pośrodku salonu na bezcennym nieraz parkiecie. Dym gryzł w oczy? Robiono dziurę w suficie i dachu. Później deszcze robiły swoje...

Sam widziałem okopcone ściany, spaloną podłogę, zacieki... Ale ku mojemu zdumieniu nieprzydatny do niczego z braku prądu sprzęt radiowy stał na swoim miejscu. Nawet płyty nie były

potłuczone, wspaniała zastawa z cienkiej porcelany brudna, ale cała. Opuszczając to miejsce "dzicy" Murzyni niczego nie zniszczyli świadomie, niczego nie rozwalili.

Uważajmy więc, gdy mówimy o narodach cywilizowanych. Sowietci takim narodem nie są...

Takie myśli chodziły mi po głowie gdy po kilkudniowych bojach zwiedzałem tak zwane nowe lotnisko. Właściwie było to lotnisko dopiero w budowie. Zaczęto je budować krótko przed wybuchem rebelii, za kredyty uzyskane od różnych państw, głównie zachodnioeuropejskich. Przez użycie manewru oskrzydającego udało mi się zmusić rebeliantów do wycofania się w głąb dżungli. Chodziłem teraz od hangaru do hangaru i podziwiałem: czego tam nie było. Nierozpakowane skrzynie z komputerami, kompletnie wyposażone warsztaty, urządzenia radarowe, maszyny do pisania, teleksy, silniki i generatory elektryczne, kilometry kabli. Potężne zbiorniki paliwa: benzyna i ropa, których brak Stanleyville tak silnie odczuwało, że nawet dla potrzeb wojska były racjonowane. Buldożery, koparki, traktory. Majątek! Wszystko w dobrym stanie, nic nie zniszczone. Tysiące części wymiennych w oryginalnych opakowaniach. Wystawiłem strażę...

Ksiądz M. był człowiekiem niezwykłym. Czterdziestoparoletni zakonnik, misjonarz belgijski, o ogromnej odwadze osobistej, miał nie tylko duszę pełną poświęcenia i chrześcijańskiej żarliwości, ale i głowę pełną wszelkich mądrości a na ustach życzliwy światu i ludziom uśmiech. Ksiądz M. znał murzyńskie dialekty, zwyczaje i zabobony. Zaprzyjaźniłem się z nim wielce. Przysługi, jakie mi oddawał swoją znajomością terenu, były nieocenione. To on właśnie dowiedział się, że w dżungli, kilkanaście kilometrów od naszej najbardziej wysuniętej placówki, tkwi spora grupa rodzin murzyńskich, zbiegłych w swoim czasie ze Stanleyville. Teraz, nie przyzwyczajeni do życia w dżungli, narażeni na głód, chorujący z braku soli, pragnęliby wrócić. Próbowali nawet, lecz zostali ostrzelani przez oddział rebeliancki tkwiący obozem między nimi a upragnionym miastem. Czerwoni, wycofując się ze Stanleyville, zagarnęli ze sobą sporą część ludności. Strachem i terrorem przetrzymywali ją w dżungli. Wykorzystywali do robót prawie niewolniczych, do wszelkiego rodzaju posług. W ten sposób sami koncentrowali się na napadach - staranie o żywność pozostawiając cywilom, którym zabierali wszystko pod groźbą użycia broni. Dodatkową zaletą była dla nich obecność kobiet...

Naszym naczelnym zadaniem pacyfikacyjnym było staranie się o to, by ludność cywilna wróciła do swoich domów i zajęć. Jeśli według Mao Tse Tung rewolucjoniści mają być wśród ludności cywilnej "jak ryby w wodzie", to należało nasze "czerwone rybki" pozbawić tej wody i wydestać z ich szponów plemiona i rodziny, które chciały wrócić do normalnego życia.

Dawno już czekałem na podobną okazję. Miałem dosyć sztabu, konferencji, użerania się o logistykę. Postanowiłem więc przeprowadzić osobiście atak na obóz rebeliancki. Nie było mi łatwo zdobyć pozwolenie: nie była to rola dowódcy batalionu. Ale w tym czasie gruby Lamouline odszedł i jego funkcję objął Bob Denard. Ten, sam będąc zawiadką, rozumiał dobrze potrzebę zanurzenia się w walce, w przygodzie, w ryzyku.

Już trzeci dzień w dżungli. Mój oddział - czterech Europejczyków i sześćdziesięciu katangijczyków - grzął coraz bardziej w skłębionej roślinności. Pierwsze kilometry przebyliśmy gładko ścieżką wydeptaną przez słonie. Ale ścieżka skręcała i trzeba było z niej zrezygnować. Prowadził nas młody Murzyn, katechumen księdza M.. To on przedarł się do Stanleyville i przyniósł księdzu wiadomość o losach ludności cywilnej, w tym swojej rodziny, w dżungli. Czterech Katangijczyków szło przodem, gęsiego. Pierwszy wyrąbywał maczetą ścieżkę w zwojach

roślinności. Powietrze było przesycone wilgocią. Każdy kilometr, to kilka godzin przedzierania się. Trzeci już dzień chylił się ku końcowi. Na równiku noc zapada szybko, niemal nagle. Trzeba myśleć o odpoczynku.

W nocy obudził mnie katangijski sierżant. Mimo, że według naszego przewodnika do obozu rebeliantów mamy daleko, dzień drogi, Katangijscy poczuli dym. Trzeba przyznać, że Murzyni mają świetny węch. Więc choć żaden z nas, Europejczyków, nic nie czuł, zarządziłem alarm. Zaczęliśmy skradać się dzunglą, przedzierając się przez roślinność. O wyrąbywaniu drogi maczeta nie było mowy: hałas ostrzegłby przeciwnika. Nasz przewodnik tłumaczył mi, że to na pewno nie jest obóz, do którego nas prowadził. Ale sprawdzić trzeba. Po godzinie uciążliwego przedzierania się - polana. Na polanie dwanaście bambusowych chat. Wygaszone ognisko. Straży nie widać. W jednej z chat słaby blask łuczywa. Zgasł. Dżungla jazgocze krzykiem małą. Jakiś krótki ryk drapieżnika. Obudzone ptactwo protestuje. Wydzieliłem z oddziału dwanaście trzyosobowych grup. Po jednej na chatę. Latarka w ręce. Na rozkaz - skok. Biegiem przez polankę. Sam biegnę też. Kopnięcie w bambusową przegrodę, jestem w chacie. "Ręce do góry" - krzyczę. Latarka, błysk, po twarzach. Zachwiałem się z wrażenia. W chacie były cztery osoby. Osoby? Nie. Raczej zjawy z koszmarnych snów. Zwlekały się z posłań wydając ledwie artykułowane dźwięki, Twarze bez nosów, oczy bez powiek, przesłaniane ręką bez palców. Zwierzęce przerażenie na nieludzkich twarzach. Cofnąłem się. Czuję, że jeżą mi się włosy. Potworne postacie zwlekły się z posłań i bełkocąc niezrozumiale szły ku mnie mimo skierowanej w ich stronę lufy pistoletu maszynowego. Na Boga! Toż to trędowaci! Oprzytomniałem, zrobiło mi się wstyd własnego strachu. Widziałem jak z innych chat wieje moje wojsko. Trafiłem na obóz trędowatych. Rebelia w Stanleyville rozwalila leprozoria i szpitale. Trędowaci uciekli w las. Tam, odganiani od ludzi strzałami, umierali samotnie, z głodu i wyczerpania. Potworny los.

Wycofałem się z obozu trędowatych. Reszta nocy upłynęła spokojnie .

Czterystu ludzi wydostało się z dżungli. Kobiety i dzieci stanowiły ogromną większość grupy, którą młody uczeń księdza M. przyprowadził do miasta, gdy udało mi się rozbić rebeliancki oddział. Dzieci były tak wycieńczone, że kilkoro z nich zmarło w szpitalu. Jean Bernard, jeden z moich żołnierzy, został ewakuowany do Europy, gdzie zmarł podczas operacji, gdy próbowano mu zeszyć poszarpane wnętrzności. Seria z kałasznikowa to niemiła rzecz.

O Bernardzie myślałem patrząc na pliki pieniędzy leżące na suto zastawionym stole między resztkami jedzenia. "Mało dwadzieścia? - pyta Takarios - Damy trzydzieści!" Trzecia paczka zawierająca sto studolarowych banknotów pojawiła się na stole.

Zebrałem pieniądze i wcisnąłem je Grekowi za rozchyłony kołnierz przepoconej koszuli. Popatrzył na mnie zdziwiony. Naciągnąłem czapkę i wyszedłem bez słowa, odpinając ostentacyjnie pochwę pistoletu. Takarios musiał być wściekły, a wściekły Grek może być niebezpieczny. Ale dotarłem do jeepa bez przygód. Trzydzieści tysięcy dolarów za to, by katangijskie straże niezbyt gorliwie pilnowały hangarów "nowego lotniska". Łatwe i bezpieczne. Wystarczyło przy świadkach wydać rozkaz pilnowania, ale nie przypilnować jego wykonania. Znając Katangijszczyków można było mieć pewność, że nie będą pilnować, tylko spać, i to nie na posterunku, ale gdzieś w mieście, z babami.

Trzydzieści tysięcy dolarów mi przepadło. Mam nowego wroga. Wzmocniłem strażę i wydałem rozkaz ich kontroli przez podoficerów europejskich. Tej samej nocy ktoś próbował wejść

na teren lotniska. Krótka seria z pistoletu maszynowego była ostateczną perswazją. Próba nie powtórzyła się więcej.

A jednak czasem, gdy pieniędzy mi brak, staje mi przed oczami zawałony resztkami jedzenia stół i trzysta zielonych banknotów.

BOMBKI BEZ CHOINKI I FAJERWERKI W SYLWESTROWĄ NOC

Chytrze zaplanowana ofensywa czerwonych załamała się. Po czterogodzinnej walce niedobitki rebeliantów wycofały się w nieładzie, zostawiając za sobą zabitych i rannych. Ranni czołgali się w dżunglę, by tam znaleźć schronienie przed nami. Umierali z upływu krwi, bez ratunku i pomocy. Biedne, ogłupiałe ofiary propagandy swych przywódców, którzy im opowiadali brednie o naszym rzekomym okrucieństwie. Zdobyliśmy masę broni. Właściwie po tej nocy sylwestrowej nasz przeciwnik już nigdy na moim odcinku frontu nie odzyskał sił i sprawności. Bo wszystko zaczęło się w Sylwestra 1965.

Właściwie już na Boże Narodzenie posypał się nam na głowę grad pocisków z sowieckich moździerzów 60 mm. I to w momencie, gdy Ojciec M., nasz przyjaciel i duszpasterz, mówił nam o pokoju między ludźmi. Księdzu M. zrobiłem dziką awanturę za to, że przyjechał na naszą placówkę na rowerze! Taka nieostrożność 25 kilometrów drogą, na której prawie codziennie zdarzały się zasadzki.

"Czyś ty zwariował? - pytam - Nie mogłeś zażądać przez radio eskorty? Któż to widział tak się narażać?"
"Nie boję się niczego - odrzekł beczelnie księżulo - bo mam to..." i wskazał ręką na wiszący u pasa drewniany krzyż. "A jeśli by to nie pomogło - dodał po chwili - to jeszcze mam to!" Uchylił poły białego habitu ukazując naszym zdumionym oczom ogromnego colta magnum. "A was łajdaki, nie mogłem przecież w Wigilię bez religijnej pociechy zostawić!" - zakończył tyradę. I gadaj tu z takim.

Że nam w samą noc wigilijną "walczący ateizm" sowiecki pociski na łeb sypał - to normalne. Wiele szkody nie było, bo strzelcy z nich kiepscy, a obserwatorzy woleli się "nie wychylać". Za to wyginęło sporo szympansov w dżungli. Potem to jakoś ucichło. Myśleliśmy, że to koniec. Toteż w sylwestrową noc pozwoliłem się wszystkim wolnym od służby zebrać w sali placówki i uczcić Nowy Rok "jadłem i napojem". Oczywiście zadbawszy przedtem o stan pogotowia tych, których ślepy los w mojej postaci wyznaczył na służbę...

W ciągu wieczora towarzystwo zdążyło sobie już nieźle podgazować i dawaj mnie prosić, bym im pozwolił o północy urządzić fajerwerk. Faktycznie mieliśmy w naszym wyposażeniu trochę pocisków świetlnych do moździerza, takich co potem opadają na spadochronie i blaskiem magnezji oświetlają okolice. Było też sporo amunicji świetlnej do broni ręcznej i maszynowej. Były też różnokolorowe rakiety sygnalizacyjne i odpowiednia rakietnica w moim posiadaniu. Błogosławiona moja słabość! Po kilku głębszych - wstyd przyznać - pozwoliłem.

Huknęło, strzeliło, posypały się kolorowe paciorki serii z karabinów maszynowych. Pękały kolorowe rakiety. A nad wszystkim zawisły jaskrawe lampiony magnezjowych pocisków moździerza!!! 14 lipca w Paryżu to szczeniak! Karnawał w Rio to frajer! Cieszyły się dusze nasze. Ale króciutko. Bo nagle jak nie gruchnie, jak nie zaczniesz świstać. Rozległy się dzikie ryki: "Mulele maj!!!"

Wytrzeźwieliśmy w jednej chwili. Przedpole oświetlone sylwestrowym fajerwerkiem aż roilo się od atakujących. Chytrze podeszli nas w nocy licząc, że sylwestrowe libacje uspią naszą czujność. I mogło się to skończyć dla nas tragicznie. Wstyd przyznać, ale takiej ewentualności nie wziąłem pod uwagę. Czego chytrusy nie przewidzieli, to naszego fajerwerku! Zaskoczyliśmy ich niechcący, ale za to kompletnie. Myśleli, że zostali wykryci i zaatakowali nas przed czasem. Zaskoczenie było po ich stronie. O rany, jaki wycisk dostali w tę sylwestrową noc. Opatrzność czuwa nad pijakami. A może to modlitwy księdza M.?

Nowy rok zaczął się dla nas pomyślnie. Nie dla wszystkich. Musiałem ukarać francuskiego sierżanta nazwiskiem Alain Fabregon. Ten młody żołnierz chciał nam zaimponować odwagą i na otwartej przestrzeni, w pełnym oświetleniu, odwrócił się tyłem, ściągnął spodnie i pokazał wrogowi... odwrotną stronę medalu! Za ten wybryk ukarałem go zakazem brania udziału w akcjach przez tydzień. Alain zginął znacznie później w zasadzce. Poległ, spełniając z poświęceniem swój żołnierski obowiązek bez wygłupów i na trzeźwo.

Bezsprzecznym zwycięzcą owej pamiętnej bitwy był nasz dostarczyciel jedła i napojów - starszy sierżant Konopka. Konopka, stary wyga z Legii Cudzoziemskiej, dostał się do mojego oddziału kilka miesięcy wcześniej. Zrobiłem go podoficerem zaopatrzeniowym. Byłem chyba w natchnieniu. Konopka był genialnym kombinatorem. Dawał i brał łapówki. Umiał znaleźć "rzeczy, których nigdzie nie ma". W kraju, w którym nawet kartofle były sprowadzane drogą lotniczą¹⁷ w pełnej dżungli afrykańskiej jedliśmy w noc sylwestrową... ostrygi i popijaliśmy szampanem. A później... fajerwerk. Błogosławiony fajerwerk!

Zasługi sierżanta Konopki nie ograniczały się oczywiście do spraw żołdkowych. Dzięki temu mistrzowi kombinacji mój oddział był najlepiej zaopatrzony w całym Kongo. Konopka potrafił znaleźć wszystko. Nietypową amunicję do starych vickersów, części do samochodów, benzynę, lekarstwa i tysiące różnych innych rzeczy, potrzebnych do prowadzenia wojny w znośnych warunkach. Konopka wyszedł z Konga z życiem, cały i zdrowy. A także z dużą forszą. Straciliśmy go z oczu. Ale ten mistrz prywatnej inicjatywy nie zginął na pewno. Wybierał się do Stanów. Pewnie jest milionerem.

¹⁷ W Kongo ziemniaki - ze zrozumiałych przyczyn - były droższe od pomarańczy. Popularne oszustwo polegało na tym, że w worku z "kartoflami" tylko wierzchnią warstwę stanowiły rzeczywiście ziemniaki, a resztę - pomarańcze. Trzeba było kontrolować każdy worek!

RYBAK Z ROŻNA

Ksiądz M. biegł zdyszany pod górę do mojej placówki podtrzymując oburącz poły białego habitu. Widać było po jego twarzy, że musiało zajść coś niezwykłego. Obserwowałem go zaniepokojony. Znałem bowiem tego niezwykłego misjonarza i wiedziałem, że niewiele jest rzeczy w Afryce, które byłyby zdolne wyprowadzić go z równowagi. Toteż wyszedłem mu naprzeciw. Mrugnął na mnie, że nie chce mówić przy ludziach i wbiegł niemal do naszego baru - kantyny, gdzie głosem stanowczym zażądał whisky. Zaniepokoiłem się jeszcze bardziej. Nie tym, że wypił duszkiem, bo za kołnierz nie wylewał, ale tym, że wypił przed południem, czego jak wiadomo gentelmani nie czynią, a ksiądz M. był niewątpliwie gentelmanem. Wytarłszy usta kraciatą chustką wielkości obrusa na sześć osób, zaciągnął mnie w kąt.

"Słuchaj kondotierze¹⁸ - zaczął zadyszany szeptem /zawsze nazywał mnie kondotierem/. Słuchaj kondotierze, to niesłychane. Pojawili się 'ludzie krokodyle!'" - oznajmił mi ze zgrozą. "A ja się uczyłem, że 'ludzi krokodyli' już od lat dwudziestych nie ma w Kongo!" Wyraźnie był zgorzchniony.

A zaczęło się wszystko rankiem, gdy zajechały ciężarówki do wioski rybackiej u podnóża wzgórza, na którym mieściła się moja placówka. Ciężarówki miały zawieść do Stanleyville, pod eskortą wojskową... ryby z nocnego połowu. Rybacy osadzeni przeze mnie na nowo zdobytych i spacyfikowanych terenach u podnóża placówki w Wanie Rukula nad rzeką Luluaba¹⁹, potrafili złowić do trzech ton ryb w ciągu jednej nocy. Stanowiło to poważny wkład w wyżywienie ludności odciętego od świata Stanleyville. A tym razem nic, ani jednej ryby.

Wyglądało to na jakąś dziwną znowę, żaden z rybaków nie miał ryb. W nocy nie wypłynęli na połów. Dlaczego? Ich wymówki były różne, jakby mieli coś do ukrycia: "Piroga mi popękała" - mówił jeden. "Zona zachorowała" twierdził drugi. Trzeci, symulując atak kaszlu, wykrztusił, że jest chory. I tak wszyscy.

Byłem szczerze zmartwiony i zupełnie zdezorientowany. Rybacy byli przecież pod moją opieką i zawdzięczali mi wiele. Należeli do elity pod względem zarobków. Dbałem o stan ich zdrowia i o naukę ich dzieci. O wygodę i bezpieczeństwo. Nie było to bezinteresowne: ich praca była - jak już wspomniałem - ważna dla wyżywienia Stanleyville. Toteż, gdy po wielu bojach zdobyłem placówkę w Wanie Rukula, główny wysiłek skierowałem na zasiedlenie plemionami rybackimi oswojonego przeze mnie bardzo rybnego odcinka rzeki Luluaba. A nie było to rzeczą łatwą, rybacy uciekli w dżunglę - jak zresztą większość ludności - i bali się wrócić na swoje tereny straszeni propagandą czerwonych o rzekomo czekającej ich z naszej strony zemście za rzeź białych w Stanleyville. Przerzucani przez rebeliantów jako siła robocza z dala od tradycyjnych miejsc połowów, pozbawieni przywództwa²⁰ tułali się po dżungli miotani strachem i głodem. Marli często i gęsto z głodu i chorób. Zwłaszcza dzieci!

Dopisało mi wówczas szczęście. Podczas którejś z drobnych operacji pacyfikacyjnych moi żołnierze znaleźli w dżungli starego, wycieńczonego do ostatnich granic, Murzyna. Gdy ochłonął ze strachu, udało się z niego wydobyć przez tłumacza, że jest szefem rybackiego plemienia M'Wabu, które przed wybuchem rebelii żyło nad jednym z dopływów rzeki Kongo. Plemię to rozpierzchło się po dżungli, gdy czerwoni pojмали szefa. Szef był więziony jako zakładnik w głębi dżungli i z

¹⁸ Kondotierzy - to dowódcy najemnych oddziałów włoskich z epoki renesansu.

Ksiądz M. zawsze mnie tak nazywał.

¹⁹ Rzeka Kongo, począwszy od źródeł, aż do Stanleyville /Kisangani/ nazywa się Luluaba.

²⁰ Czerwoni systematycznie więzili szefów plemion zapewniając sobie tym samym uległość ludności.

trudem udało mu się zbiec. Błąkał się już od dłuższego czasu, kryjąc się zarówno przed rebeliantami, jak i przed naszym wojskiem. Gdyśmy go znaleźli, był bliski śmierci.

Przy jego to pomocy wyciągnąłem całe plemię M'Wabu z lasu: gdy stary kacyk odżył i przekonał się, że nie taki diabeł straszny, że nikogo nie mordujemy i że na oswobodzonych terenach ludzie żyją normalnie i bezpiecznie, zgodził się bez trudu wezwać swych współplemieńców do wyjścia z ukrycia. Przez wiele dni tam-tamy nadawały wezwanie starego szefa. Głosiły, że jest zdrow, że gwarantuje swoim bezpieczeństwo i dobrobyt. Przez dwa następne tygodnie rozproszone rodziny M'Wabu wychodziły z dżungli. Nocami, ostrożnie jak zaszczute zwierzęta, dołączali do swego szefa. W miarę jak wychodzili urządziłem ich w opuszczonej wsi u podnóża placówki. Nasza bliskość chroniła ich od zemsty rebeliantów, którzy karali śmiercią za próby wyłączenia się spod ich panowania.

Plemię M'Wabu długo okazywało mi wdzięczność. Stary szef mianował mnie czymś w rodzaju honorowego szefa plemienia, podarował mi dziewczynę i nazywał mnie swym ojcem. To ostatnie było oczywiście tylko symboliczne... na całe szczęście!

Nic więc dziwnego, że nagły pseudostrajk rybaków M'Wabu był dla mnie zaskoczeniem. Czułem, że dzieje się coś niedobrego. Wiedziałem, że nie są ze mną szczerzy, że coś knują. Czyżby rebelianci zdołali ich zastraszyć? W rzeczy samej wyglądali na wystraszonych: zbijali się w grupki, rozmawiali szeptem. W jednej z chałup słychać było cichy, ale przejmujący płacz kobiety. Niczego konkretnego nie mogłem się dowiedzieć. Stary szef zniknął i nikt nie mógł, czy też nie chciał mi powiedzieć, co się z nim stało. Zbyt dużo jednak włożyłem pracy w zorganizowanie połowów, zbyt dużo głodnych czekało na ryby, bym dał za wygraną. Jak zwykle w takich wypadkach posłałem po księdza M. Niezastąpiony ksiądz M.! Znaczący nie tylko murzyńskich zwyczajów ale i murzyńskiej duszy. Tutejsze zabobony, czary i tabu nie miały dla niego tajemnic. Był wprost nieocenionym pomocnikiem we wszystkich sprawach dotyczących stosunków z tubylcami. A teraz stał przede mną zdyszany i bezradny. Jego niebieskie oczy krótkowidza wyrażały zza okularów bezgraniczne zdumienie.

To niesłychane, kondotierze - mówił - prędzej bym się tu spodziewał białych niedźwiedzi, niż "ludzi krokodyli"!

Drugie whisky /przed południem / uspokoiło go nieco.

"'Ludzie krokodyle' - zaczął mówić już spokojniejszym głosem są to małe plemiona ludożercze. Wędrują one wzdłuż rzek. Rzadko liczą więcej niż sto osób, wliczając w to małe dzieci. Gdy natrafiają na rybacką wieś, to czają się w chaszczach po przeciwnej stronie rzeki. Czekają do nocy. Wiesz przecież, kondotierze, jak wygląda połów ryb..."

Rzeczywiście wiedziałem. Wielokrotnie obserwowałem moich M'Wabu. Malowniczy widok! Wypływa na rzekę dwadzieścia, trzydzieści pirog, a w każdej dwóch mężczyźni. Obaj stoją. Jeden, z tyłu, długą tyczką bambusową napędza pirog, drugi, z przodu, z pochodnią w lewej ręce i z oszczepem w prawej łowi ryby... W tej rzece jest tak dużo ryb, że całe ich chmary ściągają do świateł pochodni. Rybak nabija je na oszczep i wrzuca na łódź, jak chłop siano widłami. Ryby po pięć do dziesięciu kilo. W kwadrans piroga jest pełna... Trzeba dobić do brzegu, gdzie kobiety opróżniają ją błyskawicznie. Nowy rejs, nowy połów. Dziesiątki pochodni na szeroko rozlanych wodach rzeki²¹. Światło odbija się w falach. Księżyc, palmy na brzegu. Sielanka!

"'Ludzie krokodyle' płyną pod wodą - ciągnął dalej ksiądz M. - po dwóch, po trzech, z rurką bambusową w ustach pozwalającą oddychać. Podpływają pod pirogę najbardziej oddaloną od

²¹ Luluaba na wysokości Wanie Rukula ma prawie kilometr szerokości.

innych, najbliższą przeciwległego brzegu. Przewracają ją. Piroga to przecież tylko wydrążony pień drzewa. Topią rybaków, po czym wyciągają ich na brzeg. Po wypatroszeniu... kilkadziesiąt kilo mięsa. Całe plemię ma co jeść. Na drugi dzień suną dalej, do innej osady rybackiej. A zabobonni rybacy wierzą w nieczyste siły i całymi dniami boją się wypływać na połowy²²."

"Belgijska administracja Konga walczyła z tą plagą od początku czasów kolonialnych - mówił dalej ksiądz M. wyraźnie przejęty - i, jak mnie uczono, w latach dwudziestych już 'ludzi krokodyli' w Kongo nie było."

Jak cienka jest politura cywilizacji! W latach sześćdziesiątych wystarczył krótki moment, by dziesięciolecia pracy cywilizacyjnej poszły w zapomnienie i stare zwyczaje odżyły.

W Afryce ludożerstwo istnieje ciągle... Czasami jest to ludożerstwo rytualne. Zjada się wątrobę pokonanego wroga, by przywłaszczyć sobie jego męstwo. Ale ludożerstwo proste, żywnościowe, istnieje również. No, cóż, łatwiej czasem upolować człowieka niż antylopę... Dwa lata przed opisywanymi wypadkami na północny wschód od Stanleyville spadł na dżunglę samolot. Leciało nim, prócz załogi, dwunastu włoskich techników. W dżungli, odcięty od reszty armii, głodował kongijski batalion piechoty. Po załodze samolotu i włoskich techników zostały poogryzane kości. Światowe środki przekazu przemilczały ten fakt. Mówić o ludożerstwie - to być posądzonym o rasizm. Zwłaszcza, gdy się popiera prawo do samostanowienia "n a r o d ó w".

Gardło mi się kurczyło z obrzydzenia i siłą powstrzymywałem przemożną chęć "wyjazdu do Rygi". Na polanie - po prawej stronie rzeki Luluaba - pobojowisko! Leżą trupy nagich mężczyzn i kobiet. Zgniły zaduch przyprawia o mdłości. W towarzystwie starego szefa plemienia M'Wabu oglądamy to, co w przeddzień było obozowiskiem "ludzi krokodyli". Wygasłe ognisko, nad nim, na dwóch krzyżakach drąg, służący za różno, a wokół niedojedzone szczątki ludzkie. W trawie obcięte głowy. Głowy ludzi, których znałem: dwóch rybaków z plemienia M'Wabu.

Po rozmowie z księdzem M. wysłałem kompanię katangijskich żołnierzy z rozkazem wybicia ludożerców. Nie było to sprawiedliwe. Czyż można karać kogoś za postępowanie zgodne z jego zwyczajami? Ale stałem przed koniecznością zapewnienia moim rybakom spokojnych połowów, od których zależało wyżywienie miasta. "Ludzie krokodyle" wyginęli od katangijskich kul. Stary szef rybackiego plemienia przekonał się naocznie, że to nie złe duchy nocy czy-chały na jego podwładnych.

Wieczorem, wśród płaczu kobiet i dzieci przy ponurym dźwięku tam-tamów, wioska Wanie Rukula zrobiła pogrzeb dwóch głów.

W nocy znów dziesiątki pochodni błyszcząły na majestatycznej rzece. Odwieczna Afryka...

²² Rybacy nie zdają sobie sprawy, że są ofiarami ludożerców. Posądzają, że przyczyną znikania niektórych z nich są wodne demony.

MCHAWI MUKUNDU I TRZECH LEGIONISTÓW

Benigno siedział strapiiony nad niedopitym piwem. Ten niski, czarniawy, o atletycznej budowie, młody Włoch z Sardynii nie był człowiekiem skomplikowanym. Jego znajomość francuskiego ograniczała się do żargonu wojskowego i ogromnego zapasu potwornych przekleństw. To było wszystko, co wyniósł z wieloletniej służby we francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Tak naprawdę, to wyniósł również szeroką bliznę na piersiach i wysokie odznaczenie za odwagę. Był to doskonały żołnierz: odważny, lojalny, lubiący wojnę wraz z ryzykiem, jakie niesła. Nie znał innego zawodu, innego życia. Choć niski, był silny, proporcjonalnie zbudowany i miał w sposobie poruszania się coś z drapieżnika. Smagła cera i przymrużone oczy nadawały mu swoistego uroku, który psuła ze szczerem przylizana i tłusta fryzura włoskiego lowelasa.

Na froncie był spokój. Dowództwo brygady szykowało się do ofensywy w kierunku na Bafasende. Ja powoli, a skutecznie, pacyfikowałem okolice Wanie Rukula, wprowadzałem administrację cywilną i porządek. Akcje wojskowe ograniczały się do rozsyłania patroli i pilnowania bezpieczeństwa komunikacji. Dla moich wojaków były to prawie wakacje. Wolni od służby, po wyczyszczeniu broni po raz setny, zajmowali się czym mogli - najczęściej kobietami. Jedyną przerwę w monotonii stanowił udział w konwojach do Stanleyville.

Wojsko zajmowało się czym mogło. Benigno siedział zaś nad butelką piwa. Gdyby był Słowianinem, można by go posądzić o chandrę. Benigno był jednak Włochem. A Włoch chandry nie miewa. Zaniepokoiłem się: "Benigno, co ci dolega?" - spytałem po godzinie.

"Mam dosyć na to życie - powiedział, używając swoistej składni. Patrzył nadal ponuro w niedopitą butelkę. Nagle ożywił się: Zrób coś porucznik - puść na wycieczkę!"

Wycieczkami nazywał Benigno "luźne patrole". W naszej gwarze oznaczało to marsze przez dżunglę trochę na chybił trafił, w kierunku, w którym można się było spodziewać zgrupowań przeciwnika. Czasem daremna męka, czasem duże ryzyko. Służyło to celom pacyfikacyjnym, gdyż wróg nigdzie nie mógł się czuć bezpiecznie. Na jednym z takich luźnych patroli natknąłem się na goryla, który dzikim rykiem i biciem w potężne piersi usiłował nas wystraszyć ze swej polanki. Udało mu się to nad podziw i musiał być bardzo dumny. Kazałem się wycofać: gdzie są goryle - tam nie ma ludzi, a więc dalsze przetrząsanie dżungli w tej okolicy było bezcelowe. Innym razem szedłem na przedzie obserwując dwóch Katangijczyków wyrabujących przed nami przejście w gęstwinie splątanych lian. Nagle widzę jak jeden chwytą drugiego za rękę i potężnym ciosem maczety²³ obcina mu przedramię. Sekunda zdumienia i... dławiący gardło strach: w odrabanej, skrwawionej ręce tkwiła strzała. Po kolorze pióra poznałem, że zatruta²⁴. Katangijczyk dzięki błyskawicznej reakcji ocalił swemu towarzyszowi życie - czyniąc go kaleką. Benigno patrzył na mnie wzrokiem żebrzącego psa. Wahalem się jeszcze. Nie lubiłem narażać ludzi, a w okolicy był spokój. Z drugiej strony wojsko rozpuszczało się, a patrol po drugiej stronie rzeki mógł się przydać: donoszono o jakiejś bandzie idącej na pomoc dobrze już rozbitej przez nas rebelii.

"Weź IV pluton i idź zobaczyć co się dzieje w tym kierunku - machnąłem ręką na południowy zachód - 24 godziny i ani minuty więcej. Wymarsz za godzinę". Benigno rozjaśnił twarz w drapieżnym uśmiechu, zerwał się z krzesła strącając ze stołu butelkę. "Ciebie kocham,

²³ Maczeta - wielki, lekko zakrzywiony, ciężki nóż, rodzaj szabli służącej do wyrabiania przejścia w gąszczu. Służy również jako broń.

²⁴ Zatrute strzały były dwojakiemu rodzaju: o zielonych piórach papugi, zatrute były "jadem trupim", czyli gangrenotwórczymi bakteriami ze zgniłego mięsa. Murzyni potwornie się tych strzał bali. Używano ich głównie w wojnach plemiennych. Stąd spora ilość kalek po lepiej lub gorzej przeprowadzonych amputacjach. Dla nas, dzięki penicylinie, te strzały były niegroźne. Strzały o żółtych piórach zaprawione były alkaloidem pochodzenia roślinnego zbliżonym do kurary. Powodowały śmierć przez paraliż mięśni gładkich /zatrzymanie funkcji serca/.

porucznik" - wykrztusił zdumiewające oświadczenia. Ale nie wychodził. Wiedziałem dobrze czego chce, ale udawałem, że nie wiem. "Porucznik, a dasz Billa i Joe, co? Dasz?" Benigno już nie prosił, ale błagał. "Dobrze - powiedziałem - ale jak tak, to Joe będzie dowodził! Przyślij go do mnie". - "Okay, porucznik" - Benigno puścił się klusem w kierunku budynków. Beningo był świetnym żołnierzem, ale kiepskim dowódcą. Co prawda instynkt prowadził go czasem lepiej niż innych kompas, ale nie miał za grosz rozważności - idąc za uciekającym przeciwnikiem tracił pamięć o świecie jak rasowy myśliwski pies. Bałem się powierzyć mu dowództwo. Ale jednocześnie nie chciałem go upokorzyć ciągłym pomijaniem w zadaniach dowódczych. Na całe szczęście był Joe.

Joe był Polakiem, nazywał się Józef Swara. Był sierżantem w Legii Cudzoziemskiej. Przystojny blondyn, rodem spod Krakowa. Uciekł na Zachód, gdy mu ojca w Polsce "rozkułaczono" na śmierć. Starego Swarę zabili pod płótem młodzi ideowcy z ZMP, którzy nieśli wsi postęp i sprawiedliwość. Stary nie miał wyrozumienia, że młodzież chciała się zabawić z córeczką. Zafłukił starego łopatami. "Szło nowe" - jak pisał pewien literat.

Józka Swarę wraz z siostrą przygarnęła dalsza rodzina. Jako syn "kułaka i wroga ludu" nie miał wielu szans. Więc zwiął z Polski przez Czechy z pewnym facetem z NSZ.

Józek, którego w Legii przezywano Joe, bo ponoć był podobny do jakiegoś aktora w dawno zapomnianym westernie widzianym gdzieś na przepustce w Sidi-Bel-Abez, miał dużo szczęścia aż do chwili, gdy zawisł na drutach kolczastych przeszyty serią z kałasznikowa. I nie poznałbym Józka, gdyby wtedy nie wyniósł go spod ognia jego żołnierz - Benigno. Od tej pory Benigno uznał Józka za swoją własność. I od tej pory byli nierozłączni.

Nieco później obu ocalił życie świeżo przybyły do Legii młody Francuz - Billi. Bill nazywał się naprawdę Jacques Treil i pochodził z Paryża. Do Legii przybył w samą porę by ocalić drużynę Józka Swary. Typowy paryski ulicznik, dowcipny i pełen werwy, był strasznie łasy na baby. Będąc na placówce pod dowództwem Józka, urwał się wieczorem do oddalonego o 12 kilometrów miasteczka, by skorzystać z płatnej miłości udzielanej tam szczerze we właściwej instytucji zwanej BMC²⁵. Gdyby go złapano, groziło mu rozstrzelanie za dezercję... Ale Bill nie takie by poniósł ryzyko, gdy go przyparła potrzeba. Wracając do swego oddziału usłyszał podejrzane odgłosy. Podczołgał się i spostrzegł, że jego kolegów otacza spory oddział wroga, który szykuje się do ataku z zaskoczenia. Bill kilkoma celnymi rzutami granatów wyrąbał sobie drogę do oddziału, a oddziałowi drogę odwrotu. Zdobył Medaille Militaire, a o jego kilkugodzinnej dezercji za "pilną potrzebą" wiedział tylko Józek. Odtąd nie rozłączyli się nigdy. Włoch, Polak i Francuz. Moich "trzech muszkietierów" z Legii. Benigno nieprzypadkowo wprost odważny i wierny w przyjaźni, Francuz pełen sprytu, inwencji i pomysłów. No i Józek. Józek był urodzonym dowódcą. Rozważny i odważny. Cieszył się autorytetem i budził zaufanie żołnierzy. Uzupełniali się świetnie i stanowili we trzech moją prywatną "task force". We trzech? Wiadomo przecież, że w "Trzech Muszkietierach" występuje ich czterech. W tym wypadku czwartym członkiem zespołu był Simba²⁶. Simba nie był legionistą. Urodzony Afrykanin, rodem z Konga. Był to po prostu żółty, tubylczy pies, który przed paroma miesiącami zapałał sympatią do Józka i postanowił, że ten właśnie wysoki blondyn będzie odtąd jego panem. We wszystkich operacjach, w których brał udział Swara, było widać żółtą, ruchliwą postać Simby. Na patrolach szedł obok nogi Józka. Wybiegał czasem do przodu, lecz po chwili, zaniepokojony, wracał do swego pana i liznąwszy go w rękę na przeprosiny za króciutką "zdradę" szedł krok w krok. Aż go znów poniósł temperament...

²⁵ BMC, czyli Bordel Militaire de Compagne, a w polskim tłumaczeniu dosłownym Wojskowy Burdel Polowy. Francuska instytucja "charytatywna" o starych tradycjach. Zniesiona w latach pięćdziesiątych.

²⁶ Simba - w języku suahili - lew. Tak sami siebie nazywali rebelianci; Tak nazwał Swara swego psa, gdy ten zrabował mu porcję doskonałego pasztetu i gęsiej wątróbki.

Patrzyłem z lekką zazdrością, jak patrol Swary wchodził w dżunglę po drugiej stronie rzeki. Jeszcze chwila i ostatni żołnierz IV plutonu katangijskiej kompanii zniknął w gąszczu. Moje obowiązki, o ileż bardziej nudne, trzymały mnie na miejscu.

W dwie godziny później uwagę moją zwrócił przeraźliwy skowyt. Do mojego biura wpadł Simba. Pies wyglądał strasznie: miał pianę na pysku, był zziębnięty i cały tył ciała ociekał mu krwią. Skomlał i kręcił się w kółko skowycząc. Chwyciłem go za obrożę i przytrzymałem. Miał ucięty, a raczej urwany ogon i broczył krwią. Zawołałem sanitariusza. Dezynfekcja, bandaż i Simba napiwszy się wody dawał mi znać swym zachowaniem, że mam z nim iść. Co się stało z moim patroliem? Co się stało z Józkiem Swarą, któremu Simba jak zwykle towarzyszył? Jeszcze zanim zająłem się psem, włączyłem syrenę alarmową i w ślad za patroliem wysłałem silny oddział pod dowództwem mego zastępcy. Z pewnych powodów nie mogłem odejść na krok od polowej radiostacji... Simba widząc, że mnie nie namówi, spojrział na mnie z wyrzutem i pobiegł za oddziałem. Dogonił go i przez lornetkę widziałem jak wysforował się na czoło. Żółta plama z białą chorągiewką bandaża...

Mój zastępca wrócił wkrótce ze swoim oddziałem. Bez psa. Z jego raportu wynikało, że dwa kilometry od placówki spotkał żołnierza wysłanego przez sierżanta Swarę. Józek donosił, że kontynuuje patrol. Domyślił się, że Simba mnie "zawiadomi" i że zrobię alarm. Więc wysłał gońca z raportem. Donosił mi, że dzięki Simbie uniknęli poważnego niebezpieczeństwa. Tam, gdzie dróżka zwięzała się w ledwie widoczny ślad ścieżki wydeptanej przez słonie, pies wybiegł na czoło oddziału. Nagle huk, wybuch, dym, skowyt psa i żółta błyskawica przebiegła wzdłuż patrolu. Pies skowycząc uciekał do domu w obłądnym przerażeniu. Doświadczeni żołnierze patrolu zapadli w gąszcz z bronią gotową do strzału. W dżungli cichł powoli jazgot małp i papug spowodowany wybuchem. Chmara ptactwa poderwana do lotu opadła powoli na gałęzie drzew. W dżungli zaległa cisza nasycona wilgocią. Swara z ostrożnością zbadał sytuację...

Okazało się, że Simba wpadł po prostu na skaczącą minę. Miny te to mordercza broń. Gdy ktoś nieostrożnie zawadzi o czujnik zapalnika, specjalny ładunek wyrzuca minę na wysokość od metra do półtora. Mina, rozrywając się na tej wysokości, razi odłamkami w brzuch i piersi. I to nie tylko tego, który ją potrafił, ale wszystkich w promieniu kilkunastu metrów. Simbie strumień odłamków uciał ogon zawsze z dumą noszony w górze jak sztandar. Mina wybuchła ponad nim. Ostrzeżony patrol rozbił pole minowe i ruszył dalej. Simbę posadzono brzydko o tchórzostwo i dezercję z pola walki.

Czas już bym czytelnikowi wyjaśnił tytuł opowiadania. Trzech legionistów już przedstawiłem. A Mchawi Mukundu, to w języku suahili znaczy "czerwony czarownik". Pod tym przydomkiem znany był jeden z najgorliwszych podżegaczy rebelii. Potężne znał "czary" Mchawi Mukundu. Rzucił do walki najdziksze plemiona, oszołomione haszyszem, którego dym odurzał wojowników tańczących w rytm tam-tamów wokół ognisk. Mchawi potrafił rozniecić nienawiść. A jednocześnie był znany jako uzdrowiciel, co zwiększało jego wpływy. Był dla mnie przeciwnikiem o wiele poważniejszym niż samozwańczy "pułkownicy" i "generałowie" rebelii. Zwłaszcza że używani przez niego dzicy nie zdawali sobie nawet sprawy za co walczą i giną. Nawet nie wiedzieli, że giną idąc otumanieni haszyszem na karabiny maszynowe. Mchawi Mukundu był złym duchem dżungli. Byłem przekonany, że jego celem jest pozbycie się białych, tak żeby lekarze i misjonarze nie robili mu konkurencji. Z tych powodów większość czarowników opowiedziała się za rebelią. Co do czerwonego czarownika myliłem się jednak. Jego motywacje były inne.

Patrol wrócił nazajutrz prowadząc jeńców. Pierwszy pojawił się Simba, który gdzieś po drodze zgubił bandaż. Próbował dzielnie wymachiwać kikutem ogona.

Raport sierżanta Swara był, jak zwykle, precyzyjny: patrol strat nie poniósł żadnych /o psim ogonie nie wspomina się w wojskowych raportach/. Już po kilku godzinach marszu schwytali jakiegoś Murzyna, który, jak się okazało, uciekł od rebeliantów i starał się wrócić do swej wioski na terenach wyswobodzonych. Swara dowiedział się od niego o małym obozie rebeliantów, w którym czerwoni przechowywali jakieś skrzynie. Zaintrygowany Swara postanowił sprawdzić wiadomość. Prowadzony przez owego uciekiniera dotarł do świetnie ukrytego w dżungli obozu i stwierdziwszy, że z załogą poradzi sobie bez trudu, zaatakował obóz z trzech stron naraz. Czwartą stronę ograniczała niewielka, ale błotnista rzeczka. Atakować z tej strony było trudno, więc Swara zostawił za rzeczką obsługę lekkiego karabinu maszynowego. Potrzask zadziałał sprawnie. Pluton dowodzony przez Józka liczył trzydziestu ludzi. Dodać należy naszych trzech legionistów i Simbę. W obozie było ponad stu rebeliantów, ale zaskoczeni stawiali niewielki opór. Kilku zginęło, kilku było rannych. Sześćdziesięciu siedziało pod strażą na moim dziedzińcu, rzucając wokół przerażone spojrzenia. Opodal, osobno, katangijscy żołnierze pilnowali jakiegoś dzikusa. Twarz miał pomalowaną w białą-czarne pasy, tułów czerwony. Ramiona miał owinięte czymś, co z bliska okazało się węzową skórą. Tajemnicze skrzynie, o których mówił Józkiowi ów spotkany uciekinier, zawierały amunicję i sowieckie konserwy. Patrol prócz tego zdobył sporo nowoczesnej sowieckiej i chińskiej broni maszynowej. Gdy przeglądałem zdobycz, nagle na dziedzińcu powstało zamieszanie. To ów malowany cudak próbował ucieczki. Schwytany, przyciśnięty do ziemi szarpał się rozpaczliwie. Podszedłem bliżej. Obezwładniony patrzył na mnie wzrokiem, w którym strach i wściekłość walczyły o lepsze. Murzyni tak się na ogół nie zachowują. Gdy są w takiej sytuacji, zwycięża fatalizm. Stają się otepiali i potulni. Zaintrygował mnie mój dziwny jeńiec. Był nagi, z wyjątkiem skóry na biodrach, na szyi wisiały amulety: zęby małpie, wysuszone głowy jaszczurek i jakiś woreczek z węzowej skóry. Kazałem sobie ten woreczek dać. Jeńiec dostał szału. Bronił się tak, że trzech Katangijszyków z trudem dało sobie z nim radę. Zajrzałem do woreczka. Były w nim cztery złote obrączki i jakiś dokument. Oniemiałem ze zdumienia. Był to dyplom czeskiego uniwersytetu w Pradze. Wydział medyczny. Kazałem jeńcowi zmyć twarz. Fotografia się zgadzała. Mój "dzikus" skończył medycynę w Pradze...

Z przesłuchania świadków dowiedziałem się rychło, że miałem do czynienia z samym Mchawi Makundu, czerwonym czarownikiem. Znacznie później dowiedziałem się, że młody Masutu, bo tak nazywał się naprawdę, skończył studia jako stypendysta czeski. Jako że dobrze się zapowiadał albo spisywał - wysłano go na studia do Leningradu. Tam przygotowano go do roli, jaką miał odegrać w Kongo. Było to w latach pięćdziesiątych. Nikt jeszcze nie mówił o niepodległości belgijskiej kolonii. Sowietci na zapas kształcili agenta, który, choć lekarz, nie wahał się wysyłać setek swych ciemnych rodaków na pewną śmierć. Obiecano mu stanowisko w rządzie po zwycięskiej rewolucji. Miał rangę generała w armii rewolucyjnej. Wysłany do stolicy został stracony w lutym 1966.

A legioniści? Benigno wrócił na rodzinną Sycylię. Kupił największą chałupę we wsi, ożenił się i ma sześcioro dzieci. Popija miejscowe słodkie wino i jest bardzo szanowany. Kilka razy w miesiącu znika na cały dzień. Złośliwi mówią, że jeździ do miasta "za potrzebą". Ba, na Sycylii za uwodzenie porządnych kobiet można dostać nożem w plecy.

Bill, czyli Jacques Treil, wrócił do Paryża, kupił knajpę, którą "przegospodarował" z kolegami w ciągu kilku miesięcy. Wyjechał do Brazylii.

Józek Swara nie mógł ścierpieć Europy. Wyjechał jako kucharz do wielkiego hotelu w Arabii Saudyjskiej. Później znalazł się na Gwadelupie. Jego siostra, mieszkająca w Paryżu, mówiła mi niedawno, że Józek zamierza wrócić. Może go zobaczę.

HANYS

Hans Wyciorek miał paszport Niemieckiej Republiki Federalnej. Małego Hansa wyrzucono wraz z matką z domu na Śląsku. Nie wzięły władze pod uwagę, że matka do małego synka mówiła nie po niemiecku, lecz najczystszą gwara śląską, którą rodzina przechowała na przekór germanizacji. Co się nie udało Hakacie²⁷ co się nie udało Prusakom, a później hitlerowcom - to w pełni powiodło się władzom Polski Ludowej: Wyciorkowa i jej syn stali się Niemcami.

Hans, albo raczej Hanys, jak go nazywała matka, wyrósł w zagłębiu Ruhry. Był to chłopak milczący, nieskory do zwierzeń. Za wcześnie dojrzały? Piętno wojny wyciśnięte na osobowości dziecka? Pamięć, jak na jego oczach sowieci gwałcili matkę? A może pamięć o tym, jak ukochana babcia-piastunka konała w transporcie w bydłowym wagonie, w którym brutalna milicja stłoczyła wywożone na Zachód rodziny? Może to, że w szkole rówieśnicy kpili z jego języka, z akcentu?

Póki żyła Wyciorkowa, Hanys uczył się dobrze. Był dość zdolny, ambitny i nie rozpraszały jego uwagi zabawy z rówieśnikami. Ci szybko przestali na niego zwracać uwagę, gdyż przyjaciół nie szukał, a tych, co próbowali z niego drwić lub mu dokuczać, poskromił szybko pięścią.

Wszystko się skończyło, gdy umarła matka. Hanys przerwał naukę - jakby uczył się tylko dla matki - i ruszył w świat. Imał się wszelkich prac. Silny i pojętny łatwo znajdował krótkotrwałe zajęcia. Rzucił je, jechał dalej. Nie zagrzewał nigdzie miejsca. Poznał w ten sposób całą Zachodnią Europę.

Późną nocą przy ognisku w wąwozie gór otaczających kotlinę rzeki Ruzizi zostało nas dwóch: Robert, kapral z Legii Cudzoziemskiej i ja. Dowodziłem oddziałem rozpoznawczym. Robert obsługiwał krótkofalówkę. Czekaliśmy na przybycie przewodników. Oprócz straży - wojsko spało. Robert, dość gadatliwy, opowiadał mi swoje przygody. Syn bogatego fabrykanta, dwa lata studiów prawniczych na uniwersytecie w Lowanium. Gdy był na trzecim roku, dowiedział się, że w czasie wojny jego ojciec kolaborował z Niemcami. Robert rzucił studia, dom i zapisał się do Legii Cudzoziemskiej. Wraz z I Pułkiem Spadochroniarzy Legii brał udział w wojnie w Indochinach, jak wówczas nazywano Wietnam. Również wojna w Algierii go nie ominęła. Awansował szybko, lecz równie szybko degradowano go za niesubordynację. Minuta po minucie, papieros za papierosem snuł Robert swą długą opowieść o żołnierzach tułaczach spod znaku "Legia patria nostra"²⁸.

Marsylia, rok 1963. Robert opuścił Legię. Zdemobilizowany, szukał zajęcia w porcie. Zamieszkał w robotniczym hoteliku. Oszczędności miał niewielkie, musiał się spieszyć. Włącząc się po portowej dzielnicy, któregoś wieczoru zauważył osaczonego przez Arabów młodego człowieka, dosłownie przypartego do muru: oparty plecami o hangar portowy bronił się ciosami pięści i kopniakami przed trzema opryszkami uzbrojonymi w noże. Robert, który przeszedł niejedno w Algierii, Arabów nie lubił. Niewiele myśląc ruszył z odsieczą. Na jego widok Arabowie pierzchli. Trzech na jednego, to jedyny stosunek sił jaki uznawali. Na placu boju został Robert i słaniający się nieznajomy. Spod przyciśniętej do piersi ręki wypływała krew. Robert podbiegł bliżej i wtedy poznał rannego. Był to jego sąsiad z hotelu robotniczego, ponury typ, który kilka dni temu zwrócił na siebie uwagę wyjątkową opryskliwością i niechętnym stosunkiem do bliźnich. Spotykali się na klatce schodowej. Na wesołe pozdrowienia jowialnego Belga - tamten odpowiadał niechętnym pomrukiem. Raz go tylko Robert widział uśmiechniętego i rozmarzonego: wpatrzony w

²⁷ Hakata, potoczna nazwa nacjonalistycznej organizacji pruskiej OSTMARKVEREIN, której celem była germanizacja ludności zaboru pruskiego.

²⁸ "Legia naszą ojczyzną" - hasło na sztandarach Legii Cudzoziemskiej.

wystawę sklepu z bronią tkwił długi moment bez ruchu. Gdy oderwał się od niej - uśmiech na jego twarzy zgasł. Teraz leciał Robertowi z rąk. Krew spływała na mokry asfalt, gdzie w blasku portowych latarni oliwną tęczą lśniły kałuże brudnej wody...

"Teraz łączy nas braterstwo krwi" - powiedział Hanys Robertowi gdy po kilku dniach pobytu w szpitalu przyszedł do siebie i dowiedział się, że to Robert ofiarował swą krew do transfuzji, która ocaliła mu życie... Był jeszcze osłabiony. Miał gorączkę. Robert odwiedzał go często. Rana i związane z nią osłabienie spowodowały pęknięcia w skorupie, jaką Ślązak zwykł odgradzać się od ludzi. Wtedy to Robert poznał koleje życia swego przyjaciela. Po wyjściu ze szpitala Hanys stał się - jak przedtem - małomówny i nigdy już do tematu nie wrócił. Gdy jednak, kilka tygodni później Robert znalazł się w opałach, gdyż był winny sporą sumę pieniędzy marsyliańskim gangsterom - Hanys oddawał mu prawie całe swe zarobki i pilnował, by się jego przyjacielowi nie stała jakaś krzywda... Tak żyli pewien czas: syn bogatego Belga i syn biednej Ślązaczki. Robert górował wykształceniem, Hanys sprytem. Robert był wytrawnym komandosem, Hanys doświadczonym włóczęgą portowym. Uzupełniali się nawzajem: Belg jowialny i beztroski, Hanys ponury i - jak dawniej - małomówny. Stanowili niebezpieczną parę. Gdy wybuchła rewolucja w Kongo i secesja Katangi dawni koledzy Roberty z Legii Cudzoziemskiej nie zapomnieli o nim. "Przyjeźdź - pisali - tu jest wojna, znów jesteśmy razem". Robert pokazał list Hanysowi. Ślązak nie zastanawiał się długo. Znaleźli się w Katandze. Wkrótce było o nich głośno...

Ognisko już dogasało, gdy do naszego obozu przybyli wreszcie oczekiwani przewodnicy. Zarządziłem alarm i nakazałem wymarsz w kierunku, gdzie w blasku wschodzącego słońca wynurzały się pokryte palmami wzgórza. Powietrze, jeszcze rześkie, już nagrzewało się i drgało wyraźnie w oczekiwaniu codziennego upału.

W bitwie, jaka się rozpętała, zginął mój nocny towarzysz, były żołnierz Legii Cudzoziemskiej, dawny student prawa - Robert.

Zginął rozbijając gniazdo karabinu maszynowego, który sparaliżował oddział w odkrytym wąwozie i zadał nam poważne straty. Ten przeklęty karabin maszynowy umilkł w porę, bym mógł bezpiecznie wydostać się z miejsca, w którym chwilę potem rozerwał się granat... Robert nie dowiedział się nigdy, że ocalił mi życie i że ostatnia w tych górach bitwa została wygrana dzięki niemu.

Hanys Wyciorek nie mógł sobie darować, że go tam z nami nie było. Chory na malarię przebywał w lazarecie.

Gdy wrócił do oddziału - był jeszcze bardziej ponury niż zwykle. Po pogrzebie Roberta wyjechał z Konga. Nigdy już nie wrócił. Gdyby nie owa noc przy ognisku i opowieść Roberta nie wiedziałbym nic o tym człowieku, który mnie zaintrygował od momentu gdy przedstawił się słowami: "Je suis un Silesien, pour ainsi dire aussi un Polonais"²⁹.

Wiele lat później dowiedziałem się, że Hanys skończył kursy pielęgniarskie i leczy trędowatych gdzieś w Indiach.

²⁹ "Jestem Ślązakiem, czyli można powiedzieć, Polakiem".

SIERŻANT WIATR

Okolice Kiwu to Szwajcaria Konga: piękne czyste jezioro wśród wulkanicznych gór. W północnej części jeziora odbija swą przysadziłą sylwetkę czynny, ciągle dymiący wulkan Goma. Woda przedziwnie czysta pozwala oglądać dno w najgłębszym miejscu, a jezioro jest bardzo głębokie. Wody Kiwu są przesycone wulkanicznym gazem, który zapobiega rozmnażaniu się wodorostów. Brak mułu i szlamu odstrasza krokodyle, a niedostatek wodorostów powoduje, że tylko nieliczne gatunki ryb zamieszkują jezioro. Do nich należy doskonała telapia³⁰ - specjalność restauracji "Bodega" w Bukawu. Kiwu jest położone wyżej niż Tanganika i między jeziorami sączy się leniwie rzeka Ruzizi. Okolice Kiwu mają klimat idealny: położone dość wysoko, by nie dusić się w mdłych oparach dżungli, jednocześnie korzystają ze zrównoważonego klimatu równikowego. Temperatura rzadko przekracza 35°C i rzadko schodzi poniżej 25°. Noce stosunkowo chłodne zapewniają zdrowy sen, a ciągle wiejący lekki wietrzyk skutecznie zwalcza plagę Afryki - komary. Zbudowane przez Belgów na pięciu półwyspach, jak na pięciu palcach ręki, położone nad jeziorem miasto Bukawu było - w czasach kolonialnych - przede wszystkim miejscowością wypoczynkową. Korty tenisowe, pływalnie, przystań żeglarska, piękne widoki i sady, w których rosły zarówno afrykańskie, jak i europejskie drzewa owocowe... Wierzyć się nie chciało, że gdzieś obok trwa wojna. Nikt wówczas nie przewidywał, że w kilkanaście miesięcy później miasto zostanie całkowicie zniszczone³¹.

W ostrym łuku między dwoma półwyspami, w pięknym parku na tarasie należącym do znakomitej restauracji "Bodega", siedział samotnie zamyślony mężczyzna. Ubrany był w dobrze skrojony strój spadochroniarski. Jego pociągła twarz zdradzała dziwny smutek i melancholię. Gdy podszedłem do stołu podniósł na mnie zdziwiony i jakby trochę niechętny wzrok. "Czy mogę się dosiąść" zapytałem po francusku. Okulary błysnęły zimno, nieprzyjaźnie. "Proszę" - burknął wskazując na miejsce naprzeciwko i zapadł w swoistą zadumę. Wiedziałem, że zgodził się tylko dlatego, że jemu, sierżantowi, nie wypadało się sprzeciwić życzeniu oficera.

"Dziękuję" - powiedziałem tym razem po polsku. Sierżant Wiatr podniósł znowu wzrok, tym razem wykazując odrobinę zainteresowania. Szybko przejechał po mnie spojrzeniem. "Porucznik Gan-Ganowicz, przypuszczam?" - bardziej stwierdził, niż spytał i zajął się resztkami telapi na swoim talerzu. Przeklinałem swoją ciekawość. Ostrzegano mnie przecież, że Wiatr to odludek i mizantrop.

Do Bukawu przyleciałem tegoż dnia w południe, mianowany zastępcą kapitana D., dowódcy zgrupowania "Kobra", operującego w tych okolicach. Wiedziałem, że spotkam tu swoich rodaków. Z jednym z nich siedziałem teraz na tarasie "Bodegi". W zachodzącym słońcu iskrzyło się pod nami jezioro Kiwu.

Do "Bodegi" przyszedłem, bo wiedziałem, że zastanę tu Wiatra. Słyszałem o nim już dużo wcześniej. Mówiono mi, że to świetny żołnierz. Opowiadano, że wydostawszy się z zasadzki przedarł się przez opanowaną przez rebelię dżunglę: dwustukilometrowa wędrówka trwała miesiąc i była wyczynem niepowtarzalnym. Przeżyć samotnie miesiąc w dżungli, to nawet w czasach spokojnych wydaje się niemożliwe, zwłaszcza dla Europejczyka. A Wiatr musiał unikać nie tylko węży i drapieżników, ale i ludzi... Gdy pojawił się nie wierzono oczom.

³⁰ Telapia: jeden z nielicznych, żyjących w jeziorze Kiwu, gatunków ryb. Niezwykle smaczna, przyrządzana w grejpfrutowym sosie, telapia była specjalnością "Bodegi".

³¹ Dwa tysiące katangijskich żołnierzy i stu białych najemników stawiało tu czoła całej armii kongijskiej przez wiele miesięcy. Kongijska armia bezlitośnie zbombardowała miasto. Zginęło wielu moich kolegów.

Jeszcze inny wyczyn Wiatra przyczynił się do powstania legendy. Było to przed rokiem, gdy w Bukawu dowodził jeszcze kpt. Kowalski. Chodziły wtedy słuchy, że szef plemienia Tussi graniczącego z obwodem Kowalskiego zamierza zdradzić i przejść na stronę rebelii. Wiatr poprosił o trzydniową przepustkę, wziął ze sobą dwóch czarnych żołnierzy ze swego plutonu, przepłynął na pontonowej łodzi Kiwu. Na trzeci dzień wrócił. Na dnie łodzi leżał związany jak salceson ów szef. Kowalski umieścił szefa w ładnym domu, dostarczył mu kobiet i piwa, a dom otoczył czujną strażą. Odtąd szef rządził plemieniem na odległość, przez wysłanników, a jego syn dbał o to, by plemię trzymało się z dala od rebeliantów. Obaj na tym dobrze wyszli. Gdy rebelia upadła, szef nadal został szefem, a dobry syn ministrem w prowincjonalnym rządzie. A dzięki komu? Sierżant Wiatr nigdy nie opowiedział jak udało mu się porwać szefa wielkiego plemienia ze środka wioski strzeżonej przez licznych wojowników. Tacy ludzie jak Wiatr to klęska dla dziennikarzy.

Koszary europejskiej kadry zgrupowania "Kobra" mieściły się w budynku dawnego belgijskiego liceum. W szkole był sztab, służby zaopatrzeniowe, biura i radiostacja. W dawnym internacie męskim mieli swe pokoje najemnicy: żołnierze i podoficerowie. Oficerowie zajmowali kwatery w mieście w opuszczonych przez mieszkańców willach.

Budynek dawnego internatu żeńskiego przeznaczony był na szpital wojskowy. W pokoiku, który jeszcze nie tak dawno zajmowała jakaś belgijska uczennica liceum, teraz umierał sierżant Wiatr. Przesiadywałem często w maleńkim pokoiku. Wysoka gorączka zerwała łączność Romka z rzeczywistością. Piszę Romka, gdyż zdążyłem się z nim w międzyczasie zaprzyjaźnić. W Bukawu byłem już ponad dwa miesiące. Kilka wspólnych niebezpiecznych wycieczek utrwaliło we mnie szacunek do tego dość niezwykłego człowieka. Przyjaźń ta polegała na wzajemnym zaufaniu. Bo bliższy kontakt był z Wiatrem zupełnie niemożliwy. Ten dziwak milczał ciągle i odzywał się tylko wtedy, gdy było to rzeczywiście niezbędne.

Teraz, w gorączce mówił dużo. Mówił jakby pragnął nadrobić stracony czas. Tak, jakby poprzednio oszczędzał słów wierząc, iż musi ich starczyć na długie życie, a teraz umierając, chciał pozbyć się oszczędności, zanim umrze.

Już kilka dni upłynęło od chwili, gdy wpadliśmy w zasadzkę, w której Roman został ranny pociskiem przeciwpancernym. Udało nam się dowieźć go żywego do szpitala. Operacja trwała trzy godziny. Roman obudził się po narkozie półprzytomny. Nie rozpoznawał ludzi i mówił tylko... po polsku. Jakby zapomniał francuskiego. Zawołano mnie jako jedyne go poza nim Polaka w Bukawu. Odtąd każdą wolną chwilę spędzałem przy łóżku rannego rodaka. A z beładnych gorączkowych wypowiedzi udało mi się choć częściowo odtworzyć przeszłość tego, znanego w całym Kongo, żołnierza.

Z jego słów wynikało, że będąc małym dzieckiem został z rodzicami wywieziony na Syberię. Tam rodzina uległa rozbiciu: ojciec poszedł do więzienia. Po pewnym czasie umarła matka. Dobrzy ludzie przyprowadzili go do któregoś z obozów tworzącego się wojska polskiego. Ojciec, wypuszczony z więzienia na skutek umowy Sikorski - Stalin, dziwnym trafem trafił do tego samego obozu... Ponowna rozłąka: małego Romka wyewakuowano z Sowietów wraz z setkami innych polskich dzieci. Ojciec przeszedł cały szlak bojowy Drugiego Korpusu. Spotkali się ponownie dopiero w Anglii, po wojnie. Razem wrócili do Polski. W pięćdziesiątym pierwszym starego Wiatra zabrało UB. Młodego wsadzono do domu poprawczego. Tam nauczył się milczeć: każde nieostrożne słowo mogło drogo kosztować. Gdy zwił z poprawczaka, stary Wiatr już nie żył. Zamordowali go niemal tego samego dnia, w którym umarł Stalin...

Romek uciekł do Berlina Zachodniego. Trzy lata po mnie. Pieszko przeszedł całe Wschodnie Niemcy ukrywając się w lasach. Już wtedy widocznie był obdarowany nieomylnym instynktem, którym tak zabłysnął w Kongo. Później Francja, nieszczęśliwa miłość i Legia Cudzoziemska, ten przytułek niepokornych rozbitków.

A teraz Romek umierał w przerobionym na szpital internacie żeńskim w afrykańskim mieście Bukawu. Wspominał jedyną miłość swego życia, młodą Francuzkę imieniem Yvonne.

Gdy przyszedłem nazajutrz do szpitala - już nie żył. Dopiero gdy go wynoszono, zauważyłem na drzwiach pokoju małą etykietkę z imieniem jego ostatniej lokatorki.

Młoda Belgijka, która tu niegdyś mieszkała, też miała na imię Yvonne.

O KRASICKIM NIE BAJKA

W miejscowości Uwira w pobliżu jeziora Tanganika, a właściwie w dolinie rzeki Ruzizi, ogromne plantacje trzciny cukrowej ciągnęły się kilometrami. Rzeka Ruzizi wypływała z jeziora Kiwu, by po przebiegnięciu stu dwudziestu kilometrów umrzeć w Tanganice.

W porównaniu z okolicami Kiwu jest to inny świat. Potężne jezioro Tanganika wywiera wpływ na klimat: dużo więcej wilgoci w powietrzu, dużo więcej opadów. Krajobraz dzikszyszy, bardziej afrykański. Jezioro potężne jak morze, pełne ryb, krokodyli i hipopotamów. Burze na Tanganice są siłą równą morskim sztormom, a może nawet dziksze o tyle, że przebieg tropikalnych burz jest niezwykle gwałtowny, ilość i potęga piorunów nie spotykana gdzie indziej. Deszcz jest tak gęsty, że w biały dzień robi się ciemno, a rozgadana zazwyczaj fauna milknie z przerażenia.

Biorąca swój początek w Kiwu rzeka Ruzizi w swym krótkim żywocie zmienia całkowicie charakter. Córka Kiwu, która toczy swe przejrzyste wody koło miasta Bukawu, bruka się, pleśnieje, gnije. Zaczyna swój bieg jako zdrowa nieposzlakowana dziewczica, by skończyć w Tanganice jako trędowata cuchnąca starucha. Jakże straszne musi być krótkie życie tej rzeki, by nastąpiła taka metamorfoza.

Ktoś ciekawy, kto chciałby prześledzić bieg rzeki Ruzizi, poznać przyczyny jej choroby i upadku, musiałby dać się ponieść jej wodom. Zarosłe trzcinami bagna, przez które płynie, należą do najmniej gościnnych miejsc Afryki. W bagnach tych żyją masy krokodyli, na które tutaj nie poluje nikt: ludzie unikają doliny rzeki Ruzizi. Jadowite żmije, ostre jak brzytwy liście trzciny, trzęsawiska, zawsze chętne wessać nową ofiarę, pilnują, by degeneracja Ruzizi odbywała się dyskretnie, bez świadków. A chmary komarów roznoszą w dolinie najstraszniejszą odmianę malarii: nieszczęśnik, któremu tę chorobę zaszczepiły komary znad przeklętej rzeki, całe życie będzie nosił ślad, jak rzucony przez złą wróżkę czar. Nigdzie w Kongo nie ma tak wielu ludzi ślepych, głuchych i niespełna rozumu, jak właśnie w tych okolicach.

Kotlina, którą płynie Ruzizi, ma w najwęższym miejscu zaledwie kilkanaście kilometrów i jest ze wschodu i zachodu ograniczona pasmami gór. Jako że w tych okolicach wiatry najczęściej wieją z zachodu - duszna kotlina jest od nich zasłonięta i nieśmiały powiew rzadko zakłóca niezdrowe opary. W pobliżu Tanganiki, czyli w końcowym biegu rzeki, dolina rozszerza się, nagle staje się bardziej przewiewna i sucha.

Tu rośnie trzcina cukrowa. Morze trzciny cukrowej jak okiem sięgnąć. Nic, tylko falista żółtość, aż po mglisty horyzont. Potężne belgijskie Towarzystwo Afrykańskiego Cukru, w skrócie SUCRAF Co, włożyło słone pieniądze, a Murzyni z okolicznych wsi tyleż gorzkiego potu, by na terenach wyrwanych spod władzy trupiej rzeki móc założyć plantacje i eksportować w świat słodycz w barwnych pudełkach.

SUCRAF to nie tylko żółty bezkres, jak z szalonych snów Van Gogha, to nie tylko magazyny, hangary i bogata willa dyrektora - to przede wszystkim potężna, nowoczesna cukrownia. Szara kotłownia, w której spalano pozbawione słodkiej treści resztki trzciny, była jej sercem. Wysoki komin wyrzucał miarowo kłęby dymu, jak sygnały Indian, gdzieś, w innych czasach i na innym kontynencie.

Trzy lata trwała wojna w tych okolicach. Wojna o wolność dymu z komina. Czerwona rebelia robiła wszystko co w jej mocy, by cukrownię unieruchomić, a setki robotników plantacji włączyć w swe szeregi. Władze zaś robiły wszystko, by dym z komina cukrowni dawał, na

dziesiątki kilometrów wokół, świadectwo normalności i spokoju. W miarę upływu czasu dym z komina stawał się symbolem, urastał do stawki w tej wojnie, był ważniejszy niż życie żołnierzy, którzy go bronili, niż życie rebeliantów, którzy chcieli go stłumić. W dalekim sztabie pytano lotników przelatujących nad tą okolicą, czy widzieli dym nad plantacją SUCRAF-u...

Aż wreszcie, na wiosnę roku 1966, przedstawiciel potężnego SUCRAF-u udał się do dalekiej stolicy, do samego Najważniejszego Generała. Wręczył mu w imieniu firmy spory plik zielonych Argumentów Nie Do Odparcia. Wskutek tego dolina rzeki Ruzizi została ogłoszona Ważnym Strategicznym Obiektem. René D., dowodzący zgrupowaniem "Kobra" w Bukawu, został wprost zasypany rozkazami. W znacznie mniejszym stopniu sypnięto ludźmi i bronią. No, ale wśród skąpych posiłków kapitan René D. uzyskał mnie. Nie wykazywał z tego powodu większej radości.

Kapitan D., odważny, młody francuski oficer, rzucił armię francuską, gdyż się... nudził. Armia regularna w czasie pokoju to rutyna, a René, mój późniejszy wielki przyjaciel, rutyniarzem nie był. Ogromne, atletycznie zbudowane chłopisko, o twarzy greckiego boga wojny miało też duszę wojownika. Znalazł się w Kongo, gdzie od wielu już miesięcy gryzł wędzidła narzucone mu przez sztab. Był zwolennikiem brawurowych akcji skazanym na nową rutynę. Zgrupowanie "Kobra" w rękach kapitana D. przekształciło się w doborową jednostkę. René pozbył się ciamajdów, pseudożołnierzy i tym podobnych dekowników. Wreszcie Niezbite Argumenty SUCRAF-u przekonały kogo należy i z dowódcy zgrupowania "Kobra" zdjęto obrożę...

Trzy dni później René postawił na nogi wszystkie oddziały między Kiwu a Tanganiką. Spieszył się jakby się bał, że ktoś, tam na górze, rozmyśli się, zmieni rozkazy i znów skuje wołę walki na długie miesiące... Zwłaszcza, że komin nad plantacją dymił od pewnego czasu bez poważniejszych przeszkód...

Działania wojenne zaplanowane przez kapitana D., które miały się skończyć ostateczną pacyfikacją regionu, nosiły nazwę "Operacja Znicz", ale mogłyby przejść do historii jako "wojna trzech Polaków", gdyby nie smutny fakt, że w ogóle do historii nie przeszły.

Operacja René D. polegała na jednoczesnym ruchu trzech oddziałów: jeden, pod dowództwem kapitana Topora-Staszaka, miał ruszyć znad Tanganiki, drugi, dowodzony przeze mnie, z Bukawu. Trzecim dowodzić miał porucznik Krasicki.

Topora znałem ze Stanleyville: to po nim objąłem dowództwo 12 batalionu po przyjeździe do Konga. Krasickiego poznałem przed kilku zaledwie dniami w zabawnych okolicznościach. Gdy po przybyciu do Bukawu zostałem oficjalnie mianowany zastępcą kapitana D., musiałem zapoznać się z sytuacją zgrupowania "Kobra". W tym celu zacząłem systematycznie odwiedzać rozsiane wokół Bukawu placówki "Kobry", jedną z nich dowodził "Le Comte" /Hrabia/, jak go tu wszyscy nazywali.

Była dość wczesna godzina, gdy zajechałem jeepem na miejsce postoju mego arystokratycznego rodaka. Ciekaw byłem go poznać. Tyle o nim słyszałem "w sferach towarzyskich" Bukawu. Przed rewoltą był zarządcą w olbrzymich plantacjach Sapiehów³². Cudem ocalał z rzezi, jaką zbuntowane plemiona urządziły w momencie, gdy nad Kongiem rozszalała się

³² W czasie murzyńskiej rewolty z ręki rebeliantów zginął kuzyn i szwagier Krasickiego, hrabia Bielski, wraz z żoną, z domu księżniczką Sapieha. Krasicki cudem uszedł z życiem. W momencie opisywanych wypadków nie wiedział, co się stało z jego synem. Okazało się, że wyszedł cało. Żyje do dziś w Kongo. Inny syn Krasickiego jest w Australii. Im to dedykuję tę garstkę wspomnień o moim przyjacielu.

czerwona zaraza. Krasicki przy pierwszej sposobności przyłączył się do wojska. Zaniżył swój wiek, by go przyjęto. Administracja przymknęła oczy: oficerów brakowało. W rzeczywistości Krasicki miał wtedy już 60 lat.

Placówka dowodzona przez Krasickiego broniła wstępu do miasta ze strony wschodniej. Skrzyżowanie dróg, kilka drzew i niewielki domek. Trzy stanowiska karabinów maszynowych chronione workami z piaskiem. Opodal murzyńskie chaty w bananowym gaju. "Gdzie porucznik?" - spytałem rozchełstanego Katangijczyka wyskakując z jeepa. "Myje się!" - odpowiedział z uśmiechem wskazując ręką w stronę kępki drzew rosnących opodal. Poprzez zarośla wila się w tamtym kierunku wydeptana ścieżka. Ruszyłem w gąszcz. Gdy wynurzyłem się w pobliżu zagajnika, stanąłem jak wryty. Pod jednym z drzew stał odwrócony do mnie tyłem nagi, tęgawy mężczyzna. Z podwieszanej na gałęzi drzewa ogrodowej konewki lała mu się woda na głowę i plecy za pociągnięciem sznurka, który trzymał w ręku. Dwie dorodne Murzynki uwijały się obok: jedna mydliła mu plecy, a druga szorowała ryżową szczotką. Różowa pulchność jego ciała nieodparcie narzucała wyobraźni obraz ogromnego niemowlęcia. Ugryzłem się w język, by nie wybuchnąć śmiechem i wycofałem się dyplomatycznie. Po kwadransie oczekiwania wynurzyła się z zarośli Murzynka, niosąca ręcznik i torebkę przyborów toaletowych, za nią szedł drobnym krokiem podporucznik Krasicki w starannie wyprasowanej koszuli, w luźnych szortach "very british", trzymając pod pachą laseczkę. Procesję zamykała druga Murzynka z konewką na głowie. "Krasicki" - przedstawił się, gdy podszedł bliżej. Powiało od niego wodą kolońską Yardley'a. "Gan-Ganowicz" - przedstawiłem się ja z kolei patrząc z niejakim zdumieniem na człowieka, który wynurzył się z chaszcy na zagubionej, trzeciorzędnej placówce tak, jakby wyszedł z klubu brytyjskich oficerów w Indiach Kiplinga.

W Bukawu hr. Krasicki był postacią popularną. Znany był jako doskonały fotograf amator. Wiedziano również, że napisał książkę - relację z podróży do Azji Środkowej, którą odbył pod koniec lat pięćdziesiątych.

Z trzech stron ruszyły ku centrum doliny trzy oddziały pacyfikacyjne. Z SUCRAF-u szedł oddział Topora. Niezależny od zgrupowania "Kobra", brał udział w operacji nie podlegając formalnie kapitanowi D. Z Bukawu - z dwiema kompaniami Katangijczyków - ruszyłem ja. Od strony Ruzizi, w terenie najcięższym, walczył najmniejszy z oddziałów pod dowództwem Krasickiego. Całością, jak już wspomniałem dowodził D. Zadanie Krasickiego nie było trudne z punktu widzenia wojskowego: siły rebelianckie w bagnach Ruzizi były nieliczne, słabe i zdeorganizowane. Były to raczej niedobitki rozbitych band szukających tam schronienia. Ale za to wysiłek fizyczny, jakiego musiał zażądać od swoich podkomendnych i siebie samego, był ogromny.

Kapitan D., pragnąc zadać tym razem ostateczną klęskę rebelii, postanowił - wbrew temu, co się stosowało dotychczas - nie rozbijać przeciwnika powodując tzw. pryskanie na boki, lecz wręcz przeciwnie, atakując peryferie regionu spowodować koncentrację jego sił tak, by uległy rozbiciu w walnej bitwie. Na dobre. Pięć dni miały trwać nasze operacje "napędzające" przeciwnika w kocioł. Szóstego dnia nasze oddziały miały się spotkać w centrum doliny, na skrzyżowaniu dróg. Pierwszy na miejsce spotkania przybył oddział Topora, nieźle poharatany w walkach, jakie stoczył na pograniczu plantacji. Drugi przybyłem ja. Po pięciu dniach dość ciężkich walk w górach otaczających dolinę Ruzizi byłem bardzo wyczerpany fizycznie. A przecież było to przed decydującą bitwą. Każdy odpoczywał jak mógł. Po południu do obozowiska dotarł kapitan D. doprowadzając trochę świeżego wojska z odwodów. Krasickiego nie było. Zaczęliśmy się niepokoić. Nie mieliśmy dobrego sprzętu radiowego, a nasze walki talkie wydawały dźwięki zbliżone do zagłuszania Wolnej Europy. A oddziału Krasickiego jak nie ma, tak nie ma!

Mój oddział był rozlokowany wzdłuż drogi, którą miał nadejść Krasicki. Kapitan D. wydał mi polecenie, bym odczekał jeszcze godzinę i ruszył Krasickiemu naprzeciw z jedną kompanią moich Katangijczyków. W miarę upływu minut niepokój rósł. Czyżby oddział Krasickiego wpadł w zasadzkę? Czyżby wszyscy zginęli? W momencie, gdy wstałem, by dać rozkaz wymarszu, na szosie pojawiła się samotna sylwetka. Po paru minutach postać zbliżyła się na tyle, by ją rozpoznać: w ręku karabin szturmowy, pod pachą krótka laseczka, zbyt luźne szorty: hrabia Krasicki.

"Co się dzieje? - zawołałem. Gdzie oddział?" Krasicki podszedł bliżej. Z przeciwnej strony nadbiegł kapitan D. "Panie kapitanie - rzekł Krasicki spokojnym głosem - mój oddział leży w rowie trzy kilometry stąd. Ludzie nie mieli już siły ująć ani kroku. Więc ich zostawiłem, a sam przyszedłem po rozkazy". Kapitan D. spojrzał na mnie ze zdumieniem. Ja zaniemówiłem. Ten tęgawy, sześćdziesięcioletni mężczyzna był jeszcze w stanie przejść trzy kilometry od momentu, gdy jego wyborowe tubylcze wojsko padło ze zmęczenia i gdy żaden z jego białych podoficerów nie był w stanie się ruszyć. Kapitan D. wysłał ciężarówkę. Po niedługim czasie gramolili się z nich ludzie, pod którymi uginały się kolana, którzy padali na trawę, na wpół przytomni ze zmęczenia. Krasicki czuwał nad rozmieszczeniem swego oddziału na biwaku.

Walki nad rzeką Ruzizi były trudniejsze, niż się tego spodziewano. Podczas przechodzenia przez bagna zamoczono walkie talkie, co pozbawiło ich łączności z nami. Drugiego dnia zginął przewodnik, jedyny człowiek znający przejścia na moczarach. Od tej pory Krasicki kierował się kompasem i... instynktem. Rozbił kilka band po drodze. Gdy udało mu się wyprowadzić ludzi z mokradła, zwycięski oddział był bez sił. Od 24 godzin nie mieli już wody do picia innej niż ta, w której człapali nieraz po kolana. A ta roiła się od widzialnego robactwa i niewidzialnych śmiertelnych ameb. Krasicki pod groźbą rewolweru zabraniał ludziom pić. Pijawki, olbrzymie afrykańskie pijawki, ssaly krew z wycieńczonych żołnierzy.

Było to w kilka miesięcy po opisywanych wypadkach. W międzyczasie zdążyłem się ze Stasiem zaprzyjaźnić tą szczególną przyjaźnią towarzyszy broni, wypić bruderszaft.

W "Bodedze" było przyjemnie i chłodno. Staś wyjął z kieszeni paczkę zdjęć. Ze szklanką "Chivas Regal" w ręce przeglądałem fotografie, które Staś robił podczas swoich wypadków wojennych. Ostatnich kilkanaście zdjęć - to ilustracja gehenny, jaką on i jego ludzie przeszli w mokradłach Ruzizi. Znów mnie zatkało. Z jakiej stali uhartowany był ten człowiek, który w tak potwornych warunkach myślał jeszcze o robieniu zdjęć? "Robiłem je na wypadek, gdybyśmy nie doszli, licząc na to, że ktoś znajdzie ten film i wywoła. Żebyście wiedzieli..."

Niezwykły człowiek. Szlachetny, prawy i odważny. Bajki Krasickiego? Nie - to szczerą prawdą, którą pamiętają wszyscy ci, którzy mieli zaszczyt być jego towarzyszami broni.

Po zakończeniu wojny Staś znalazł pracę jako leśniczy w lasach niemieckiego arystokraty, swego dobrego przyjaciela. Zginął śmiercią tragiczną w 1974 roku, wypełniając swe obowiązki. Miał wtedy 72 lata.

MOJŻESZ CZOMBE, WÓDZ KATANGI

Nieszczęściem Afryki jest to, że dekolonizacja, która nastąpiła po drugiej wojnie światowej, nie pozwoliła na odrodzenie się starych przedkolonialnych struktur geopolitycznych. Wszystkie bez mała państwa dzisiejszej Afryki stanowią sztuczne twory pod względem etnograficznym i są odbiciem stosunku sił między mocarstwami kolonialnymi w chwili, gdy przy zielonych stołach Paryża czy Londynu wytyczano granice zasięgu wpływów. Toteż nic dziwnego, że po uzyskaniu niepodległości "państwa" afrykańskie były i są rozdierane walką bratobójczą i że plenią się w nich dyktatury. Granice tych państw przebiegają bowiem niezgodnie z zasięgiem plemiennym, językowym i kulturowym ludności. Plemiona, wtłoczone przez mocarstwa kolonialne do wspólnego tworu pseudopaństwowego, często żywią do siebie atawistyczną, odwieczną nienawiść. Panowanie Europejczyków zapobiegało antagonizmom. Po odzyskaniu niepodległości antagonizmy te wybuchły z podwójną siłą. Rządy państw, które powstały na skutek dekolonializacji, najczęściej były w rękach członków plemienia, w którego zasięgu leżała stolica. Zwykle bowiem broń, środki łączności i... międzynarodowe uznanie przypadają w udziale tym, którzy w swych rękach trzymali stolicę kraju, i to bez względu na to, czy mieli poparcie reszty ludności, czy też nie. A że na ogół nie mieli, więc zdobywali je i utrzymują najczęściej siłą. W większości państw afrykańskich wojny "ideologiczne nie są niczym innym, jak wojnami plemiennymi.

Określenia "dyktatura prawicowa" czy "dyktatura lewicowa" nie mają wiele sensu, w zależności od tego, skąd dane państwo bierze pieniądze, broń i sprowadza doradców - język oficjalny i formy zewnętrzne będą nabierały różnych odcieni, flaga państwowa będzie mniej lub więcej czerwona, lub też narodowa, ale w istocie rzeczy chodzi zawsze o to samo: o zachowanie władzy przez plemię, które panuje, lub o zdobycie władzy. Afryka choruje na permanentne wojny domowe. Prawie we wszystkich państwach afrykańskich obserwujemy podobne zjawisko: oto centralnemu rządowi przeciwstawia się jakiś, "front wyzwolenia narodowego". Gdy się przyjrzymy bliżej, to w większości wypadków zauważymy coś, czego nie chcą dostrzec zawodowi komentatorzy: a mianowicie, że "rząd" i "front" należą po prostu do różnych i wrogich sobie plemion. Gdy przyjrzymy się nawet tak krańcowemu przypadkowi, jak walka z apartheidem w Afryce Południowej, to zauważymy, że murzyńskie ruchy "umiarkowane" i "ekstremalne" są emanacją różnych wspólnot etnicznych i że walka z apartheidem przejawia się głównie w okrutnych morderstwach popełnianych na członkach wrogiego szczepu. Liberia, państwo utworzone w 1847 roku przez niedawno przedtem wyzwolonych z niewolnictwa amerykańskich Murzynów, państwo, które miało świecić przykładem i być odpowiedzią na europejski kolonializm znajduje się dokładnie w tym samym położeniu, co państwa powstałe na skutek dekolonizacji powojennej. W Liberii twardą ręką rządzą - również wbrew woli większości ludności - potomkowie dawnych niewolników, którzy świetnie się czują w roli kasty rządzącej. Kolonizacja wyrządziła Afryce wielką krzywdę. Większą wyrządziła jej tylko raptowna i nieprzemyślana dekolonizacja napędzana po wojnie przez Sowietów i Stany Zjednoczone. Każde z tych mocarstw, oprócz interesów partykularnych, widziało w szybkiej dekolonizacji wspólny interes, którym było osłabienie znaczenia państw europejskich. Potęga państw europejskich była solą w oku i jednych, i drugich. Dla Sowietów stanowiła przeszkodę w ekspansji, a dla amerykańskiej opinii publicznej była przyczyną dwóch wojen światowych.

Jeśli mówię, że kolonizacja wyrządziła Afryce krzywdę, to myślę o zupełnie innej krzywdzie, niż sobie to wyobraża karmiony papką dla nieświadomych czytelnik zachodniej, a tym bardziej wschodniej prasy. Kolonizacja wyrządziła krzywdę nie przez wprowadzenie "niewolnictwa" i "wyzysku", ale przez zniszczenie tradycyjnych struktur. Nieprawdą jest, że kolonialiści wprowadzili "niewolnictwo". Wręcz przeciwnie, epoka kolonialna położyła kres arabskim wyprawom po niewolników. Nieprawdą również jest "wyzysk". Opinia światowa widzi dziś czasy kolonializmu poprzez szablon "Chaty Wuja Toma", to znaczy poprzez zlepek informacji

o czasach niewolnictwa w Południowych Stanach, zlepek czerpany z literatury, z filmów i z telewizji... Niech ktoś spróbuje wytłumaczyć, jak to się dzieje, że w wielu krajach afrykańskich i Murzyni mieli co jeść, i jeszcze europejski plantator robił fortunę, a dziś w tych samych krajach mieszkańcy głodują, choć plantatora nie ma? Jakoś nikt nie postawił sobie pytania, czy właśnie nie dlatego głodują, że zabrakło plantatorów, tak jak ludzie radzieccy zaczęli głodować, gdy zabrakło wyzyskiwaczy i kułaków. Gdyby Afrykę pozostawiono samej sobie, dziewczą i dziką, to przez całe stulecia wyżywiłaby swoje nieliczne dzieci. Ale kolonizacja spowodowała ogromny przyrost naturalny, a dekolonizacja pobudziła żądzę posiadania i władzy. Nikt uczciwy nie zaprzeczy, że Murzyni pracujący na plantacjach białych kolonizatorów mieli stopę życiową bez porównania wyższą, niż ich pobratymcy, którzy pozostali "wolni", ale w dżungli. Nie mówiąc już nawet o sytuacji, w jakiej znaleźli się mieszkańcy "wyzwolonych" republik. Czyż w najgorszych czasach kolonializmu było do wyobrażenia życie, jakiego zaznali poddani Amin Dada, Seku Ture czy Bokassy? Oczywiście można tu przytoczyć bajkę La Fontaine'a o psie i wilku, który był głodny, ale wolny. Jeszcze trzeba by móc szczerze stwierdzić, że obywatele niezależnych "państw" afrykańskich są wolni. Fakt jest faktem, że jeżeli Murzyni w epoce przedkolonialnej głodni nie byli, to tylko dlatego, że ogromna śmiertelność noworodków skutecznie przeciwstawiała się prymitywnej rozrodczości, a wojny międzyplemienne i epidemie utrzymywały tak niską gęstość zaludnienia, że w Afryce miały całe wieki bez najmniejszych zmian ekologicznych.

Ten stan rzeczy zmienił się radykalnie w epoce kolonialnej: stojący na straży kolonialnego ładu europejski żołnierz zapobiegał plemiennym wojnom z równą skutecznością, jak europejskie szczepionki zapobiegały epidemiom. Plantacje potrafiły wyżywić z hektara bez porównania więcej pracowników, niż dżungla prymitywnych myśliwych. Everybody was happy. Murzynom nie marły dzieci i nie burczały im puste żołądki, nie zagrażał najazd sąsiedniego plemienia i mucha tse-tse. Plantator zacierał ręce: rosła mu siła robocza i bogactwo. A mit boskiej niemal potęgi białego człowieka gwarantował spokój i trwałość struktur ekonomiczno-społecznych.

Jednocześnie jednak wzrastał poziom wykształcenia Murzynów. Nie mówiąc o lokalnych szkołach zawodowych wielu z nich, choć był to znikomy procent ogółu, uczęszczało na europejskie uniwersytety. Z drugiej strony ludność autochtoniczna zaczynała zazdrosnym okiem patrzeć na kumulowane bogactwo białych "wyzyskiwaczy". I jedni, i drudzy byli bardzo podatni na hasła dekolonizacji. Pierwszym chodziło o pozbycie się konkurentów do władzy, drugim o podzielenie się bogactwem białych. Pierwsi, wyszkoleni na marksizujących uniwersytetach europejskich myśleli, że mają gotową receptę na prowadzenie państwa. U drugich działało w pełni hasło wypróbowane przez bolszewików: "rozgrażyć zagrabione". Zwolennikami pozbycia się białych byli również ci, którym administracja kolonialna i misjonarze odebrali wpływ i znaczenie: kacykowie plemienni /przynajmniej pewna ich część/ oraz czarownicy /wszyscy!/. Powtarzające się tu i ówdzie rzezie białych /Stanleyville/ były wynikiem prymitywnej logiki rozbitego tłumu: jeśli biali wrócą kiedykolwiek, to upomną się o zagrabione, więc trzeba ich tak przerazić, by nie wrócili już nigdy.

Niewielka tylko część murzyńskich przywódców zdawała sobie sprawę, że bez białych ekspertów i specjalistów żaden nowo powstały afrykański kraj nie poradzi sobie w dwudziestym wieku, a w momencie gdy trzeba wyżywić ludność, której liczba wzrosła często dziesięciokrotnie w okresie poprzedzającym dekolonizację. W ostatnich czasach cały świat był wstrząśnięty obrazem głodującej ludności Sahelu. Pruderyjnie mówiło się o długotrwałej klęsce posuchy, która miała być tego powodem. Hipokryzja środków przekazu kazała zapomnieć o "przyczynie przyczyny". Posucha powstała dlatego, iż pustynia zaczęła wkraczać w tereny dawniej zalesione. A lasy zniszczyła ludność Sahelu, by móc się wyżywić przy pomocy prymitywnego rolnictwa. Umiejętnie prowadzone i nawadniane plantacje, które stać było na inwestycje, mogły wyżywić masę ludności uprawiając intensywnie niewielki, w gruncie rzeczy, obszar wydarty dżungli. Ekstensywne, beznawozowe rolnictwo wymagało wyrębu coraz to nowych połaci lasu. Aż doprowadzono do tego,

że zmienił się klimat i od lat trwająca klęska posuchy przynosi tysiące ofiar. Europa przez całe wieki przechodziła klęski głodowe, tylko wtedy nie było telewizji i nie było narodów sytych, które by się losem głodujących przejmowały. A trwało to tak długo, aż mieszkańcy Europy wytworzyli nowoczesne metody produkcji rolniczej, które chroniły ich przed klęską głodu /z wyjątkiem państw realnego socjalizmu, ale te są dokarmiane przez kapitalistów/. Żadne organizacje dobroczynne nie rozwiążą kwestii głodu w Afryce. Jeśli międzynarodowa pomoc dostarczy wystarczającej ilości żywienia głodującym obecnie, to w ciągu dwóch pokoleń ludność Sahelu wzrośnie znów o tyle, że trzeba będzie rąbać nowe lasy... Wyścig światowej pomocy z afrykańską rozrodzością jest skazany z góry na klęskę. Zwłaszcza gdy równocześnie z pomocą żywnościową płynie lekarska opieka nad dziećmi. Jedynym wyjściem z sytuacji byłoby nie dawać żywności lecz dostarczać środki do jej produkowania: maszyny, pompy, systemy nawadniające. Uczyć używania nawozów i stosowania płodozmianów. I - przede wszystkim - dbać o zalesienie !

I tu dochodzimy do sedna rzeczy: potrzeby ekspertów. Murzyni takowych nie posiadają. Sądząc po statystykach francuskich uniwersytetów ci Afrykanie, którzy przyjeżdżają do Europy na studia, w dziewięćdziesięciu procentach chcą dorwać się do władzy: kończą szkoły nauk politycznych, instytuty dziennikarskie, studiują socjologię i ewentualnie filozofię - pod warunkiem, że jest marksistowska. Na akademiach rolniczych nie ma ich wcale, w szkołach technicznych - niewielu. I choć pewna ich liczba studiuje medycynę, to należy wnioskować, że raczej po studiach nie zamierzają wrócić do siebie, gdyż na specjalizacji w dziedzinie medycyny tropikalnej jest ich najmniej. Tak jest dziś. A jeszcze gorzej było w okresie dekolonizacji.

Czombe rozumiał ten problem. Wiedział, że bez ekspertów pozaafrykańskich nie obejdzie się ani przemysł, ani wojsko, ani rząd, ani sądownictwo. Murzyni nie posiadali kultury technicznej, której przecież nie nabywa się w ciągu jednego pokolenia. Mój kierowca w Kongo zawsze pamiętał o benzynie, bo wiedział, że bez niej nie ujedzie. O zmianie oleju w silniku musiałem pamiętać ja. Bez zmiany - samochód jedzie. Jak długo? - to już przekracza zdolność przewidywania. Włoski przedsiębiorca, specjalista od budowy dróg, mostów, tuneli i tym podobnej infrastruktury drogowej, budował w Kongo drogi jeszcze przed wybuchem rebelii. Posprowadzał do Konga gigantyczne maszyny do karczowania drzew w dżungli. By dać wyobrażenie o ogromie tych buldożerów powiem, że kierowca siedział niemal na wysokości pierwszego piętra, a rozrusznikiem potwornego diesla był benzynowy silnik z chevroleta. By nie płacić włoskim robotnikom przejazdu do Konga i wysokich premii za niewygody i oddalenie, ów przedsiębiorca postanowił wyszkolić tubylców. Wysłał więc całą ekipę do Włoch na przeszkolenie. Murzyni uczyli się świetnie, z Włoch płynęły same pochwały co do ich postępów w nauce. Po skończonym stażu wrócili do Konga i zaczęli pracować. W dwa miesiące później trzeba było jednak sprowadzić Włochów. Murzyni zapomnieli czego się nauczyli. A właściwie nie. Teorii nie zapomnieli, tylko wrócili do zwykłej afrykańskiej nonszalancji, która każe zapomnieć o wszystkim, co nie jest doraźne. W wojsku nie można było wydać instrukcji typu: "Pojedziesz tam, a tam. Jeśli zastaniesz daną osobę, to ją zawieziesz tam, a tam. Jeśli jej nie znajdziesz, to wrócisz, po drodze zabierając sprzęt z magazynu X". Różna było być pewnym, że żołnierz wszystko pomyli. Trzeba było wydawać jedno zlecenie na raz.

Toteż Czombe starał się, by za każdym Murzynem na stanowisku stał biały doradca. Komunistów wystrzegał się, z wiadomych przyczyn. A jednocześnie nie chciał, by któreś z państw uzyskało poprzez doradców zbyt duży wpływ w Kongo. Toteż Czombe wprowadzał konkurencję: Francuzi zajmowali się komunikacją, Włosi drogami, spadochroniarzy szkolili mu izraelscy instruktorzy, a amerykańskie konsorcjum wraz z Belgami sprawowało nadzór nad przemysłem. Wojsko było dowodzone przez czarnych oficerów, ale za nimi staliśmy my. Czombe myślał, iż tą drogą uda mu się wprowadzić Kongo bezboleśnie w cywilizację... Robił co mógł w tym kierunku.

Nie trwało to długo. Gdy niebezpieczeństwo minęło, zaczęła się walka o władzę. Tchórzliwego prezydenta Kasawubu przekonano łatwo, że obcy mu plemiennie Czombe chce objąć jego stanowisko. Gdy Czombe pojechał z oficjalną wizytą do Europy, Kasawubu ogłosił go zdrajcą i mianował premierem głównodowodzącego armii kongijskiej generała Mobutu. Murzyn zrobił swoje. Murzyn może odejść. To przysłowie znają i Murzyni... Katangijscy żandarmi, którzy od lat niemal sami prowadzili wojnę z czerwoną rewolucją, którzy ponieśli ogromne straty, teraz stawali się zbędni. Ba, stawali się niebezpieczni: mogli bowiem stanowić oparcie, gdyby przebywający na uchodźstwie w Hiszpanii Czombe chciał ponownie sięgnąć po władzę. Przestano im płacić żołd, dostarczać żywności i amunicji. Rozmyślnie wysyłano ich na bezsensowne, z góry skazane na klęskę, operacje wojenne, byle dalej od miast, byle dalej od możliwości zaopatrzenia. Doprowadziło to do buntu katangijskich batalionów. Moje Czerwone Diabły zbuntowały się pierwsze. Bunt ten spotkał się z moim całkowitym zrozumieniem.

Gdy na rozkaz Boba Denarda opuściłem dowództwo 12 Batalionu, postarałem się, by moim podwładnym zostawić jak najwięcej żywności i amunicji. Moja sytuacja w Kongo stawała się niebezpieczna. W każdej chwili mogłem być oskarżony o zdradę. Wszyscy znali moją sympatię do Czombego i moją lojalność wobec podwładnych mi żołnierzy. Wycofano z terenu walk zarówno mnie, jak i wszystkich mi podwładnych białych najemników. 12 Batalion Katangijski został rozrzucony na ogromnym, zdobytym w krwawych walkach, terytorium. Odchodziłem od mych żołnierzy z goryczą i pełen złych przeczuć co do ich dalszych losów. Losów Murzynów, którzy "zrobili swoje", tak jak "zrobili swoje" Polacy w drugiej wojnie światowej.

Denard wysłał mnie na daleką placówkę w Bukawu, nad jeziorem Kiwu, mianując mnie zastępcą dowódcy tamtejszych oddziałów. Była to fikcja. Miałem dać o sobie zapomnieć do momentu, gdy koniec rocznego kontraktu pozwoli mi na opuszczenie Konga i powrót do Europy. Ze mną "zesłano" do Bukawu mego zastępcę. Georges pozostał w Kiwu po moim wyjeździe do Europy. Przeżyłem kilka miesięcy walk i sporo przygód w okolicach pamiętających jeszcze czasy słynnego zagończyka Kowalskiego. Tu poznałem niezapomnianego Stasia Krasickiego. W pobliskich plantacjach cukru wojował inny mój znajomy, już wtedy major: Topór-Staszak. Ani piękno miasta, ani przyrody, ani obecność przyjaciół nie potrafiły osłodzić mi uczucia, że oto kończy się bezpowrotnie pewien, jakże bujny, okres w moim życiu.

Po powrocie do Europy bardzo szybko dowiedziałem się, że Czombe nie zrezygnował, że zamierza odzyskać władzę w Kongo. Byłem jego zwolennikiem. Nie tyle może jego, ile jego koncepcji politycznych. Bałem się zakusów dyktatorskich Mobutu i nie myliłem się: generał-premier wkrótce obalił prezydenta, zajął jego stanowisko i obwołał się zbawcą ojczyzny. Czombe miał pieniądze, kontakty polityczne i atuty wojskowe. Znając jego nieufność wobec mocarstw pomyślałem sobie, że gdyby Polacy pomogli mu odzyskać władzę, to później polscy inżynierowie, polscy lekarze mogliby przy nim odegrać znaczną rolę i, co tu dużo mówić, znaleźć teren popisu i teren zarobków. Postanowiłem się z nim zobaczyć.

Mieszkał w Madrycie. Na żądanie rządu hiszpańskiego jego miejsce pobytu było otoczone tajemnicą. Franko z jednej strony bał się zamachu na byłego premiera skazanego zaocznie na śmierć przez Mobutu, a z drugiej strony nie chciał by dziennikarze robili za dużo sensacji. Musiałem zabawić się w detektywa. Nie znając hiszpańskiego i nie mając żadnych znajomych w Madrycie, miałem przed sobą zadanie niełatwe. Wiedziałem, że - siłą rzeczy - muszą u niego bywać łącznicy z Katangi. Zacząłem więc bywać w eleganckich lokalach i śledzić Murzynów. Nie wszystkich oczywiście, lecz tych, którzy mówili po francusku. Eliminowało to zarówno amerykańskich turystów, jak i licznych czarnych z hiszpańskiej Angoli. Po tygodniu odkryłem willę strzeżoną dyskretnie przez policję. Do skrzynki w bramie wrzuciłem list z prośbą o spotkanie,

licząc, że Czombe pamięta moje nazwisko. Na drugi dzień przysłał po mnie szofera. Przedstawiłem mu propozycję, że zwerbuję 150 żołnierzy polskiego pochodzenia, co dawało mu gwarancję, że ludzie ci będą lojalni, ponieważ nie reprezentują niczyich interesów. Powiedziałem, że znajdę mu fachowców, ekspertów przemysłowych, wojskowych i służby zdrowia. Pod jednym warunkiem: kontrakty ich będą bezterminowe, z prawem pracy i pozostania w Kongo tak długo, jak zechcą. Czombe powiedział, że się zastanowi i że w ciągu dwóch tygodni da mi odpowiedź. Był wyraźnie zainteresowany.

Poleciałem do Londynu, by przedstawić projekt generałowi Andersowi i zasięgnąć jego opinii. Chciałem mieć pewność, że mnie nie zdezawuuje. Bądź co bądź był dla mnie najwyższym autorytetem. To on mi wręczył dyplom oficerski. Generał dał mi wolną rękę. Więcej nie chciałem. Pomocy nie mógł mi przecież udzielić... Wróciłem do Paryża.

Czombe zatelefonował do rana w umówionym terminie. Podał mi datę, kiedy mam się z nim spotkać w Madrycie. Zacząłem wierzyć, że mi się uda. Byłem zdenerwowany, ale dumny. Nie każdemu jest dane wpłynąć na historię, choćby to miała być tylko historia Konga. Zwłaszcza, że miałem podstawy sądzić, iż otworzę nową erę w dziejach emigracji polskiej, zwłaszcza politycznej...

Niestety nie przewidziałem, iż przeciw Czombemu knuje się spisek, mający skończyć się jego śmiercią w algierskim więzieniu. Śmiercią w podejrzanych okolicznościach.

Wtedy nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że Amerykanie stawiali na Mobutu, że Francuzi i Belgowie odpisali Czombego na straty. Ale był on nadal niebezpieczny dla reżimu Mobutu. By odciać go od możliwości rekrutacji we Francji, nie zawahano się przed prowokacją. Jakiś Amerykanin, podający się za byłego pułkownika US Air Force /lotnictwo wojskowe USA/, i znany francuski poszukiwacz przygód, niejaki Thierry do Bonnay, zaczęli werbować ochotników powołując się na rzekome upoważnienie Czombego. Osiemnastu zwerbowanych ochotników umieszczono w odludnej fermie w górach centralnej Francji, w pobliżu wsi Aubenas. Tam przebywali dłuższy czas pod pretekstem treningu. 17 września 1966 fermę otoczyła policja i... dziennikarze. Cała francuska prasa pisała z oburzeniem o bezczelności Czombego, który "śmiał w sercu Francji ćwiczyć przyszłych francuskich aktorów zamachu stanu". Wiem z zupełnie pewnych źródeł, że Czombe o niczym nie wiedział i że cała sprawa była prowokacją. Francuską? Amerykańską? Nie wiem. Może była to inicjatywa Mobutu. Może CIA. Nie dowiemy się już chyba nigdy. Czombe postanowił przeczekać burzę, jaka się wówczas rozpełtała. W międzyczasie jednak rozwijał aktywność na terenie Konga, a zwłaszcza Katangi. Nie dawał za wygraną. Ja jednak zorientowałem się, że nie mogę na niego stawiać. Zbyt potężnych miał wrogów. W tej sytuacji nie mogłem narażać rodaków, którzy by mi zaufali. Zerwałem z nim kontrakt.

Rozeszły się pogłoski, że Czombe chce się przenieść na Baleary. Zgłosił się do niego osobnik należący do francuskiego świata przestępczego, zamieszany w różne polityczno-kryminalne afery, niejaki Bodenana. Zaproponował mu obejrzenie pięknej posiadłości na tych wyspach, rzekomo wystawionej na sprzedaż. Czombe wsiadł do wynajętego sześciuosobowego samolotu. Towarzyszył mu, oprócz Bodenana, ojciec jednego z moich późniejszych towarzyszy broni w Jemenie, Belgijski przemysłowiec Hambursin. W trakcie przelotu Bodenana wyjął pistolet i zmusił pilota do lądowania w Algierze. Czombe znalazł się w ten sposób w algierskim więzieniu i tam umarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Był niewygodnym "gościem" dla algierskiego reżimu: z jednej strony Mobutu naciskał o wydanie mu byłego premiera, a z drugiej oburzona Hiszpania domagała się oswobodzenia porwanego z hiszpańskiego samolotu uchodźcy, posiadającego w Hiszpanii azyl polityczny.

Bunt katangijskich oddziałów w Kongo, a nieco później i białych najemników! skończył się oblężeniem Bukawu, gdzie przez te, miesiące cała armia kongijska nie mogła ich pokonać. Daremnie jednak oczekiwali odsieczy. Biali zostali internowani w sąsiedniej Rwandzie, a Katangijczycy w części wymordowani, w części rozbrojeni i repatriowani.

JEMEN

JEMEN? GDZIE TO JEST?

Paryż był ponury. Siąpił zimny deszcz. Na bulwarze Montmartre błoto zmieszane z topniejącym śniegiem chlapało pod butami spieszących przechodniów. Była czwarta po południu, a już ściemniało się i samochody miały zapalone światła. Babina sprzedająca gorące kasztany zacierała zmarznięte dłonie nad paleniskiem, w którym syczały krople deszczu. Ponury dzień. Luty 1967. Po wielkich szybach tarasu kawiarni "Le Brebant" ściekały strużki brudnej wody. Tylko neony kina "Rex" ożywiały z daleka perspektywę bulwaru. Siedziałem podniecony i zdenerwowany. Za pół godziny miał tu być Martin, z obawy by nie przyjść za późno - przyszedłem dużo za wcześniej. Niech to będzie dowodem, jak bardzo mi na tym spotkaniu zależało.

Już prawie rok minął, gdy wróciłem z Kongo do Europy. W Kongo pokochałem przygodę i broń. Ciężko było wrócić pomiędzy zwykłych zjadaczy chleba, do których żywiłem podświadomie pewną pogardę i głębokie lekceważenie dla ich codziennych, ludzkich problemów. "Lepiej przeżyć jeden dzień jak lew, niż całe życie jak zając" - myślałem. I nie chciałem się zgodzić na pożegnanie z bronią. Od kilku miesięcy rosła we mnie tęsknota. Tęsknota do słońca, do wojny, do przygody. Do życia, którego zaznałem w Kongo. Bałem się powrotu do cywila. Panicznie. Życie cywilne jawiło mi się jako potworny kołowrotek powielanych dni, powielanych w takt rytmu: łóżko, metro, praca, metro, łóżko i tak w kółko, aż po horyzont kiepskiej emerytury. Błagałem boga wojny o jeszcze jedną przygodę. Bóg wojny był łaskawy, a Martin był jego wysłannikiem.

Major Martin, bohater francuskich walk w Wietnamie i Algierii, był dowódcą grupy doradców wojskowych w Jemenie. Przyjechał do Paryża między innymi po to, by uzupełnić stan grupy. Mój Boże! Kongo skończyło się sławetną bitwą o Bukawu. Setki byłych najemników znalazło się w Europie. Po straceniu zarobionych pieniędzy snuli się po wielkich miastach w poszukiwaniu nowego "kontraktu". W Brukseli i Paryżu zbierali się w wiadomych sobie knajpach i żyli - jak ja - nadzieją. Jedyną wówczas aktywną grupą najemników była grupa Martina w Jemenie. Krążyły o niej pełne zazdrości legendy. Bo grupa liczyła tylko dwudziestu pięciu fachowców dobranych na zasadzie ekskluzywnego klubu. Gdy ktoś odchodził - członkowie grupy rzucali nazwisko "bezrobotnego" kolegi. Kolegi godnego mitu grupy. Moje nazwisko wcisnęli Martinowi: kapitan D. - mój krótkotrwały dowódca z końcowego okresu pobytu w Kongo - i Georges, mój dawny zastępca z czasów, gdy dowodziłem batalionem Czerwonych Diabłów w Stanleyville. I Martin wyznaczył mi spotkanie, Było to wyróżnienie nie lada. Gdybyż moi towarzysze z paryskich knajp o tym wiedzieli!

A jeśli Martinowi się nie spodoba? Nie! Musi mnie przyjąć! Nie chciałem nawet o tym myśleć, że wyjdę z tej knajpy tylko po to, by zanurzyć się w codzienność. Gdy w czerwcu 1965 jechałem do Kongo, nie wiedziałem o sobie nic: Czy nadaję się do wojska? Czy dam sobie radę? Dopiero tam, w Afryce, poznałem wartość życia. Życia, którym pęczniała równikowa dżungla, życia, które codziennie ocierało się o śmierć. Nigdy szklanka whisky nie smakowała mi bardziej, niż wówczas, gdy się nią rozkoszowałem po wyjściu ze śmiertelnego zagrożenia. Ta rozkosz życia na pograniczu śmierci była jak narkotyk. Bo rozkoszą był i sprawnie funkcjonujący organizm i wyostrzony instynkt. Instynkt walki i samozachowania. Śmierci nie bałem się wcale lub znacznie mniej niż koszmaru powielanych dni cywilnego życia. Byłem trzy razy ranny, a raz miałem świadomość, że umieram. Ginęło nas dużo: prawie jedna czwarta stanu rocznie. Dużo więcej niż w drugiej wojnie światowej, więcej niż w partyzantkach europejskich, niż w Wietnamie. Ale żąda

życia obdarzała nas - tych, którzy przeżyli - swoistą euforią, pijanym szczęściem wojowników Wielkiej Przygody.

Drzwi "Brebanta" otworzyły się. Weszło dwóch mężczyzn. Jednego z nich znałem dobrze: był to mój stary znajomy z Kongo, porucznik Bruni, drugim musiał być według wszelkiego prawdopodobieństwa major Martin. Gdy tak szli przez knajpę opaleni, pewni siebie, o charakterystycznych niemal kocich ruchach, knajpiani bywalcy rozstępowali się przed nimi. Poderwałem się z krzesła na powitanie. Martin mocno uściśnął mi dłoń. Patrzył mi w oczy z uśmiechem. Był to szczupły, świetnie zbudowany pięćdziesięcioletni mężczyzna, o siwych włosach i przedziwnie młodych niebieskich oczach.

Opuściłem taras "Brebanta" z wiosną w duszy i z biletem lotniczym w kieszeni. Nazajutrz miałem się zgłosić do Ambasady Arabii Saudyjskiej po wizę. Poprzez szarą mżawkę paryskiego zmierzchu dla mnie już błyszczało tropikalne słońce. Wylewające się z metra tłumy wracających z pracy paryżan przestały istnieć. Miałem znów randkę z przygodą. Za horyzontem czekała na mnie broń.

Jemen. Któż słyszał o tym kraju? A przecież nie jest on nam zupełnie obcy, choć pod innymi nazwami, jak na przykład znane z Biblii królestwo Saby. Tysiąc lat przed narodzeniem Chrystusa po obu stronach Morza Czerwonego rozwijała się wspaniała cywilizacja. Legendarne to królestwo, potężne i bogate, obejmowało obszar dzisiejszych obu Jemenów i nadbrzeżną część współczesnej Etiopii. Bilkis, królowa Saby, olśniła króla Salomona nie tylko urodą, ale również wysoką kulturą i bogactwem swej świty. W bagażach Bilkis przybyły na dwór Salomona tkaniny, perfumy i korzenie z Indii, z Afryki i wysp Oceanu Indyjskiego. Sabańskie statki docierały na Jawę, Sumatrę, do Syjamu i Chin. Przywoziły towary nieznanne na wybrzeżach Morza Śródziemnego. Bogactwo Saby rosło wzbudzając zachwyt podróżnych. Zafascynowani pałacami inkrustowanymi złotem i kością słoniową, haftowanymi strojami zdobionymi w strusie pióra, oszołomieni mirrą i kadzidłem kupcy greccy i rzymscy nazywali ówczesny Jemen Arabią Szczęśliwą: Arabia Felix. I rzeczywiście - w porównaniu z północną, pustynną częścią Arabii, Jemen wydawał się rajem. Królestwo Saby zawdzięczało również swój dobrobyt kolosalnej zaporze wodnej, przy której leżała jego starożytna stolica Mar'ib. Zapora ta, cud starożytnego świata, miała sześćset metrów długości i sześćdziesiąt metrów szerokości u podstawy. Zachowane do dziś ruiny świadczą o wysokim poziomie technicznym: dający się odczytać kształt zapory, niemalże nowoczesny w swym zarysie, świadczy o niezwykłości sabańskiej cywilizacji.

Okres upadku królestwa Saby pokrywa się z początkiem naszej ery. Gdy zapora zawałiła się, nikt nie potrafił jej odbudować. "Tam gdzie kwitły ogrody nastąpiła pustynia, na której nie dojrzało nic prócz trujących jagód" - wyczytać można w Koranie. W tym czasie wzrasta potęga sąsiednich hymiaritów. Misjonarze monoteizmu: żydzi i chrześcijanie przebiegają Jemen pogański. Monarchowie nawróceni toczą wojny religijne: legendarny Dhu Nowas, zwolennik judaizmu, wymordował wiele tysięcy chrześcijan. Sam popełnił samobójstwo, zwyciężony przez przybyłych na odsiecz chrześcijanom abisyńskich koptów.

Nieco później - fascynacja pobliską Mekką. Mahometanizm rozpoczął swą zawrotną karierę. Do Jemenu przedostaje się islam i język Koranu - arabski. Wielka schizma islamu, rozłam między prawowiernymi sunnitami a szyitami, zwolennikami zięcia Mahometa - Allego, znalazł i tu swój wyraz. Jemen dostaje się na kilka stuleci pod wpływ szyickiej Persji. W IX wieku powstaje w

Iraku nowa sekta w łonie szyitów: zeidyizm. Jemeńscy zmęczeni bałaganem udają się do Mezopotamii, by oddać tron jemeński jednemu z potomków Allego, a więc i potomkowi Mahometa. El Hadzi³³ Yahia ibn Hussein zakłada jedną z najtrwalszych dynastii świata. Imamowie Jemenu, jako bezpośredni potomkowie Proroka, cieszą się ogromnym prestiżem. Potrafią oprzeć się inwazjom armii Saladyna, Etiopii i Portugalii. Jedynie Solimanowi Wspaniałemu sztuka się udaje. Turkowie zajmują Jemen w XVI wieku.

Legendarny imam Kassem wygania ich sto lat później. Turcy otomańscy pojawiają się znów w 1840 roku, ale nie mogą opanować kraju. Tylko stare forty strzegące niektórych przełęczy górskich pozostały jako świadectwo okupacji. Jemen zachował niepodległość, choć stracił niektóre swe prowincje: Asir na korzyść Arabii Saudyjskiej w 1834 roku i Aden³⁴ oraz Hadramut, które w 1839 roku przechodzą pod władzę Wielkiej Brytanii. Poematy-legendy przenoszą z pokolenia w pokolenie chwałę walk przeciw Turkom, zwycięskie wojny imama Jahii, który wyswobodził swą stolicę Sanaah³⁵ w 1905 roku. Jahii został zamordowany w 1948 roku. Następcą został jego syn Ahmed, "Miecz Islamu". Jak sławny ojciec tak i on utrzymywał Jemen z dala od wszelkich wpływów obcych. Tym szczęśliwym, acz niezmiernie zacofanym krajem miała później wstrząsnąć rewolucja importowana z naserowskiego Egiptu...

Takie są zmienne koleje losu. W starożytności Jemen był zwany Arabią Szczęśliwą, gdyż w przeciwieństwie od spalonej słońcem pustynnej ojczyzny Proroka - góry jemeńskie nie były pozbawione wody, a co za tym idzie - zieloności. Arabscy beduini, koczownicy i włóczędzy, traktowani byli przez zamożnych i osiadłych Jemeńczyków trochę jak Cyganie przez włościan. Ale Prorok dał swym wybrancom ropę i los odmienił się całkowicie. Beduini arabscy stali się jednym z najzamożniejszych narodów świata, a Jemeńczycy ze swym prymitywnym rolnictwem pozostali na poziomie średniowiecza. Po śmierci "Miecza Islamu" imamem został jego syn El Badr.

Ta swoista sielanka trwała do roku 1962, gdy pod wpływem Sowietów egipski dyktator Naser, w drodze do urzeczywistnienia swych panarabskich snów, postanowił zbliżyć się do źródeł ropy, których Egiptowi Allah poskąpił, obdarowując go jednocześnie nadmiarem gąb do wyżywienia. Zacofany Jemen, bez armii i policji, był łatwym łupem dla prosowieckiego dyktatora. Gdy imam El Badr udał się w 1962 roku na pielgrzymkę do Mekki, dowódca jego własnej straży pałacowej - wyszkolony w Egipcie kapitan Abdallah-el-Saa - zawładnął pałacem i stolicą, ogłosił republikę i... wezwał na pomoc Egipt. Naser "pomocy" nie poskąpił. Trzydzieści tysięcy żołnierzy egipskich przerzucono do Jemenu wraz z czołgami i artylerią.

Przekazawszy władzę swemu bratankowi, emirowi Mohamedowi ben Husseinowi, imam znalazł schronienie w Arabii Saudyjskiej. Emir Mohamed stanął na czele wiernych plemion. Jemeńczycy rozpoczęli nierówną walkę przeciw Egipcjanom, których liczba wzrosła wkrótce do osiemdziesięciu tysięcy. Zostały przez nich opanowane szlaki komunikacyjne i wszystkie większe osiedla. Ale całe plemiona jemeńskie trzymały się w niedostępnych górach i Egipcjanie ponosili ciężkie straty. Sytuacja była wówczas prawie taka sama jak dzisiaj w Afganistanie. Teren podobny - i ludzie, i religia. Uzbrojeni w starożytne, czasem jeszcze tureckie, strzelby i dzambie³⁶, Jemeńczycy musieliby ulec, gdyby nie pomoc zagrożonej od południa Arabii Saudyjskiej.

³³ El Hadz - pielgrzymka do Mekki. Każdy muzułmanin marzy o tym, by przynajmniej raz w życiu wziąć w niej udział i zyskać zaszczytny tytuł "Hadzi", noszony później z dumą przed nazwiskiem.

³⁴ Aden, dawna kolonia brytyjska, nazywa się dziś Republiką Ludową Jemenu Południowego. Jest zdecydowanie promoskiewska i w ciągłym konflikcie z Jemenem Północnym, czyli właściwym, historycznym, Jemenem.

³⁵ Sanaah, Sana'a i Sana to trzy różne transkrypcje arabskiej pisowni nazwy stolicy Jemenu.

³⁶ Dżambia - zakrzywiony kindżał o ozdobnej rękojeści i pochwie. Symbol wolnego człowieka i jego godności. Młody Jemeńczyk za pierwsze własne grosze kupuje pochwę do dżambii i rękojeść ozdabia na miarę swych możliwości: złotem i drogimi kamieniami - gdy jest bogaty, a srebrem i miedzią - gdy biedny. Najstarszy syn dziedziczy dżambię po ojcu, jako widomy znak władzy nad całą rodziną.

Jednakże już wkrótce okazało się, że nowoczesna broń i sprzęt nie będą mogły być wykorzystane bez odpowiedniego wyszkolenia kadr. I tu sprawę przesądzili francuscy dziennikarze, którzy pierwsi, jako korespondenci, odważyli się "zajrzeć" na stronę rojalistyczną. Szybko zorientowali się, że lojaliści³⁷ nie poradzą sobie nigdy z przeciwnikiem, jeśli nie będą mieli ludzi znających nowoczesne metody prowadzenia wojny. Dziennikarze ci jednocześnie wiedzieli, że w Europie nie brak specjalistów szukających pracy po zakończeniu walk w Katandze. Reporter paryskiego tygodnika "Paris Match" Jacques Le Bailly podsunął Jemeńczykom myśl, by zaangażowali słynnego już wówczas Boba Denarda wraz z jego grupą. Był rok 1963. Epopeja europejskich doradców-najemników rozpoczęła się szkoleniem partyzantów malakhi³⁸ w górach pogranicza Jemenu i Arabii Saudyjskiej. Wkrótce Sallal wyznaczył wysokie ceny na ich głowy.

Cóż jednak wskórać mogło trzydziestu ludzi? Egipcjanie mieli w rękach stolicę i panowali nad krajem. Płynęły miesiące i lata, a szeregi armii dżimuri³⁹ powiększały się o wyszkoloną w duchu marksistowskim młodzież miejską zadowoloną z upadku struktur społecznych ograniczających jej ambicje. I przypuszczalnie udałoby się Naserowi stworzyć przyczółek na półwyspie arabskim i zagrozić prozachodnim królestwom bogatym w ropę naftową. Ale w 1967 roku Naser, związany z Syrią i wplątany w konflikt z Izraelem, wycofuje swoje wojska z Jemenu.

Armia dżimuri dziedziczy po Egipcjanach całe nowoczesne uzbrojenie: czołgi i samoloty, artylerię i rakiety. Kilka tysięcy sowieckich doradców przybywa do Jemenu by służyć radą i czynną pomocą. W ciągnącej się od pięciu lat wojnie następuje przełom: siły stają się równe. Po stronie dżimuri jest przewaga sprzętu i specjalistów. Samoloty Mig 21, czołgi T 34 i baterie "Katiusz" obsługiwane są przez sowieckich żołnierzy. Po stronie malakhi - opinia większości ludności i większa motywacja walki, mająca podłoże religijne. Stare tureckie strzelby już dawno zostały zastąpione przez zdobyczne lub kupione od przeciwnika sowieckie karabinki szturmowe kałasznikow.

W tym stanie rzeczy Książę Mohammed ben Hussein, bratanek imama i naczelny dowódca, postanawia przejść do ofensywy. Ale o tym później. Gdy przybyłem do Jemenu, właśnie rozpoczęła się ewakuacja egipskiego korpusu ekspedycyjnego. Europejskimi doradcami Jemeńczyków dowodził po sławnym Denardzie i równie głośnym pułkowniku Faulques - mój nowy znajomy, major Martin.

³⁷ Lojalni wobec prawowitego imama. Imam Jemenu był nie tylko przewodnikiem duchowym, lecz również dziedzicznym królem. Lojaliści zwani byli także przez dziennikarzy rojalistami /patrz przyp. 38/.

³⁸ Malakhi: rojaliści, zwolennicy króla. Od słowa "Malekh" - król.

³⁹ Dżimuri: republikanie. Od "dżimurij'ha" - republika. Tak nazywali się pronaserowscy i prosowieccy przeciwnicy imama.

DŻEDDAH, WROTA ISLAMU

Byłem szczęśliwy. Leżałem nagi w półmroku pokoju, którego ściany ziały żarem zebranych w ciągu dnia, gdy temperatura w słońcu wynosiła bez mała 50 stopni Celsjusza. Wiedziałem, że zasną dopiero po północy, gdy nastanie fala chłodu z pobliskiej pustyni. Co kwadrans wstawałem, by ochłodzić się pod prysznicem, a później znów leżałem parując w ciepłym powietrzu, leniwie mielonym przez wielkie skrzydła wentylatora zawieszzonego pod sufitem. Niemniej byłem szczęśliwy: na odległość ręki znów leżał karabin, a z sąsiedniego pokoju dochodził mnie szmer szyfrowanej rozmowy radiowej. To Marco Tossi utrzymywał łączność z koczującą na pograniczu Jemenu grupą. Myślałem o nich. Wielu z nich znałem z Konga. Innych miałem poznać wkrótce... Towarzysze broni. Wyświechtane określenie. O żołnierskiej przyjaźni pisano wiele, mimo że jest to uczucie wymykające się opisom. Mieści się w nim jakaś domieszka dumy z przynależności do elity, a jednocześnie domieszka lekceważenia w stosunku do zwykłych zjadaczy chleba. Nie darmo legionści Piłsudskiego śpiewali z pogardą: "Nie chcemy już od was uznania, ni waszych serc, ni waszych lez..."

Cztery dni temu siedziałem w knajpie przy bulwarze Montmartre i czekając na Martina patrzyłem na cieknące po szybach brudne strużki topniejącego śniegu. Wizyta w ambasadzie saudyjskiej, lotnisko, samolot Middle East Airlines. Jedna doba spędzona w Bejrucie. Tu już była wiosna. I znowu samolot. Parę godzin lotu. Morze Śródziemne, Morze Czerwone. Duże miasto portowe Dżeddah. Przerażliwa biel rozedrgana w żarze oślepiającego słońca, otoczona żółtawym bezmiarem pustyni. Lotnisko. Po wyjściu z klimatyzowanego samolotu uderzenie upału. Skojarzenie: płonący dom w czasie warszawskiego powstania i ja, dwunastoletni, otoczony zewsząd ogniem. Żar, który zapiera dech. Lotnisko w Dżeddah - otwarte drzwi w hucie żelaza. Trzysta metrów rozgrzanym autobusem do odprawy celnej. Sumiennie przetrząśnięty bagaż. Celnicy szukają tylko dwóch towarów: alkoholu i pornografii. Pod to ostatnie pojęcie podciągają każde czasopismo zawierające choćby jedno zdjęcie nagiej kobiety. Ba, nawet kobiety w kostiumie kąpielowym. Przy jednym z pasażerów znaleziono kieszonkową flaszkę whisky. Celnik wylał zawartość do zlewu, a butelkę rozbił. Amerykańskiemu pasażerowi wstemplowano do paszportu odnośną uwagę; na drugi raz wsadzą go po prostu do samolotu opuszczającego Arabię. Gdyby był tubylcem, poszedłby do więzienia. Znaleziony w innym bagażu "Playboy" wędruje do specjalnej maszyny i zostaje bezlitośnie zmielony, właściciel otrzymuje odpowiedni stempel: miecz Damoklesa. Ja nie miałem przy sobie nic zakazanego - byłem ostrzeżony. Ale nie kontrolowano mnie. Widocznie świstek z ambasady saudyjskiej w Paryżu zapewniał mi jakieś przywileje.

Przy wyjściu czekał na mnie Marco Tossi z chevroletem, którego klimatyzacja pracowała na maksimum. Pojechaliśmy do rezydencjalnej części miasta, gdzie naprzeciw meczetu Salah Kh'bar mieściła się willa przeznaczona na naszą bazę zapleczoową. Tu rządził Tossi. Robił zakupy dla zgrupowania, przysyłał pocztę, załatwiał sprawy administracyjne i bankowe. Mieszkali tutaj członkowie grupy w przejeździe - urlopy, powroty, no i uzupełnienia stanu. Takim uzupełnieniem byłem teraz ja. Miałem pozostać w Dżeddah kilka dni w oczekiwaniu na transport na pogranicze Jemenu. Postanowiłem zwiedzić miasto i zacząć poznawać świat arabski. Do dyspozycji miałem drugi chevrolet, ale lubiłem włóczyć się pieszo, mimo upału.

Był to okres Wielkiego Hadżu, kiedy to ruch na lotnisku w Dżeddah osiąga szczyty znane tylko największym lotniskom amerykańskim, a w porcie tysiące pielgrzymów opuszcza statki-czartery pod wszystkimi banderami świata. Setki tysięcy ludzi ciągnie do odległej o trzydzieści kilometrów Mekki. Afrykańscy Murzyni, ciemnoskórzy muzułmanie Indii, Mongołowie, mieszkańcy wysp Pacyfiku. Przeważającą biel odzienia urozmaica pstrokatość turbanów i nakryć głowy. Ogromny, złożony tylko z mężczyzn, tłum ciągnie do Mekki, zmieniając asfaltową szosę w żywy strumień ludzki. Rozstawione wzdłuż szosy stoły ofiarują pielgrzymom bezpłatnie skromny

posiłek i chłodną wodę. To kupcy miasta Dżeddah wykonują tradycyjny gest gościnności wobec pielgrzymów.

Ale nie tylko w okresie Hadżu Dżeddah oddycha islamem. W Arabii Saudyjskiej prawo koraniczne jest prawem państwowym. Odbija się to nie tylko na surowym zakazie spożywania alkoholu. Za kradzież grozi obcięcie ręki. Brzmi to okrutnie, ale skutki są nadzwyczajne. Na wielkim targowisku w Dżeddah w nieprawdopodobnym ścisłu i zgiełku nie ma zupełnie złodziei. Gdy Marco Tossi zgubił tam dobrze wypchany portfel, to pobiegło za nim kilku Arabów i sprowadziło go na miejsce, gdzie leżał portfel. Otaczała go w przyzwoitej odległości grupa gapiów. Nikt nie ośmielił się podejść do portfela, by go przypadkiem nie posądzono...

W kilka miesięcy później, jadąc do Europy, odwiedziłem z kolegami to targowisko by kupić kilka pamiątek po śmiesznie niskich cenach - biżuterię, zegarki, ozdobne kindżały. Mali arabscy chłopcy pomagali nam, za grosze odnosząc nasze zakupy do samochodu. Tam po prostu wypróżniali koszyki na siedzenia. Mieniło się złoto i biżuteria. Samochód stał otwarty w cichej uliczce. Nic nie zginęło!

Również wymiana pieniędzy odbywa się w sposób przedziwny. Banki się tym nie zajmują. Za to w mieście są stragany "handlarzy pieniędzy". Zdumiewający widok. Stragan zavalony banknotami wszystkich krajów świata. W blaszanych pudełeczkach bilon. Nad stołem przeciągnięte sznury, na których powiewają na wietrze pliki banknotów przychepione klamrami do suszenia bielizny. Handlarz odpoczywa w cieniu z dala od straganu. Klient musi go poszukać. "Proszę dwieście dolarów, tysiąc franków szwajcarskich i pięć tysięcy francuskich..." Kupiec szybko oblicza na drewnianym liczydło lub na japońskiej maszynie do liczenia. Wymienia sumę w arabskich rialach i szybkimi ruchami kładzie przed klientem "kupione" pieniądze. On też nie boi się napadu, choć ulica pusta.

Lubiłem włóczyć się po mieście wieczorem, po zachodzie słońca, w dzień, koło południa, ruch w mieście zamierał i tylko pływalnie wielkich hoteli cieszyły się niezmiernym powodzeniem. Kąpałem się raz samotnie w Morzu Czerwonym dziwiąc się, że na ogromnych plażach nie ma żywego ducha. Zrozumiałem szybko. Nagrzana woda morska nie przynosiła mi żadnej ochłody, a wysychając błyskawicznie pozostawiała na skórze nieprzyjemny, piekący osad soli. W dodatku, jak się później dowiedziałem od tubylców, wody przybrzeżne Arabii są często odwiedzane przez rekiny... W pływalniach - tłum cudzoziemców. Arabów mało, a ci, których się widzi, są na ogół spoza Arabii Saudyjskiej.

Miasto budzi się po zmierzchu. Rozliczne sklepy otwierają swe podwoje, a strategicznie rozstawione kioski z sokami owocowymi i wspaniałymi "milk shakes" pozwalają poruszać się bez obawy, że umrze się z pragnienia. Alkoholu oczywiście nie uświadczysz nigdzie, a bezalkoholowe piwo holenderskie ma smak mydła. Wielki Suk, czyli wspomniane już wcześniej główne targowisko miasta, warte jest zwiedzenia. Typowy wschodni bazar. Olśniewa bogactwo towarów rozłożonych na wielu hektarach placów i ulic starego miasta. Przewija się tu barwny tłum - tubylecy, pielgrzymi, marynarze z sąsiedniego portu, węszący za okazją. A okazji nie brak. Ceny niskie, zwłaszcza na wyroby przemysłowe. Importerzy nie płacą cła, toteż zegarki, radia, a nawet samochody są tańsze niż w kraju producenta, niż w strefach wolnych od cła międzynarodowych portów lotniczych czy morskich.

A suk lśni biżuterią, złotem. Mienia się drogie materiały, jedwabne brokaty, haftowane złotem stroje. Dywany. Któż potrafi opisać różnorodność tkanin z całego świata - z Turcji, Kaszmiru, Afganistanu, Maroka, Mongolii, a nawet z Tybetu.

Dywan dla Araba - to rzecz ważna. Na dywanach się śpi i je. Dywanami zdobi się ściany. Na dywanach się modli. Nawet tu, na suku, na pierwsza dźwięki wołania muezzina z pobliskiego minaretu staje handel, przerywa się w pół słowa dobijanie interesu i wszyscy muzułmanie klęczą twarzami w stronę Mekki. Patrzą na zegarek. Jest za osiemnaście siódma. Jeszcze wtedy nie rozumiałem, dlaczego u Arabów urzędy otwierane są o przedziwnych niepełnych godzinach, że modlitwy i wszystkie ważne akty życia społecznego mają miejsce na przykład za osiemnaście któraś, trzynaście po którejś i tym podobne. Dowiedziałem się znacznie później: dla Arabów godzina wschodu Słońca to godzina zerowa /dwunasta/; godzina pierwsza to w godzinę po wschodzie słońca. I tak dalej. A ponieważ modlitwy nakazał prorok odmawiać w pewnych odstępach czasu licząc od wschodu słońca, więc prawowierni Arabowie nastawiają zegarki w momencie wschodu Słońca. Wystarczy niewielka wydma na horyzoncie, by Słońce wyszło zza niej pięć minut później - nie ma więc chyba dwóch Arabów, którzy by mieli identyczny czas na swych wspaniałych, szwajcarskich lub japońskich, chronometrach. Czas "państwowy", czas radia i telewizji, wyznacza również odpowiedni duchowny na podstawie własnych obserwacji...

Tłum mrowiący się na suku składa się wyłącznie z mężczyzn, przeważnie w białych dżellabach. Czarno odziane kobiety przemykają się jakby ukradkiem. Choć los ich jest bez porównania lepszy niż czarnych kobiet w Afryce, jednakże nie mogą brać udziału w życiu publicznym. W czarnych strojach, o twarzach zasłoniętych po oczy, ze wzrokiem spuszczonego ku ziemi, nie rozglądając się na prawo ni lewo, starają się zniknąć z oczu jak najszybciej. Mężczyźni też udają, że nie widzą, gdy któraś przemyka w zasięgu spojrzenia. Widuje się je niezmiernie rzadko. Fotografowanie wzbronione.

Arabowie są na ogół niscy i - co tu mówić - chuderlawi. Jednakże obszerne, białe dżellaby kryją skutecznie mizerne ciała. A twarze brodatych zbójców z Ali Baby nasuwają nieodparcie na myśl Lawrence of Arabia. Na rękach drogie pierścienie, za pasem nieraz bogato zdobione kindżały. Beduini arabscy mają niewątpliwie swoisty dziki wdzięk. Składa się nań wiele czynników: ich orle nosy, ciemna karnacja wysuszonej słońcem skóry, rysy rzeźbione piaskiem pustyni i - dość często - zaskakująco niebieskie oczy. Oprócz tego duża godność w ruchach i zachowaniu. I tu następne skojarzenie ze słynnym Lawrence'em: homoseksualizm. Dziwny to naprawdę widok, gdy na ulicy idzie, trzymając się za małe paluszki i zaglądając sobie czule w oczy, dwóch brodatych zbójców z kindżałami za pasem. A tutaj widok to wcale nierzadki. Ten arabski homoseksualizm, który od dawna przyciągał angielskich dżentelmenów, jest uwarunkowany historycznie i społecznie. Dawniej, gdy Allah nie nauczył jeszcze niewiernych kupowania u Arabów ropy, Beduini utrzymywali się z przewozu towarów między Azją a światem zachodnim. Karawany były w drodze miesiącami, a nieraz latami. Nie było w nich kobiet i dzieci. Żony i potomstwo zostawały w osadach, jako zbędne utrudnienie w koczowniczym ciężkim życiu. Nic więc dziwnego, że Beduini zaczęli oddawać sobie koleżeńskie usługi seksualne. Młodzi chłopcy od tego zaczęli czeladnicze życie. I tak zostało po dziś dzień, choć ciężarówka Forda już prawie wyparły wielbłądy, a karawany, mając krótszy zasięg i środek transportu znacznie szybszy, rzadko są w drodze ponad dwa tygodnie. Uświęcony wiekami zwyczaj przetrwał i nie gorszy tu nikogo: "Honni soit qui mai y pense"⁴⁰.

Niebo nad pustynią skrzyło się mnóstwem gwiazd. Trzecia nad ranem. Temperatura spadła do 16 stopni Celsjusza, co w porównaniu z piekielnym żarem zalewającym pustynię w ciągu dnia było prawie przymrozkiem. Byłem w Ładi Szejsz⁴¹. Powietrze na pustyni jest tak przejrzyste i

⁴⁰ Francuska dewiza herbowa angielskiej rodziny królewskiej: "Hańba temu, kto źle o tym myśli".

⁴¹ Ładi /w transkrypcji angielskiej "wadi"/ - zasadnicze koryto rzeki, wąwóz /El Leb - rzeka/. Tylko na dnie ładi płynie woda i wsiąka błyskawicznie w piach pustyni. Jedynie w czasie padających raz na parę lat deszczów wąwóz wypełnia się wodą i rzeka wpływa w głąb pustyni. Pustynia wówczas zielenieje, a miotane wiatrem róże jerychońskie zapuszczają korzenie i kwitną przez parę dni. Potem wszystko wysycha

suche, że atmosfera nie zasłania nieba.. Gwiazdy są niezwykle jasne i widzi się ich bez porównania więcej. Świecą mocno i wcale nie "mrują". Widać tu już gwiazdozbiory południa. Obce to niebo dla Europejczyka. Ale jakież piękne! Czyste i zimne. Niebo Proroka...

Wczoraj samolot pasażerski przywiózł mnie z Dzeddah do Nadżran, ogromnej oazy na południu Arabii. Na lotnisku czekał na mnie mój stary przyjaciel Georges⁴². Przywiózł mnie jeepem do wąwozu, w którego grotach kwaterowała grupa. Przez pięć lat gościli tu europejscy doradcy wojskowi w służbie imama Jemenu, a właściwie jego bratanka, księcia Mahommeda ben Husseina, który w zastępstwie stryja dowodził całością sił malakhi.

Gdy przybyłem do wąwozu - wstrząs. Na stosie polewanym obficie ropą napędową palono zwłoki dwóch brytyjskich obserwatorów, którzy zginęli od kul sowieckiego Miga. Palono ich zwłoki, by odesłać proch rodzinom. Transport z miejsca śmierci do wąwozu najemników trwał zbyt długo i stan trupów nie pozwalał na przesłanie ich do Wielkiej Brytanii.

Trupi zapach zatruł mi na zawsze wspomnienia z pierwszego dnia pobytu. Sam wąwóz urządzony był możliwie komfortowo. Dieslowski generator elektryczny zapewniał prąd, a co za tym idzie chłodne napoje w lodówce. Strumyk "ładi", uchwycony w rynnę przed wsiąknięciem w piach, dawał nie tylko wodę do picia, ale wypełniał zmyślnie ocementowany skalny załom tworząc miniaturowy basen pływacki.

Wejścia do grot przysłonięte siatką kamuflażową i groźne sylwetki karabinów maszynowych przypominały jednak, że to nie obóz wczasowy. Byłem znów żołnierzem. Znów mogłem walczyć z najpodlejszym z wrogów: sowieckim komunizmem. Paryż i jego mgły zniknęły z mojej pamięci. Liczyło się tylko jutro. W głębi groty spał mój najlepszy druh - Georges. Noc wymiotła z Ładi Szejsz trupi jad. Powietrze znów było czyste. Nie mogłem spać: byłem zbyt szczęśliwy.

i tylko w głębi ładi sączy się z gór cieniutka struga wody.

⁴² Georges, mój serdeczny przyjaciel, zginął w Jemenie dwa lata później. Dzielny żołnierz, niezłomny antykomunista i wspaniały człowiek.

TROGLODYCI I BEDUINI

Jeep był pomalowany na kolor ochronny, kolor piasku pustyni. Z trudem i trzęsąc okropnie jechał wzdłuż "wąwozu najemników" - Ładi Szejsz. Po dwudziestu minutach kaleczenia opon na zawalających wąwóz kamieniach wy dostał się na pustynię. Georges dodał gazu. Do Nadżran mieliśmy prawie godzinę drogi przez całkowite pustkowia. Po kilkuset metrach zniknęły ostatnie ślady wysuszonej do cna roślinności. Żółty, miałki piach odbijał promienie słońca. Powietrze drżało od gorąca. Za jeepem unosiły się tumany kurzu. Codzienne wycieczki do Nadżran były naszą jedyną rozrywką. W Ładi Szejsz dnie upływały na szkoleniu własnym i Jemeńczyków. Wypełniały czas także kąpiele w basenie, lektura i słuchanie radia. No i wieczne czyszczenie broni, gdy wiał wiatr od pustyni i niósł chmury piasku zmielonego na mąkę milionami lat erozji. Piach był tak miałki, że wciskał się wszędzie. Tylko zegarki w pełni wodoszczelne zdawały egzamin na pustyni. Najszczelniejsze pokrowce nie chroniły broni. Najszczelniejsze okulary nie chroniły oczu.

Georges prowadził szybko; był to jedyny sposób by nie ugrzęznąć. Gorący pęd powietrza suszył mi wargi. W zębach zgrzytał piach. Piach smagał mi twarz tysiącami drobnych ukłuć. Piach osiadał w kącikach zażawionych oczu chronionych motocyklowymi okularami.

Po pewnym czasie odetchnąłem z ulgą. Samochód wy dostał się na asfaltowy odcinek drogi. Jeszcze kilka wydm zasłaniało nam widok. Za nimi roztaczał się Nadżran. Miasto-oaza. Jedyna wyspa zieloności w promieniu setek kilometrów. Małe domki ulepione z czafru, czyli zmieszanej z wielbłądzim łajnem gliny, ciągnęły się wzdłuż kilku osi: szlaków karawan wiodących przez pustynię.

W miarę zbliżania się do centrum coraz więcej roślinności: w centrum była woda. Niewielki stawek i kilka studni. Ale stawek nie wysychał nigdy, zasilany podziemną rzeką, w którą łączyły się wsiąkające w pustynię strumyki górskie. Nadżran leżał w dolinie. Tu podziemne zasoby wody były najbliżej powierzchni: wystarczyło pokopać. W stawku pojono wielbłądy. Ze studni ciągnięto wodę do picia. Dwa wielbłądy krążyły w kółko po wydeptanej latami ścieżce poruszając skrzypiący i jęczący kierat. Prymitywny mechanizm zanurzał skórzane wiadra w stawku, czerpał zeń wodę i wlewał ją do kanałów irygacyjnych, których sieć pokrywała oazę. Woda płynęła kanałami i wsiąkała w piach: w promieniu kilkuset metrów rosły palmy i zieleniły się ogrody. Coraz bledsze i bardziej zakurzone im dalej od źródła. Potem już tylko pustynia...

W centrum duży ruchliwy plac. Sklepiki i knajpy, w których można było dostać coca-cole, bezalkoholowe piwo o smaku mydła i herbatę w nigdy nie mytych, maleńkich filiżankach, które przez lata używania nabrały koloru podawanego w nich cza'aju. Cza'aj, czyli gorąca słodka herbata - to napój narodowy Arabów. To nie tylko zresztą napój, ale również symbol pokoju, przyjaźni i gościnnosci, równoznacznik "kalumetu", indiańskiej fajki pokoju.

Przy wschodniej części placu mały meczet wskazywał drogę do raju wysmukłym minaretem. Po prawej dziesiątki wielbłądów odpoczywały w mizernym cieniu palm, przeżuwać suche i kolczaste badyle, którymi je raczono. Z beduińskich namiotów rozbitych opodal ciągnął zapach kadzidła, cza'aju i gotowanej baraniny. W kilku małych ogniskach płała suszony wielbłądzi nawóz. Jęklliwe dźwięki arabskiej muzyki płynęły z tranzystorowych odbiorników i kasetowych magnetofonów, zagłuszone porykiwaniem wielbłądów. Jedynie, gdy z minaretu rozlegał się płaczący głos muezzina, cichły tranzystory i gwar targowiska. Tłum na klęcznikach bił pokłony w stronę Mekki i tylko wielbłądy nie przerywały swych świętokradczych ryków.

Po lewej stronie placu kilkadziesiąt barwnie pomalowanych i ozdobionych potężnych ciężarówek Forda zajmowało teren przeznaczony na karawany zmotoryzowane, które wypierają stopniowo wielbłądzą tradycję pustyni.

Środek placu - to suk, czyli targowisko. W Nadżran jest one mniej barwne, niż suk w bogatym mieście portowym Dżeddah. Ale leżący na pograniczu z Jemenem Nadżran miał na targowisku stragany z bronią. Stragany - to za wiele powiedziane. Arabowie handlują w kucki na płachtach i dywanach rozpostartych na gołej ziemi. Konserwy ze wszystkich krajów świata, herbata i zioła, kadzidła i tkaniny. Prymusy spirytusowe, baterijki do lamp i tranzystorów, zegarki i biżuteria. Pieniądze: bogaty "bankier" wymienia saudyjskie riale na złote "gwinee" z głową brytyjskiego króla Georges'a V i na talary austriackie z popiersiem Marii Teresy, specjalnie dla Beduinów tłoczone w Bejrucie na wiedeńskiej licencji. Talary Marii Teresy to obiegowy pieniądz Beduinów. Od zatoki arabskiej po Morze Czerwone, od Adenu po Synaj - srebrne talary są najchętniej, prócz oczywiście brytyjskich gwinei, przyjmowane przez wszystkich.

Dwanaście gwinei - kałasznikow. Sześć - porządny colt 45M1A1. Za talara sześć sztuk amunicji do colta, dziesięć do kałasznikowa. Przed handlarzem, na rozesłanej płachcie dwanaście pistoletów: wspaniały colt, niemieckie parabellum, belgijski piętnostrzałowy GP 9 mm, hiszpańskie astry, sowieckie tokarewy i nagany. Piramidki usypane z naboju. Ruznica turecka z 1880 roku, austriacki mannlicher. Trzy granaty obronne: dwa z rączką, z Wehrmachtu. Jeden jajowaty - brytyjski.

Georges pyta o cenę parabellum: "Ada kam fluz?" Ile to pieniędzy? - "Rhamsa mia riali", pięćset riali - pada odpowiedź. Georges, stary bywalec, odłożył broń i kiwnął na mnie. Przy straganie obok rozłożone dywany, kilka ławek. To "knajpa". Georges zamówił herbatę. Słodki cza'aj rzeźwił, gasił pragnienie. Nie upłynął kwadrans, a handlarz bronią był przy nas. - "Harba mia u rhamsain riali". Czteryście pięćdziesiąt. Georges machnął ręką, że za drogo i zrobił do mnie minę na temat: "nie ma co rozmawiać z tym durniem". "Kam?" Ile - zapytał handlarz. - Dwieście! - rzekł Georges. Handlarz zrobił minę przerażoną, jakby zobaczył wariata. - Czteryście! - Dwieście pięćdziesiąt! - Trzysta pięćdziesiąt! - Georges kupił parabellum za trzysta dwadzieścia pięć riali. Przepiliśmy targ herbatą. Na pistolecie wytłoczona hitlerowska gapa. Rok produkcji 1912. Gdyby mógł nam opowiedzieć swoją historię... Osiem złotych gwinei zmieniło właściciela. Handlarz dorzucił garść amunicji dla równego rachunku.

Żyliśmy w naturalnych grotach. Granica Arabii Saudyjskiej i Jemenu jest płynna, zwyczajowa raczej. Przebiega w niskich, starych górach, pełnych załomów i grot. Głębokie wąwozy, łądi, upodobniają okolicę do znanych z westernów kanionów Colorado. Groty były dla nas mieszkaniem i schronieniem. Lotnictwo egipsko-sowieckie "nawiedzało" nas od czasu do czasu. Płynność granicy stanowiła doskonały pretekst do jej naruszania, nawet gdyby komuniści potrzebowali pretekstów... Toteż nasz sprzęt, jeśli nie mieścił się w grotach - był starannie zakamuflowany ochronną siatką.

Egipcjanie zaczęli wycofywać się z Jemenu. Dla nas stanowiło to okazję do przejęcia inicjatywy. Lada dzień mieliśmy się przekraść do centrum Jemenu, w góry otaczające stolicę Sa'ana, gdzie ciągle walczyły zachowujące wierność imamowi plemiona Hadyszdydów i Beni Matar. Na razie szkoliliśmy Jemeńczyków. W używaniu broni, w czytaniu cyfr. Nasze cyfry, choć zwane arabskimi, bardzo się od arabskich różnią. A że figurują na celownikach wszelkiej broni oraz na skalach radioaparatów i w tabelach strzelniczych, więc ich znajomość jest dla żołnierzy, a zwłaszcza dla dowódców, wprost niezbędna. Jemeńczycy strzelają dobrze z broni ręcznej: ćwiczą się od dziecka. Ale broń przeciwpancerna wymaga szkolenia, choć i to pojmują łatwo. Najgorzej z

bronią stromotorową. Zależność donośności od podniesienia lufy, a zwłaszcza skracania ognia przez większe podniesienie - to z trudem docierało do ludzi przyzwyczajonych do strzelania ogniem bezpośrednim.

My szkoliliśmy się również. Podstawy języka arabskiego, radiokomunikacja, szyfry. No i moździerz, hotchkiss 120 mm. Ciężki moździerz produkcji francuskiej, ówczesny cud techniki. Jest nim zresztą do dzisiaj po dwudziestu niemal latach. Rewelacyjny ten moździerz miał zasięg 13 kilometrów, podczas gdy zasięg jego amerykańskiego czy sowieckiego odpowiednika nie przekraczał sześciu. Ten niezwykle zasięg był zasługą zawartej w pocisku dodatkowej rakiety napędowej, która uaktywniała się w momencie, gdy pocisk w swym apogeum balistycznym nabierał pochyleń 45 stopni. Toteż zasięg maksymalny hotchkissa uzyskiwało się przez podniesienie lufy, wynikające z bardzo skomplikowanych tabeli logarytmicznych. Jego celność była niezwykle, promień rażenia również. Istne cacko. Ale wymagające dobrej obsługi.

Tak płynęły dni. Szkolenie. Gra w szachy. Czyszczenie broni. Intensywne treningi w łażeniu z plecakiem po górach i skałach. I nocne rozmowy: wspomnienia o zapomnianych wojnach, o niezapomnianych kobietach. Prawdziwe i zmyślone przygody cudze i własne. No i filozofia życia: Georges, co byś wolał stracić na wojnie - męskość czy wzrok? - pyta głos w ciemności grotu. Chwila ciszy, pytanie wymaga głębszego zastanowienia. - Z dwojga złego wolałbym już dupczyć po omacku! - brzmi stanowcza odpowiedź Georges'a, znanego pożeracza niewieścich serc, który cierpiał szczególne męki w jemeńskim "bezbabiu". Bo mimo całej życzliwości do nas i całego szacunku żaden Arab nie ścierpiałby, by jakiś niewierny nasrani⁴³ dotknął muzułmańskiej kobiety. Ostrzeżono nas, że nawet ręka imama nie wybawiłaby nasraniego od śmierci. Georges pocieszał się, że niektórzy rycerze krzyżowi również składali śluby czystości na czas krucjaty... Żeby nie zapomnieć jak wygląda kobieta - wzorem amerykańskich G.I. z II wojny światowej - wróciliśmy do mody pin-upów.

Oswojone, radosne koźle, zwane Comberkiem, które włączyło się za nami wszędzie, było przedmiotem częstych żartów góralskiego typu.

W Nadżranie obserwujemy przygotowania do przyjazdu królewskiego kuzyna księcia Khaleda, businessmana i szarej eminencji. Khaled ma przybyć na manewry "białej armii", beduińskiej gwardii pretoriańskiej króla Arabii Saudyjskiej. Biała armia, świetnie wyposażona i wyszkolona, jest ostoją monarchii. Służą w niej wyłącznie Beduini z plemienia królewskiego. Na manewry byliśmy zaproszeni jako obserwatorzy i goście emira. W związku z jego przyjazdem przedłużono bieżnię lotniska i wyasfaltowano drogę do Nadżran. Na granicy "miasta" postawiono namiot z tysiąca i jednej nocy. Wielkości namiotu cyrkowego, wyłożony drogimi tkaninami, wymoszczony dywanami i poduszkami, mógł pomieścić dwór książęcy: dwieście osób. W przeddzień przybycia Khaleda wylądował na nowej bieżni transportowiec - przywiózł służbę i książęcego rolls-royce'a. Połączone zderzaki i chłodnica lśniły w słońcu. Biały samochód miał siedzenia wykładane skórą lampartów i deskę rozdzielczą z mahoniowego drzewa. Lodówka, bar, telewizor. Zapalniczka ozdobiona brylantem wielkości orzecha.

Khaled przybył nazajutrz prywatnym jetem. Przejechał swym rollsem pięćset metrów dzielące lotnisko od namiotu. Po południu zasiadł na sutykach poduchach. Manewry były niezwykle widowiskowe: po pustyni śmigały samochody i różne pojazdy pancerne wznosząc obłoki kurzu. Kropiły z rakiet i dział. Beduini są mistrzami karkołomnej jazdy terenowej. Wszystkim bardzo się podobało. Nam najbardziej. A gdy emir powiedział, że już w tym tygodniu dostaniemy brakującą nam resztę sprzętu i ruszymy do Jemenu - radość nasza była całkowita.

⁴³ Nasrani to nie żadna zniewaga skatologiczna, tylko lokalna skrótowa forma od "nazerani". Od nazwy biblijnego miasta Nazaret, oznacza po prostu "chrześcijanin".

Po skończonych manewrach, a właściwie po widowisku urządzonym dla uciechy potężnego księcia, emir Khamed rzucił kilka garści złotych monet oficerom białej armii. Następnie wsiadł w rollsa i wrócił do samolotu wzdłuż szpaleru wiwatujących ludzi. Wiwatujących tym bardziej, że intendencja emira również rzucała w tłum monety, tyle że srebrne. Tęgawa sylwetka księcia zniknęła w chłodnym wnętrzu luksusowego samolotu. Za chwilę jet wzniósł się i zniknął w blasku zachodzącego słońca. W chwilę później wylądował transportowiec, na który ostrożnie załadowano rollsa. Służba emira upychała się jak mogła. Nam wręczono koperty: wewnątrz kolorowa fotografia księcia i czek na 500 dolarów.

Wiedzieliśmy, że nasz pobyt w Arabii kończy się, że zacznie się nareszcie Wielka Przygoda. Nazajutrz zaczęliśmy przygotowania. W Ładi Szejsz zawrzało...

Jemen składa się z czterech regionów geograficznych: pierwszy to Tihana, wąska dolina o parnym, niezdrowym klimacie, ciągnąca się wzdłuż Morza Czerwonego, ograniczona na wschodzie górami Jemenu Średniego. Główne miasto to Hodeida, jedyny port Jemenu /w czasie opisywanych wypadków rozbudowująca się sowiecka baza morska na Morzu Czerwonym/. Pasma gór niskich, ciągnące się wzdłuż Tihany, to Jemen Średni. W północnej części Jemenu średniego klimat jest suchy. Kraj to zupełnie dziki, zamieszkały przez beduińskie plemiona rozbójnicze pilnujące nielicznych źródeł i żyjące z haraczu, płaconego im przez karawany kursujące między Jemenem a Arabią Saudyjską. Tylko nieliczne miasta-oazy, jak Sa'ada i Khamer, zamieszkałe są przez ludność jemeńską.

Południowa część Jemenu Środkowego jest zupełnie inna: w szerokich dolinach klimat jest gorący, lecz złagodzony; dominuje tu zieleń. Zaludnienie większe, ludność bogatsza. Gęste wsie położone są na łagodnych stokach wzgórz. Liczne strumienie zapewniają wilgotność potrzebną do uprawy roli. Tarasy pól. Plantacje słynnej jemeńskiej kawy, której nazwa pochodzi od miasta Al Mocca. Inne miasto Jemenu Średniego to Zebid, szczytujący się letnią rezydencją imama, oraz Taiz, walczący od wieków o godność stolicy kraju z Sana'a, leżącą na wielkim płaskowyżu jemeńskim, oddzielony od reszty kraju pasmem wysokich gór /3750 m/. Klimat tu ostry, górski. Dnie upalne, noce zimne. Okresy deszczowe na przemian z posuchą. Ludność trudni się głównie pasterstwem. Barany i wielbłądy likwidują dokumentnie każdą plamkę zieleni w żółtoszarym pejzażu. Ogromna równina, ciągnąca się środkiem Jemenu na wysokości ponad dwu tysięcy metrów, wciska się kotlinami między sterczące nad jej poziomem góry. Tu traci się pojęcie wysokości. "Dół", na którym się żyje, gdzie się chodzi i jeździ, to dwa kilometry nad poziomem morza. A wysokie w skali bezwzględnej góry, które sterczą nad równiną, wydają się niskie. Pejzaż jak z Colorado. Góry często o wierzchołkach płaskich, podmyte erozją, tak że wydają się szersze u szczytu niż u podstawy, wyrastają z równin wąwozów. Kraj dziki i piękny.

W takim to właśnie miejscu leży stolica Sana'a. Otoczone murem miasto na rozległej równinie. Ponoć sto tysięcy mieszkańców. Sto minaretów. Starożytny pałac imama i nowozbudowany Dom Jemeńskiego Ludu: siedziba rządu i partii. Nad miastem wznoszą się od wschodu góry zamieszkałe przez wierne wówczas imamowi plemiona Beni Matar /Dzieci Deszczu/. Od zachodniej strony na straży stolicy sterczy wierzchołek Nogum. Fort turecki na jego płaskim szczycie panuje nad całą okolicą. Dżebel el Nogum, obsadzony przez sowiecko-jemeńskich artylerzystów, dał się nam później we znaki, jako punkt obserwacyjny o ogromnym zasięgu.

Na wschód od Sana'a płaskowyż opada łagodnie, niespostrzeżenie niemal. Klimat staje się bardziej suchy i gorący. Wreszcie, stopniowo, skalisty płaskowyż przechodzi w pustynię. Na

niewyraźnym pograniczu tych dwóch obszarów leży święte miasto jemeńskie, starożytny Mar'ib, niegdyś stolica biblijnego królestwa Saby. Leżąca dziś w ruinie zapora wodna zbierała wodę z górskich strumieni, a przemyślnie kanały pozwalały na nawodnienie całej krainy, zmieniając ją w jeden wielki ogród Arabii Szczęśliwej. Nieliczni archeolodzy, którzy tu dotarli, stwierdzili, że dzisiejszy Mar'ib to już piąte z kolei miasto zbudowane na ruinach swych poprzedników. Na wschód od Mar'ib rozciąga się wielka pustynia arabska /Dżuf el Kebir/, zwana inaczej Rob el Khali.

W tym to kraju miałem spędzić przeszło dwa i pół roku, zmierzyć go samochodem, pieszo, na grzbiecie wielbłąda. A ludność? Serdeczna, gościnna, biedna i niesłuchanie brudna. Brak wody rodzi złe nawyki, które nie mijają nawet tam, gdzie wody jest pod dostatkiem. Naród dumny, wolny. Ustrój i stosunki społeczne dziś już zupełnie zmienione, wówczas, pod koniec lat sześćdziesiątych, jako żywo na myśl przywoływały Polskę piastowską z opisów Grabskiego czy Jasienicy. Szejkowie rodowi, kontrolowani przez szejków królewskich - urzędników administracji imama. Imam lub księżęta z jego rodziny /emirowie/ krążyli po kraju "oddając sprawiedliwość". Każdy, najbardziej nawet nędzny Jemeńczyk, mógł się odwołać do imama lub jego przedstawiciela. A nagrody i kary były natychmiastowe: garść złota z kufra księżęcego lub chłosta na placu publicznym. Władza szejków rodowych była wielka, ograniczona jedynie lennym niejako stosunkiem do imama. Ale imamowie zachowali dwa przywileje do końca monarchii: oddawanie sprawiedliwości i ściąganie podatków. Plemiona prowadziły ze sobą spory, nieraz krwawe - imam stawał się wówczas rozjemcą.

Ale wolność Jemeńczyków była zawsze wolnością ludzi zbrojnych. Od wczesnej młodości każdy Jemeńczyk jest uzbrojony. Krzywy kindżał, tak zwana džambia, jest symbolem zarówno stanu wolnego, jak i męskości. Toteż najbiedniejszy ośmioletni pastuszek jemeński za pierwsze grosze kupuje sobie skórzaną pochwę do džambii, którą nosi na początku pustą. Następnie zbiera na ostrze, które musi być z tureckiej stali, oraz na rękojeść, najpierw drewnianą, którą jak najszybciej wymienia na rogową. Później w miarę dorabiania się i zyskiwania pozycji w hierarchii społecznej, Jemeńczyk zdobi pochwę i rękojeść džambii srebrem, złotem i klejnotami.

Ale džambia to tylko symbol, chociaż zdarzają się pojedynki na džambie. Każdy Jemeńczyk posiada broń palną. Może to być stara turecka rusznica lub niemiecki mauzer z czasów drugiej wojny światowej. Ale może to również być - szczyt szczytów w owych czasach - sowiecki szturmowy kałasznikow. Niemniej i tu, na tym szczycie, są równiejsi między równymi. Kałasznikowy książąt bywają pozłacane, o kolbach inkrustowanych kością słoniową i drogimi kamieniami. To powszechne uzbrojenie obywateli stanowiło tu zawsze zaporę przeciw totalitaryzmom. Zarówno władza królewska, jak później czerwona, nie były wszechmocne. Przeciwwagą dla wszelkich zakusów było zbrojne społeczeństwo. Do dziś - poza miastami w górach - Jemeńczycy nie pozwolili się rozbroić. I dlatego zakusy rewolucjonistów nie dały tu nigdy wyników. Jakby w tym kraju sprawdziły się przewidywania ojców amerykańskiej konstytucji, gwarantujące obywatelom wolność posiadania broni...

"Excuse me, sir, jak pan sądzi, ile może być stopni ciepła?" spytałem uprzejmie ocierając spocone czoło. Pustynia falowała od rozgrzanego powietrza. Piasek parzył przez buty, żar lał się z nieba. Korzystając z krótkiego postoju przelewałem gumową rurką benzynę z beczki umieszczonej na jednej z ciężarówek naszej kolumny do zbiornika mojego jeepa. Na pustyni nie wolno się zatrzymywać pod groźbą ugrzęźnięcia. Tylko stare wygi, nasi beduińscy przewodnicy, znali miejsca gdzie trwałość podłoża gwarantowała możliwość natychmiastowego ruszenia w dalszą drogę bez mozolnego wygrzebywania się z piachu. Toteż na każdym postoju uzupełnialiśmy zbiorniki po brzegi... na wszelki wypadek.

Billy, czyli sir William McLean MP⁴⁴, pułkownik Jej Królewskiej Mości królowej brytyjskiej, spojrział na mnie, odjął od ust dżerbę⁴⁵ z wodą i otarł usta rękawem gestem istic arabskim. "Hundred to sixty" - odpowiedział uśmiechając się radośnie. Ten olbrzym, szkocki arystokrata, przebrany za Araba, był obserwatorem wydarzeń na półwyspie arabskim z ramienia konserwatywnego "gabinetu cieni". Włączył się przebrany za Araba po wszystkich zakamarkach Bliskiego Wschodu, gdziekolwiek się coś działo. Teraz jechał w naszej kolumnie, gdyż właśnie tu zaczęło się coś dziać. Jechaliśmy, by wziąć udział w zorganizowaniu walk w Jemenie.

Sto do sześćdziesięciu? - zdziwiłem się w myśli - co on, do diabła, chciał przez to powiedzieć? Angielskiego humoru pułkownika baliśmy się wszyscy, mimo że to nie my od niego, ale on od nas zależał, podróżując w naszej kolumnie.

- I beg your pardon, sir? - wyjąkałem, wyjmując rurę ze zbiornika. W ustach miałem obrzydliwy smak benzyny: na początek przelewania musiałem "zassać". Teraz paliło mnie gardło. Byłem wściekły. Pułkownik rozjaśnił twarz, jak zawsze gdy udało mu się zakpić z kogoś.

- To proste: jest sześćdziesiąt stopni w cieniu, ale co najmniej sto kilometrów do najbliższego cienia.

Zrobiło mi się jeszcze cieplej. Łyknąłem trochę wody z dżerby i zapaliłem papierosa. Nasi Beduini odprawiali swe jęklive modły kiwając się rytmicznie w kucki, twarzami do Mekki.

Jechaliśmy kolumną ciężarówek przez Dżuf el Ketir⁴⁶. Kierunek południe. Za nami zostały groty w pogranicznych górach. Byliśmy w Jemenie. Ale tak naprawdę to pustynia była niczyja. Niczyja? Za właścicieli uważały się beduińskie plemiona koczownicze Daham i Zahid. Dahamowie i Zahidzi żyli z haraczu płaconego przez karawany wędrujące "ich" pustynią. A ponieważ trzymali w swych rękach nieliczne punkty Małej Pustyni, gdzie była woda - a w dodatku byli świetnie uzbrojeni - więc haracz płacili wszyscy z wyjątkiem króla Arabii Saudyjskiej, jako Wodza Wiernych i imama Jemenu, jako Potomka Proroka, no i oczywiście pielgrzymów dążących do Mekki...

Jechaliśmy przez terytorium Dahamów. René, nasz szef, zarządził ostre pogotowie. Opłatę za nasz przejazd uiszczono co prawda, ale nigdy nie wiadomo. Rok później miałem się przekonać, że taka ostrożność nie była zbyteczna. Na razie rozglądałem się ciekawie.

Przed nami pustynia aż po horyzont. Piasek różowawy, szklący się w słońcu. Już mnie nie dziwią miraż: kłamiwy splendor jezior zachęcających do chłodnej kąpieli. Z prawej, daleko na horyzoncie, pasmo niskich gór udawało deszczową chmurę na bezchmurnym niebie. Tak pędziliśmy obok siebie: cztery jeepy i dwanaście obładowanych ciężarówek. Obok siebie, a nie jedni za drugimi, by nie sypać sobie w oczy piachem, którego chmurę podnosił za sobą każdy samochód, świst wiatru w uszach i płomień gorącego powietrza na spalonych słońcem policzkach. Nieprawdopodobne skoki samochodów po wydmach, byle dalej, byle szybciej, byle nie zwolnić, nie dać się wciągnąć w sypki, uciekający na boki piasek...

Postój kończył się: już Beduini zwijali modlitewne dywaniki. René dawał niecierpliwe znaki klaksonem. Po paru minutach tyraliera samochodów ruszyła znów przez pustynię. Na prawym i lewym skrzydle beduińscy przewodnicy na swych szatańskich piętnastotonowych fordach nadawali

⁴⁴ MP - Member of Parliament - członek brytyjskiej izby gmin.

⁴⁵ Dżerba - rodzaj manierki z jutowej tkaniny. Wilgotna z zewnątrz od wsiąkającej w nią wody. Parująca na słońcu i wietrze woda chłodzi zawartość dżerby, która dzięki temu jest zawsze chłodna. Dżerbami są obwieszane samochody jadące przez pustynię.

⁴⁶ Dżuf el Ketir - Mała Pustynia w północnej części Jemenu. Nie mylić z Dżuf el Kebir, Pustynią Wielką, we wschodniej części kraju i obejmującą całą szerokość Półwyspu Arabskiego na wschód od gór jemeńskich.

piekielne tempo karawanie. Nasze wozy, choć tak zwane terenowe, z trudem wytrzymały konkurencję beduińskich jaskrawo pomalowanych ciężarówek.

I tak oszołomieni, pijani wiatrem, ogłuszeni rykiem silników, pędziliśmy oszalałą kawalkadą do następnego miejsca postoju. Od czasu do czasu ktoś z nas zarywał wóz w jakąś wydnię. Wówczas kolumna pędziła dalej, aż do najbliższego twardego miejsca i tam czekali na nieszczęśnika, zdanego na łopaty, blachy podkładane i na własne tylko siły. "Sześćdziesiąt stopni w cieniu". Niech diabli wezmą angielski humor!

Kiedy wydawało mi się, że nie mam już ani jednej całej kości, gdy twarz miałem pokrytą centymetrem piachu zmieszanego z potem i zastygłego w piekącą skorupę - nowy postój. Tym razem René zarządził nocleg. Siatka ochronna na samochody. Kamuflaż przeciwlotniczy. Tu na pustyni jeden sowiecki mig mógł nas zlikwidować do ostatniego: kto przeżyłby atak - umarłby z pragnienia. A migi najczęściej latały o świcie. Na razie był wieczór. Słońce chyliło się ku zachodowi, ale od wściekle nagrzanego piachu bił żar. Małe ogniki benzynowych palników: gotujemy kolację. Konserwy i cza'aj.

Oprócz rudego pułkownika miałem w moim jeepie drugiego pasażera. Był nim inny Brytyjczyk - pisarz i dziennikarz Wilfried Thessiger. Tak jak rudy pułkownik był potężny, tak Wilfried był chuchro. Jak Billy był wesoły, tak Thess był ponury. Ale jego drobna przebrana za Beduina postać zlewała się wprost z otoczeniem. Po arabsku mówił płynnie. Całe dziesięciolecie spędził na Bliskim Wschodzie, gdzie pociągało go życie nomadów i łatwość homoseksualnych stosunków. Twierdził, że dla wygody stał się muzułmaninem. Czy to prawda? Nie wiem. Ale obyczaje muzułmanów znał dobrze. Spalona słońcem twarz nie zdradzała pochodzenia.

- Lieutenant - powiedział do mnie po kolacji Billy - Thess był tu więźniem Dahamów przez dwa miesiące. Jakby go teraz złapali - to już go nie wypuszczą. A jesteśmy na ich terytorium.

Spojrzałem na mojego "angloaraba", jak go w myślach nazywałem. Thessiger kiwał się nad filiżanką herbaty. Zrobiło się trochę chłodniej. Nie wiadomo skąd, na środku pustyni, wzięła się mucha. Jedna, druga... Kilka much bzykało raźnie nad porzuconymi puszkami od konserw. O parę kroków szelest: w blasku zmierzającego słońca przemknął fenek, maleńki lisek pustyni. Na miły Bóg, co to zwierzątko tu robi? Z czego żyje w tym piekle? A muchy? Co robią muchy o trzysta kilometrów od najbliższego osiedla, a o czterdzieści od najbliższego źródła wody, tam hen, na horyzoncie przed nami.

Thess najwyraźniej potrzebował zachęty. A ja byłem ciekawy. Owe góry na horyzoncie i jedyna studnia na setki kilometrów wokoło - to domena Dahamów. Dziś, jutro, możemy się z nimi spotkać.

- Niech pan opowie, proszę - powiedziałem przymilnie zapalając papierosa. Było coraz przyjemniej.

- Och, to już pięć lat temu - zaczął Thess popijając herbatę. Billy wstał, przeciągnął się i odszedł w stronę małego ogniska, przy którym słychać było głośnie rozmowy i wybuchy śmiechu. To Georges snuł swe wspomnienia...

- Wracalem przez Jemen do Adenu - Thess zapalił fajkę i ciągnął dalej - gdy dotarłem z karawaną na terytorium Dahamów. Pątnicy nie płacą haraczu. Więc myślałem, że się upieczę: nie miałem już pieniędzy... Ktoś im doniósł. Oni mają szpiegów wszędzie. Łączność radiową również. Siedzimy tak jak teraz, tylko po przeciwnej stronie gór. Nagle zza wydm wynurzają się postacie. Setka zbrojnych na wielbłądach. Na sąsiedniej wydmi dwóch zaturbanionych typów montuje

karabin maszynowy. Panika. Jesteśmy otoczeni. pielgrzymi nie mają broni. Szef karawany udał się na pertraktację, po chwili wrócił. Twarz wykrzywiona z wściekłości. - Zdrajco! - krzyczy do mnie - ty nie jesteś pielgrzymem. Przez ciebie to wszystko! Po czym rzucił krótki rozkaz. Jego ludzie związali mi ręce i wraz z tym tobołkiem zostałem wydany Dahamom... Zaciągnęli mnie w góry, gdzie żyją w głębokich grotach. Obchodzili się ze mną grzecznie. Karmili, poili. Spałem na stosie skór, w grotcie, w której trzymali swe zapasy: worki z ryżem, konserwy...

Po jakimś czasie, chyba po dwóch tygodniach, dowiedziałem się, że wysłali do mej rodziny, za pośrednictwem brytyjskiej ambasady w Arabii, żądanie wykupu. Wycenili mnie na dziesięć tysięcy funtów. Rodzinę mam zamożną, ale już dawno zerwałem z nią stosunki. Czy zapłacą? Czy ambasada zechce negocjować w mej sprawie? Jesteśmy przecież na terytorium Jemenu. Zacząłem myśleć o ucieczce.

Na noc związali mnie. Ale któregoś dnia udało mi się ukraść nóż. Czekałem tylko na sposobność, to znaczy na wiadomość, że gdzieś w pobliżu będzie jakaś karawana. Możliwie duża i uzbrojona. Podśluchiwałem rozmowy Dahamów, ich dzieci i kobiet. Wreszcie, gdy już traciłem nadzieję - dobra wiadomość: ogromna jemeńska karawana kupiecka rozbiła obóz. Jutro ma ruszyć w dalszą drogę. Jemeńczycy byli po wodę u Dahamów. Z ich rozmów wywnioskowałem, że biwakują stosunkowo niedaleko. Postanowiłem uciec tej nocy.

Krótko przed wschodem słońca przeciąłem sznur, którym byłem przywiązany do ciężkiej skrzyni konserw. Ostrożnie wyszedłem z groty. Szczęście mi sprzyjało: opodał pasł się osiołek. Wskoczyłem nań na oklep i trucheikiem pojechałem w domniemanym kierunku biwaku. Miałem niewiele czasu. Dahamowie, gdy się spostrzegą, urządzią pościg na wielbłądach, znacznie szybszych od osła. Ale może już zdążę dołączyć do karawany. Targał mną niepokój: a co będzie jeśli karawana wyda mnie Dahamom dla świętego spokoju? Oto wschód słońca. Daleko na płaskowyżu, u stóp gór, z których wychynałem na otwartą przestrzeń, karawana zwija biwak.

Jeszcze grupka otaczająca szefa siedzi przy ognisku i popija cza'aj. Zbliżam się szybko, machając ramionami. Zauważyli mnie. Zdziwieni czekają. Zeskakuję z zadyszanego osiołka i pozdrawiam ich imieniem Allaha. Użyłem specjalnej formuły, takiej, jakiej używają pielgrzymi. Szef skłonił się nisko: gość w dom... Nalano mi herbaty, wypiliśmy... A tu wrzaski. Z gór pędzą na wielbłądach moi Dahamowie. Szef zdumiony ich pojawieniem się, wydaje rozkazy: na wszelki wypadek. Jemeńczycy wyjmują broń. Na jednej z ciężarówek odrzucone plandeki ujawniają karabin maszynowy. Z grupy Dahamów odłącza się samotna sylwetka. Turban nasadzony na lufę karabinu: Poseł... Szef karawany wskazuje na wielbłąda, kopie go w szyję i wyjeżdża naprzeciw. Rozmowy, gestykulacja. Daham pokazuje na mnie. Jemeńczyk na północ, w kierunku Mekki. Jeszcze chwila i rozjeżdżają się. Jemeński szef krzyczy do swoich: bitwa! Szykować się!... Już padają strzały, świst kul. Jemeńczycy kryją się za tobołami na ciężarówkach. Jęk rykoszetu na blasze. Dałem nura pod ciężarówkę; nade mną rozgrzechotał się karabin maszynowy Jemeńczyków. Dwóch Dahamów ryje nosem w ziemię. Ryk rannych wielbłądów. Jęk Jemeńczyka, który nieostrożnie wychylił się. Z dziury w gardle tryska krew. Znowu seria. Potem cisza. I widać oddalające się, malejące sylwetki jeźdźców na wielbłądach. Dahamowie schodzą z pola walki. Jemeńczyk na ciężarówce śle im w ślad długą serię. Są już daleko, ale widać jak kopią wielbłądy po szyjach i przyspieszają. Cisza.

Thess wyjął z ust wygasłą fajkę. Tymczasem zapadła noc. Z pustyni wiał chłód. Usłyszeliśmy kroki. Wrócił Billy i przyniósł dzbanek herbaty. Zapach cza'aju rozszedł się wokoło, gdy nalewał w podstawione kubki. Wypiliśmy po łyku gorącego cza'aju. Nowy papieros. Thess przykrył ramiona kocem. Robiło się naprawdę chłodno.

- Wśród Jemeńczyków był jeden zabity, dwóch rannych. Trzy nieruchome sylwetki Dahamów i dwa trupy wielbłądzie widniały w oddali na piasku. Karawana ruszyła. Po kilku dniach byłem w Nadżranie. Samolot do Riad'u i koniec przygody.

- Thess - spytałem - dlaczego oni za ciebie walczyli?

- Nie walczyli za mnie - odpowiedział Thess jakimś dziwnie miękkim głosem. Walczyli o święte prawo gościnności. Pozdrowiłem ich w imię Allaha i piłem z nimi herbatę. Byłem pod ich opieką, nie mogli mnie nie bronić !

Już zapadła pełna noc. Pozbawione śladu wilgoci pustynne powietrze było tak przejrzyste, że gwiazdy wydawały się wielokrotnie większe i jaśniejsze niż gdziekolwiek indziej. Nie mrugały wcale. Przy ich zimnym świetle można było czytać nawet w bezksiężycową noc. Zaciągnąłem zamek śpiwora. W ciemności słyszałem śmiechy dobiegające od dalszych ognisk. Georges kończył swój występ...

- Wiesz, Rafał - usłyszałem cichy głos z sąsiedniego śpiwora, w którym zaledwie można było odgadnąć sylwetkę chuderławego Brytyjczyka - jednak trzeba być "son of a bitch", trzeba być skurwysynem nasrani, by dla uniknięcia kilku miesięcy niewoli i zapłaty kilku tysięcy funtów nadużyć tak haniebnie świętego prawa gościnności.

W odległych górach zamigotało światło. To Dahamowie.

EGIPSKIE MUMIE I SOWIECKIE CZOŁGI

Ruszyliśmy przed świtem. Szybko przejechaliśmy przez teren Dahamów. W tyle zostały skaliste, niewysokie góry i znów dokoła rozpościerała się pustynia. Wschodzące słońce odkrywało przed nami przestrzeń - zdawałoby się bezkresną. Pustynia, początkowo płaska, rozkołysała się niebawem wydhami. Znów pędziliśmy szalonym tabunem w ryku mechanicznych koni. Prowadziłem jeepa "metodą beduińską", to znaczy kręcąc kierownicą w lewo i w prawo, nieznacznie wprawdzie, ale nieustannie. Na szosie niosłoby jeepa pijanym zygzakiem, ale w sypkim piachu ruch ten nie wpływał na zmianę kierunku, lecz poszerzał tor przednich kół zapobiegając ugrzęźnięciu. Tak prowadzili wszyscy wykonując śmieszne ruchy dziecka bawiącego się w prowadzenie samochodu. Moich dwóch angielskich pasażerów skupiało uwagę na tym, by nie wypaść z pojazdu, gdy jeep skakał z wydm jak narciarz na skoczni i gdy w tumanie kurzu i stuku torturowanych amortyzatorów stykał się znów z piaszczystym podłożem. Obok mnie zaturbaniony Thess z ustami chronionymi chustką czepiał się kurczowo metalowej poręczy, która biegła od deski rozdzielczej aż do prawych drzwi jeepa. Jego opalone i pokryte czarnymi włoskami ręce były blade z wysiłku. Podskakiwał przy tym wydając z siebie rytmicznie stek arabskich przekleństw. Bill jechał z tyłu. Jemu też nie udało się ocalić ni angielskiej flegmy, ni nakazującego szacunek dostojęstwa. Potężne łapy Billa trzymały się obu ścian jeepa, a sam pułkownik, kucając pośrodku powierzchni ładownej, próbował amortyzować wstrząsy. Wyglądał jak jeździec galopujący na istniejącym tylko w jego wyobraźni koniu.

Pustynia zmieniała kolor i kształt. Piasek stawał się coraz bardziej pomarańczowy, a wydmy drobniejsze i gęstsze przypominały sfalowane morze. Na morzu wyspa: kilka wysokich skał wystających z rumowiska kamieni. Postój. Samochody wduszone między głazy w poszukiwaniu namiastki cienia. Konserwy, cza'aj. Modlitwy Beduinów. Gdy zapalałem papierosa - niezapowiedziana wizyta: nad nami z hukiem przewaliły się dwa migi. Duży łuk nad pustynią i wracają. Najwyraźniej zauważyły na pustyni świeży ślad kawalkady naszych samochodów. Błyski pod skrzydłami, jazgot rykoszetów na kamieniach. To karabiny maszynowe. Cztery smugi dymu spod każdego samolotu: osiem rakiet rozwalilo się na skałach. Są ranni. Jeden z Beduinów zabity. Jeden samochód płonie. Migi odleciały. Opatrujemy rannych, na szczęście niegroźnie. Gdyby sowieciarze nadlecieli wcześniej, złapaliby nas na pustyni. Nie wyszedłby chyba nikt. Migi nie wracają. Śpieszyło im się na obiad albo kończyło im się paliwo. Postanowiliśmy czekać do zmierzchu. A nuż naślą na nas swych koleżków. Spalona ciężarówka wiozła jedną z naszych długodystansowych radiostacji, którą udało nam się ocalić z pożaru. Reszta - to żywność i prywatne tobołki Beduinów. Szczęście, że nie trafili w beczkę z benzyną na ciężarówce tuż obok.

Beduini odmawiają modlitwy nad trupem. Pogrzeb na pustyni. My twarzą w stronę Mekki. Trup głową w tymże kierunku. Upał ciąży nad nami, oddycha się ciężko, z wysiłkiem wchłaniając powietrze, z którym żar wlewa się strugą do płuc. W skroniach tętni krew, a w uszach jeszcze echo ryku silników na pustyni i świstu wiatru. Przed oczyma dopalająca się ciężarówka czarnym słupem dymu sięga wysoko w niebo, jak wskazówka dla sowieckich pilotów. Rozmieszczamy samochody jeden z dala od drugiego, wciskając je między skały. Nakrywamy siatką ochronną. Chowamy w skałach beczki z benzyną, skrzynie z amunicją. Ukrywamy zapas wody. Na wszelki wypadek. Mając wodę i radiostację - zawsze możemy doczekać się pomocy, pot leje się strugami. Wysilek w tym klimacie jest zbrodnią przeciwko organizmowi. Poderwał się wiatr i wirując na pustyni zasypuje nasze ślady. Dobrze!

Ktoś woła mnie po imieniu. Na zboczu skały stoi rozebrany do pasa Georges i w uniesionych nad głową dłoniach trzyma ogromny głaz. Wygląda jak posąg Herkulesa. Głaz jest większy od niego, przytłaczający. Miraż, fatamorgana, udar słoneczny, czy halucynacje? Georges krzyczy, bym mu zrobił zdjęcie. Spełniam życzenie. Zresztą fotografują go wszyscy. Po długiej

chwili eleganckim ruchem Georges rzuca głazem w moją stronę. Głaz upadł na skałę i odbił się. Georges śmieje się z naszego zdumienia. Wśród skał, najwyraźniej wulkanicznego pochodzenia, znalazł się po prostu ogromny blok lekkiego jak gąbka pumeksu. I oczywiście postanowił z nas zakpić. W wiele lat później, już po śmierci Georges'a pewien ówczesny współtowarzysz pokazywał w jednej z paryskich knajp zdjęcie Georges'a z głazem nad głową zdumionemu barmanowi: "Popatrz, jakiego mam silnego kolegę!" A teraz Georges stoi wśród nas roześmiany i mówi, że po prostu chciał stać w cieniu. A że cienia nie znalazł...

Cholerny Georges. Komiliton mój z Konga i bratnia dusza. Kompan walk szlachetnych w Kongo i knajpianych awantur w Bejrucie, w Stambule, w Salisbury i w Cape Town. Odważny, solidarny, wesoły i bardzo inteligentny. Brak wykształcenia zastąpił ogromnym odczytaniem i ciekawością. Pamiętam, jak Georges w 1968 roku, w gęsto obsadzonej czerwona proletariacką klientelą knajpie, w skomunizowanej podparyskiej miejscowości Ivry zawołał do kelnera: "Dwie coca-cole!" i podnosząc głos, by go wszyscy słyszeli dorzucił "normalnie tego świństwa nie piję, ale teraz zamawiam, by wesprzeć amerykański wysiłek w Wietnamie!" W knajpie zaległa cisza. Czerwoni proleci zamarli ze zgrozy, a później ruszyli od stolików. Georges rozpiął marynarkę, jakby szykując się do bójki. Proletów wstrzymał widok tkwiącego za pasem Georges'a pistoletu. Z bronią nie rozstawał się nigdy. Płacił grzywny, stawał przed sądem i na drugi dzień znów miał pistolet za pasem. "Niebezpieczne czasy!" - tłumaczył. Ta jego przezorność ocaliła mnie kiedyś w Stambule. Jechaliśmy z Jemenu do Europy na urlop. Georges, René i ja. Pętałem się wzdłuż bulwaru. Georges i René siedzieli przy kieliszku na tarasie pobliskiej knajpy. Nad brzegiem Bosforu banda niby hippisów. Brudni, długowłosi, w łachmanach. Grają na gitarach i żebrzą. Podchodzi do mnie dziewczyna. Również brudna i w łachmanach. Długie, jasne włosy skołtunione i tłuste. "Give me some money, please". Tamci grają na gitarach i obserwują nas spod oka. Dziewczyna ma oczy podkrążone, smutne, lecz uśmiecha się zalotnie. "Masz parę dolarów? - pyta - Tu, za murem jest trawnik..." Dałem jej kilka dolarów. Spojrzenia hippisów stały się mniej natarczywe. "Co ty tu robisz?" - zapytałem. Odpowiedziała mi, że wracają z Katmandu. Że żebrzą po drodze, by mieć na podróż, na utrzymanie. Żebrzą? Wiedziałem, że te bandy prostytuują swe dziewczyny i kradną, i że to stanowi większość ich dochodów. "Chodź ze mną - powiedziałem. Pieniądzy dla nich ci nie dam, ale bilet do Europy zapłacę". Dziewczyna, jak się później dowiedziałem - siedemnastoletnia Holenderka, spojrzała na mnie z zainteresowaniem. "Dobrze", powiedziała po chwili zastanowienia. Grupa hippisów czegoś się domyśliła. Przerwali brzdąkanie w struny i ruszyli w naszą stronę. Odcinali mi drogę, od bulwaru, od ruchu ulicznego. Szli zwartą grupą. Tylko jeden miał w rękach gitarę. Inni mieli noże... Dziewczyna zbladła i zaczęła płakać. Ja poczułem nagły odpływ odwagi. "Hey, boys" - krzyknął ktoś za plecami hippisów. Odwrócili się. Za nimi stał ogromny René. A obok Georges z pistoletem w ręku uśmiechał się życzliwie. Noże znikły w kieszeniach. Hippisi spokojnieli i spuściwszy głowy, ulotnili się chyłkiem. I tylko później, z bezpiecznej już odległości obrzucili dziewczynę stekiem potwornych wyzwisk. Złożyliśmy się we trzech na zakup kiecek dla zbłąkanej owieczki, na jej nocleg w hotelu i bilet lotniczy. Córka lekarza z Amsterdamu. Gdy uciekła z domu, miała zaledwie lat piętnaście. Dwa lata poza domem dostarczyły jej materiału do obszernej - gdyby ją chciała napisać - powieści, i to do powieści, której byle komu nie można by dać w ręce. Co ona przeżyła! Mały wycinek zasłyszany z jej ust wystarczył, by nas, starych wygów ogarnęła groza i litość. Wynędziała. Na ramionach ślady ukłuć. W oczach rozpacz.

Znacznie później otrzymałem od jej ojca list. Wylizala się z narkomanii. Podjęła studia. Nie zobaczyłem jej nigdy. Wątpię, by sprawiło jej przyjemność spotkanie z człowiekiem, który poznał ją wówczas, gdy była sprzedawana w Stambule...

Na tym kończę dygresję, której celem było wykazanie, że na Georges'ie można było polegać w każdej okoliczności. Wracamy do Jemenu.

Słaby wiatr podrywał piasek do wirowanego tańca i po paru niesłyszalnych taktach rzucał go tu, by podjąć gdzie indziej. Na pustyni, hen, aż po horyzont, kłębiły się i osiadały tumany piachu, zwiększając nasze bezpieczeństwo. Bo przed chwilą jeszcze widać było nasze ślady zmierzające w stronę skał, lecz nie było śladów prowadzących dalej: nieomylna wskazówka dla sowieckich pilotów, że jeszcze tu tkwimy, że warto skałki zmienić w wulkan ziejący ogniem. Teraz balet widmowych tancerzy zdeptał nasze ślady, piasek zbudował na nich fale i odtworzył na powrót wrażenia bezkresnego morza, z którego skały sterczały jak wyspa. Nie rozpaliliśmy ognia, czailiśmy się w skałach tak by z lotu ptaka, czy z lotu miga, wyspa ta uchodziła za bezludną. I dopiero nazajutrz nasza kawalkada rozhuczała się znów w pustyni i znów każde koło ryło w piachu węzowaty ślad. Trwający sześć godzin skok i znaleźliśmy się w długim wąwozie /ładi/, wcinającym się głęboko w pasmo starych gór jemeńskiego masywu. Góry rosły stromymi ścianami wzdłuż ładi. Jeszcze kilka kilometrów po wybojach i kamieniach i dno wąwozu stawało się coraz bardziej wilgotne. Pierwsze skrawki zieleni od czasu, gdy opuściłem oazę Nadżranu. Jeszcze kilka kilometrów i na dnie ładi pojawiła się rosnąca strużka wody. Trawa przeradzała się w krzaki. Z głębi wąwozu słyszymy monotonnie wybijany rytm. Za zakrętem snuje się dym. Zbliżamy się do K'hownah.

Wysokie zbocza krętego ładi stają się coraz bardziej strome. W niektórych miejscach woda wyźłobiła brzegi tak bardzo, że ogromne skały niby gigantyczne balkony zwisają nad wąwozem. Wygląda to majestatycznie i groźnie. Te zaułki wąwozu stanowią doskonałe schrony przed lotnictwem. Naddźwiękowe samoloty przelatują zbyt szybko nad szczeliną wąwozu, by stanowić rzeczywiste zagrożenie, przez cały czas pobytu w Jemenie uważałem za szczęście, że Sowieci nie sprowadzili tutaj kilku starych, powolnych bombowców z drugiej wojny światowej. Helikoptery bojowe stanowiły wtedy jeszcze amerykańskie novum: o ileż Jemeńczykom było łatwiej niż dziś Afgańczykom: migi 21 i 23 nie nadawały się zupełnie do atakowania pozycji w górach.

K'hownah leży w jednym z takich właśnie załomów ładi, nad którym zwisa potężny skalny okap. Było tu zupełnie bezpiecznie. Bardziej targowisko niż osada. Lepianki, szalasy i budy handlarzy zaopatrujących karawany szykujące się do przebycia pustyni. Parę bud-restauracji raczących gotowaną baraniną tych, którzy zdążając w przeciwnym kierunku, pustynię mieli już za sobą. Wielbłądy, osły i ciężarówki. Beduini i Jemeńczycy: główna arteria zaopatrzenia Jemenu biegła tędy. Ruch, gwar. Porykiwanie wielbłądów. Beduini na swych dywanikach modlitewnych odprawiali modły. Przeciągłe melopeje mieszały się z ogólnym gwarem. Dychawiczny dieslowski silnik generatora elektrycznego krztusił się własnym dymem. W cieniu skał dookoła ogniska rozsiedli się Jemeńczycy.

Jemeńczyków poznałem już w Arabii Saudyjskiej, ale tam byli uchodźcami zdanymi na łaskę gospodarzy. Rozbrojeni, nędzni, smutni. Tutaj byli u siebie: krzywe dzambie /kindżały/ za pasem i broń palna. Trafiliśmy na "ghaat party". Ghaat to namiętność Jemenu i Etiopii, Jeszcze jedno ogniwo łączące narody dawnego królestwa Saby. Ghaat jest tym dla Jemeńczyków, czym kawa dla Turka, czym wino dla Francuza. W Arabii - surowo zabroniony: musiało go piekielnie brakować. jemeńskim zbójcom. Tu go nie brakowało. W całym Jemenie można spotkać plantacje. Niskie drzewka o delikatnym listowiu stanowią w niektórych okolicach jedyną zieloność. Okrągły rok właściciele sadów ghaatu obcinają młode cienkie gałązki o bujnym listowiu i sprzedają w wiązkach za drogie pieniądze. Największą przyjemnością Jemeńczyka jest usiąść z taką wiązką w

zaczynnym kącie i godzinami żuć liście ghaatu. A jeszcze lepiej, gdy można zrobić to w licznych gronie przyjaciół. Wówczas wszyscy siedzą dookoła wysokiej sterty gałązek i obżerają te gałązki z liści. Jako że jemeński *savoir vivre* zabrania wypluwać przeżutą zieleń w towarzystwie, więc od czasu do czasu któryś z biesiadników wstaje, oddala się od grupy i wypluwa nagromadzoną w ustach zieloną miazgę. Dzieje się to stosunkowo rzadko: wytrawni przeżuwacze upychają językiem zużytą zieleninę w jednym z policzków i żują dalej. Po chwili każdy wygląda jakby go bolały zęby. Jeszcze trochę i opuchlizna staje się obustronna. Dopiero gdy rozdęte do granic możliwości policzki nie mogą już pomieścić ani krzty - Jemeńczyk z żalem opuszcza towarzystwo i po chwili wraca z lekko obwisłymi policzkami, gotów do dalszej orgii. Trwa to godzinami, a jeśli towarzystwo jest zamożne - to całą noc. Ghaat ma właściwości podobne do kawy: usuwa zmęczenie i nie pozwala spać. I coś więcej - powoduje gadatliwość. Jemeńczycy nazywają ghaat "długim językiem". I to nie dlatego, że język ma ciężką rolę - upychanie przeżutych resztek w zakamarkach policzków. Inne nazwy ghaatu mówią same za siebie: "ojciec plotki" i "przyjaciel gwiazd". Z wojskowego punktu widzenia używanie ghaatu było korzystne - wojownicy zaopatrzeni w ghaat nie spali na pozycjach. Ale był on też szkodliwy: uspokajał i odbierał agresywność. W ogóle Wyznawcy Proroka są lepsi w obronie niż w ofensywie. Fatalizm islamu: gdy bronisz swej pozycji, stanie się co jest zapisane. Incz Allah. Czy się narażasz, czy się kryjesz - gdy ci jest pisana śmierć, nie unikniesz jej nigdy. Odwaga nic nie kosztuje, a zapewnia podziw i chwałę. Natomiast gorzej w ofensywie. Tu już nie Allah decyduje o porze i celu ataku. Toteż najlepiej nie decydować się w ogóle na atak... Tak więc religia i "ojciec plotki" profilowały wspólnie postawę jemeńskich wojowników po obu walczących stronach.

René zarządził dwudniowy postój. Czekaliśmy na przewodników, którzy mieli poprowadzić nas dalej. Przegląd samochodów po przebyciu pustyni też wydawał się wskazany, zwłaszcza że mieliśmy ruszyć teraz ścieżkami górskimi, gdzie sprawność pojazdów miała znaczenie decydujące dla całej wyprawy. Popołniając wyraźne nadużycie władzy, jako zastępca kapitana D., wydałem sobie rozkaz zbadania okolicy i zapoznania się z jemeńskimi obyczajami. Podobny rozkaz wydałem Georges'owi. Złapaliśmy jednego z naszych tłumaczy. "Co tu można ciekawego zobaczyć?" Tłumacz zakręcił się wśród uczestników ghaat party. Od grupy oderwało się dwóch zbójów. Za półtorej gwinei obiecali nam pokazać "russian tanks" i "egyptian death soldiers". Zgodziliśmy się. Georges w dziesięć minut utargował - dla zasady - pół gwinei. Tradycji stało się zadość i ruszyliśmy w drogę wyłudziwszy pozwolenie od René. Szliśmy ostro w górę jakąś owczą ścieżką znaną tylko naszym przewodnikom. Przeszkadzały nam karabiny szturmowe. Ale musieliśmy iść uzbrojeni z dwóch powodów: pierwszy, oczywisty, to własne bezpieczeństwo w kraju ogarniętym wojną domową, gdzie trudno było ufać przygodnym znajomym. Drugi to po prostu fakt, że mężczyzna nieuzbrojony w górach Jemenu nie zasługuje na szacunek. Bez broni chodzą tu tylko ludzie niewolni.

Ścieżka pięła się stromo. Spod nóg raz po raz usuwały się kamienie, by z głośnym łoskotem, wzniesając obłoki kurzu stoczyć się na dno łąd. Wspinaliśmy się bez końca. Straciłem humor. Taki wysiłek! Ale piąłem się milcząco dalej. Wstyd zamykał usta. Nie wypadało się skarżyć. Byliśmy już tak wysoko, że K'hownah zniknął nam z oczu. Osada, nasz obóz, wielbłądy, ciężarówki - wszystko skryło się za skalnym okapem, po którym teraz wędrowaliśmy. Przedemną migają bosa stopy jednego z Jemeńczyków. Fascynowały mnie. Nie mogłem od nich oderwać wzroku. Ostre kamienie, krzemienne szpikulce - ja czułem je boleśnie przez grubą skórę specjalnych górskich butów. Jemeńczyk dreptał przede mną boso. Przeskakiwał głazy, bosymi stopami spadając na krzemienie równie ostre jak łożo fakira. I nic. Później, leżąc rannych, miałem możliwość sprawdzenia, że skóra na stopach Jemeńczyka przekracza półtora centymetra grubości. I tak pięliśmy się coraz wyżej. Gdy byłem już bliski załamania - ukazał się nam wyłom w skalnej ścianie. Zaczęliśmy schodzić do sąsiedniego łąd. Wąwóz był wąski, a jego dnem wiła się droga. Z

lotu ptaka widać było kilka kilometrów jej przebiegu aż po zanurzony w sinym półmroku załom wąwozu, gdzie ginęła nam z oczu. Między tym, dość odległym punktem a nami, w największym miejscu wąwozu, droga była przerywana ogromnym zwałiskiem głazów i kamieni. Ku temu miejscu wiedli nas przewodnicy. Po chwili znaleźliśmy się wśród skał i straciliśmy z oczu cel naszej wycieczki. Dopiero po trzech kwadransach marszu droga pojawiła się znowu, już bliska. Wyszliśmy na nią po chwili. Zakurzona, wąska, kamienista. Ruszyliśmy w kierunku kamiennego rumowiska zaobserwowanego wcześniej z góry. Rumowisko wypełniało wąwóz do kilkumetrowej wysokości. Droga nikła pod wieloma tonami kamiennego gruzu, tak jakby tu skończyła swój bieg lawina. Zaczęliśmy wspinać się na spiętrzone bloki. Spod nóg usuwały się luźne kamienie. Wciągaliśmy się nawzajem z Georges'em nie dbając o pełne źle skrywanej ironii spojrzenia naszych przewodników, którzy zgrabnie, jak górskie kozice, w kilku umiejętnych ruchach znaleźli się na górze. Uf, udało się. Jeszcze parę kroków...

Szczyt zwałiska, początkowo niechybnie wypukły, rozniesiony został na boki pracą czyichś rąk. Ktoś pousuwał skały i kamienie tworząc wklęsłości. Jedna z nich znajdowała się u naszych stóp. Na dnie coś na kształt zardzewiałej rury. Kanalizacja? Tutaj? Jemeńczycy zachęcali nas gestami byśmy weszli w zagłębienie. Nagle zrozumiałem: to lufa zasypanego kamieniami czołgu. Jest i właz. Nasi przewodnicy odchylają klapę. Zaglądamy. We wnętrzu czołgu siedzi trup w mundurze egipskich wojsk pancernych. Suchy, gorący klimat zamienił Egipcjanina w autentyczną mumię. Rysy zaostrzyły mu się, twarz jakby zmalęła. Jemeńczycy pokazują nam inne czołgi-trumny i trupy Egipcjan, którzy zmarli potworną śmiercią. Z kiepskiej angielszczyzny tłumacza wynika, że tutejsze plemię Jemeńczyków dwa lata wcześniej zagroziło Egipcjanom wstęp w swe granice sztucznie spowodowaną lawiną. Nasi przewodnicy brali udział w tej zdumiewającej bitwie górali przeciw czołgom. Kolumna czołgów szła na czele egipskiej ekspedycji pacyfikacyjnej. Dwanaście sowieckich T34 otwierało marsz. Gdy Jemeńczycy spowodowali lawinę w największym miejscu wąwozu, czołgi znalazły się pod tonami kamieni. Kamienie posypały się i na piechotę, i na samochody. Posypały się również strzały ze staroświeckich strzelb. Egipcjanie nie wytrzymali uderzenia. Pierzchli do tyłu na ocalałych pojazdach, zostawiając moc zabitych i rannych. Tych ostatnich Jemeńczycy starannie podobiali i pochowali z pierwszymi. Wszystkich, prócz tych w czołgach. Tych odgrzebano po wielu miesiącach. Po to by zabrać im ręczną broń. Zginęli straszną śmiercią: jedni, zagrzebani głębiej, umarli szybciej z braku powietrza. Inni konali długo z pragnienia w rozpalonych stalowych trumnach. Pokaleczone ręce mumii świadczyły o gorączkowych, nadludzkich wysiłkach, by wydostać się z piekielnej pułapki. Ale na włazach czołgów leżały tony kamieni. Kamieni, spod których nie wydobył się na powierzchnię nawet jęk umierających.

Wracaliśmy z Georges'em milczący. Zmęczeni długą wspinaczką. Wstrząśnięci widokiem egipskich ofiar megalomanii Nasera. Czy piekło umierania otworzyło im w nagrodę raj wojowników? Oznaczone egipskimi napisami kałasznikowy naszych przewodników przyciągały wzrok...

HONOR SZEIKA HARBA'TASZ

Łahad, t'nin, talata, harba: jeden, dwa, trzy, cztery. Rhamza - pięć. Rhamz'tasz - piętnaście. Rhamza'in - pięćdziesiąt. Rhamza'mia - pięćset. Leżę w grocie zmęczony i nie mogę zasnąć. Gryzą mnie pchły. Dusi mdły zapach gotowanej baraniny i ludzkiego potu. Czy do brudu można się przyzwyczaić? Powtarzam w myślach lekcje arabskiego. Próbuje zasnąć. Nic z tego. A więc dalej: Harba u' talata'in - trzydzieści cztery. Vier und dreizig. Arabowie jak Niemcy wymieniają dziesiątki po jednostkach: Cztery i trzydzieści. U Arabów to zrozumiałe: piszą od prawej do lewej. Ale skąd to u Niemców? Myśli kotłują się w głowie. Pchły i zaduch. Wstałem i starając się nie deptać po śpiących wyszedłem z grotu. Zimno. Zawinałem się szczelnie w koc. Usiadłem na skalnym załomie i zapaliłem papierosa. Góry w nocy, w świetle gwiazd wyglądały wręcz nierealnie, jak kiczowa teatralna dekoracja. Na niebie bezlik gwiazd. Pod nogami przepaść niknąca w mroku cienia rzucanego przez góry i w lekkiej mgiełce snującej się między skałami. Głęboko, w czerni przepastnej doliny, też gwiazdy: światełka R'hownah. Tak blisko i tak daleko. W locie ptaka może siedem, osiem kilometrów. Droga ponad sześćdziesiąt... Trzy dni potwornej jazdy, by pokonać dwukilometrową różnicę poziomu. Jesteśmy w wysokim Jemenie. Inny krajobraz, inny klimat. R'hownah mrugające do mnie światłami, to rozedrgany od ciepła wąwóz, duszny i gorący, w którym każdy podmuch wiatru wydaje się błogosławieństwem Allaha. Sarteh, to brzeg płaskowyżu jemeńskiego. Prawie trzy tysiące metrów nad poziomem morza. Noce zimne, po upalnych dniach. Tu wiatr nie jest błogosławieństwem Allaha, lecz przekleństwem seitaan'a, arabskiego diabła, od którego nasze szatany otrzymały swe imię. Trzy dni zmagania się, wysiłku, by znaleźć się tak blisko, tylko nieco wyżej. Jeszcze mam w uszach huk silników, jeszcze bolą ramiona od zmagania się z kierownicą. Pamiętna droga...

Droga z R'hownah do Sarteh to wykuta w skale wijąca się nad przepaścią serpentyna o nawierzchni z kamiennego gruzu, a miejscami tak wąska, że na zakrętach ciężarówka dały blachę boków na skałach, by nie spaść w dół. Spod kół sypały się kamienie. Ludzie, z wyjątkiem kierowców, szli pieszo. Czasem podpierali drągami chwiejące się samochody, podkładali głazy pod koła, w miejsce tych, które - wypchnięte ciężarem samochodów - toczyły się w przepaść z łoskotem, jakby chcąc nas przestrzec przed tym co nas czeka. Na dnie przepaści, jak memento, widniały zardzewiałe wraki samochodów. Prowadziłem jeepa ku zazdrości tych, którzy prowadzili ciężarówkę, a sam z zazdrością patrzyłem na tych, którzy idąc na piechotę widzieli, gdzie stawiają stopy. Kurz utrudniał widoczność, pragnienie dusiło za gardło, bolały ręce spocone i nerwowo zaciśnięte na kierownicy szarpanej uderzeniami kół o kamienie. A co by było, gdyby nadleciały mi? Odpędzałem tę myśl jak natrętną muchę. Z przodu krzyk... Kolumna zatrzymała się. Jedna z ciężarówek zawisła tylnym kołem nad przepaścią, i chwieje się niezdecydowanie: spadnie, czy nie. Już biegną ludzie z drągami; podpierają. Sypią się kamienie, spod kół samochodu i spod gołych ludzkich stóp. To Jean-Pierre, nasz radiowiec. Zmaga się z chęcią wyskoczenia z kabiny ciężarówki. Poczucie obowiązku zwycięża: błady, opanowany dodaje ostrożnie gazu. Podłożone pod koło kamienie wypryskują spod opony. Centymetr po centymetrze ciężarówka przesuwa się w bezpieczne miejsce. René zarządza postój. Cza'aj, papieros i w drogę... Metr po metrze. Ciężarówce jadącej przede mną zaczyna zjeżdżać tył. Znow drągi, podpory. Krzyki, kurz i blada twarz kierowcy Jemeńczyka. Dobia do mnie obszarpany mężczyzna i gestykulując coś głośno tłumaczy... Nie rozumiem go. Błysk pogardy w oczach typa. Tłumacz. Gdzie jest tłumacz? Ach, domyślam się wreszcie: facet chce, bym jeepem pchnął ciężarówkę, wypchnął ją z niebezpiecznego miejsca. Nie wolno się zastanawiać. Ruszam do przodu. Zderzak w zderzak. Przedni napęd, tylny napęd, blokada dyferencjału. Wypycham ciężarówkę znad przepaści. Czuję jak ziemia się usuwa spode mnie, jak kamienie pryskają spod kół. Teraz ja wiszę nad wąwozem, teraz mnie podpierają... Uf, udało się. Wyjechałem. Już Jemeńczycy zapełniają kamieniami wyrwę w drodze, tak by następni mogli przejechać. Mozolnie, z namysłem układają kamienie w taki sposób, by zaczepiały się maksymalnie o skałę. Wbijają klinowate głazy w szczeliny. Brodaty obdartus klepie mnie z uznaniem po plecach.

Uderza mnie kontrast między jego nędznym odzieniem a bogato zdobioną rękojeścią dzambii. Zwraca moją uwagę szacunek jakim obdarzają go inni...

Pojawił się tłumacz. "Kto to jest?" - pytam. "Szejk Harba'tasz!" - tłumacz wymówił to takim tonem jakby się dziwił, że tego nie wiem. Harba'tasz. "Czternaście." Cóż to za dziwne nazwisko. Po wieczornym posiłku tłumacz zachęcony wiązką gałązek ghaat'u nie dał się długo prosić...

Zaraz po drugiej wojnie w Adenie, ówczesnym brytyjskim protektoracie, zaczęło się wrzenie "rewolucyjne". Jako że miasta trzymane były silną ręką Brytyjczyków, prokomunistyczne bandy terrorystów kryły się w górach pogranicza z Jemenem i żyły z rozboju. Jedna z takich band wkroczyła do Jemenu i korzystając z nieobecności mężczyzn ograbiła wieś, gwałcąc kobiety, mordując starców i dzieci. Pozbawiony genitaliów trup starego szejka wbity na pal przed wioską obżerały sępy. Było to pod koniec wypasu baranów na górskich halach. Gdy po sezonie mężczyźni wrócili do swej wioski, nieliczne ocalałe kobiety opowiedziały im co zaszło. Posłano gońca do Mekki, gdzie przebywał w szkole duchownej najstarszy wnuk zamordowanego szejka. Jossip ben Said wrócił w rodzinne strony z najbliższą karawaną. Jego ojciec, syn szejka, już nie żył. Jossip sprzedał wszystkie swe posiadłości i zdał władzę bratu. Sam poszedł do Adenu. Pod przybranym nazwiskiem dostał się w kręgi "rewolucjonistów". Od masakry w jego wsi upłynął już ponad rok. Ale wysłuchując opowieści przy ogniskach i umiejętnie stawiając pytania dowiedział się, kto brał udział w wyprawie na jego wieś. Banda ta rozpiezchła się w międzyczasie, a jej członkowie bądź dostali się w inne okolice, bądź - wysłani przez "rewolucyjny" ruch - studiowali w Moskwie czy Pradze. Jossip zdobył nazwiska. Upływał czas. Jossip krążył po kraju. Nie spieszył się.

Wśród "rewolucjonistów" zapanowała dziwna epidemia: od czasu do czasu ktoś umierał z gardłem poderżniętym dzambią. Po latach wracali z Moskwy i Pragi "dostojnicy", by objąć przywództwo poszczególnych obwodów. W niedługim czasie zjawiał się w ich otoczeniu ponury góral z czarną brodą. Wkrótce potem znajdowano ich trupy pozbawione genitaliów i ze straszliwą raną na szyi. I tak mijały lata. Wreszcie zginęli wszyscy, którzy przed laty wzięli udział w napadzie na wioskę Jossipa. Było ich czternastu. Jossip nigdy nie wrócił do siebie, do wsi którą odbudował jego młodszy brat. Dwanaście lat poszukiwania zemsty wyczerpało jego zasoby finansowe. Z dawnego bogactwa została mu tylko dzambia. Czy trzeba dodawać, że gdy Naser rozpętał rewolucyjną hecę w Jemenie to szejek Jossip "Harba'tasz" ben Said dobrze wiedział, po której stronie się opowiedzieć? Wkrótce znany był po obu stronach frontu. Mój tłumacz patrzył nań ze strachem i z podziwem. Ja pamiętam melancholię kryjącą się na dnie czarnych oczu szejka. "Harba'tasz", "Czternaście". Dobrze, że nie był moim wrogiem.

Od strony gór powiało zimnem. Mimo, że byłem owinięty w ciepły koc - wstrząsnął mną dreszcz. Do groty wracać nie chciałem. Wstałem, przeciągnąłem się by rozprostować kości i ruszyłem w stronę ogniska Jemeńczyków. Pili herbatę. "Łahad findżan u cza'aj ment'fatlek" - powiedziałem. "Poproszę o filiżankę herbaty". "Findżan" - toż to źródłosłów naszej "filiżanki", pomyślałem z dziwnym wzruszeniem. Jemeńczycy gościnnie zrobili mi miejsce przy ognisku i wkrótce piłem nektar: gorącą herbatę. Bezskutecznie próbowałem zrozumieć treść rozmowy moich gospodarzy. A mówili dużo i z przejęciem. Ogarnęła mnie senność. Pchły albo zasnęły, albo zmieniły żywiciela. Gorąca herbata spłukała z ust tłusty smak baraniny, którą jadłem na kolację. Było mi dobrze.

Blady z zimna poranek szybko nabierał rumieńców od wschodzącego słońca, w którego blasku nagie góry mieniły się przedziwnymi kolorami. Wielbłądy obżerały zakurzone liście z karłowatych, kolczastych krzaków. Ładi R'hownah niknęła pod lekką pierzynką mgły: tam w wąwozie promienie słońca nie zrobiły jeszcze pobudki. Tu już Jemeńczycy odprawiali swe poranne modły. Z groty wychodzili zaspani koledzy, drapiąc się namiętnie. "Nie tylko ja złapałem pchły" - pomyślałem ze złośliwą satysfakcją. Po chwili - radosne ablucje w lodowatej wodzie górskiego strumyka, gorąca herbata i r'hobs, zastępujący chleb, arabski placek. Podpłomyk z niefermentowanego ciasta. Nie kroi się go, lecz łamie. Takim to chlebem przed dwoma tysiącami lat łamał się Chrystus z Apostołami...

Słoneczny, upalny dzień. W cieniu chłód. W grocie zaduch Oporządzamy broń i samochody. Ostatni etap: pięćdziesięciokilometrowa trasa bezdrożem wśród gór. Dalej płaskowyz już jest w rękach nieprzyjaciela i tylko pasma gór sterczące wokół są wierne imamowi. Odtąd będziemy szli pieszo. Nocami. Samochody wrócą do Nadżran. Nasze uzbrojenie, sprzęt i amunicja zostaną w grotach pod opieką Jemeńczyków. Będą nam dostarczane - w miarę potrzeb - wielbłądzimi karawanami także nocą, omijając samochodowe i pancerne patrole wroga.

Ze skrzyni amunicji, którą wiozę na mym jeepie - wystaje gwóźdź. Podnoszę kamień, by go wbić. Pod kamieniem wije się przestraszony skorpion. Walę w niego z całej siły kamieniem. Co za kraj! Wszystko tu kłujące. Kłujące stopy krzemienie. Kłujące w nocy pchły. Kłujące gałęzie krzaków i pozornie dobroduszone, a najeżone kłującymi kolcami kaktusy. A w każdej dziurze skorpion. Nocami polują na owady i chowają się pod kamienie z pierwszym promieniem słońca. Są ich dwa rodzaje. Czarne, silne, wielkości raka, i mniejsze o połowę, brunatne. Wbrew pozorom - dla człowieka właśnie te drugie są bardziej niebezpieczne: wchodzą do szałasów i namiotów, a ich jad jest mocniejszy. Rano trzeba dobrze wytrząsnąć buty, by się upewnić, że nie siedzą w nich skorpiony poszukujące o świcie dziennej kryjówki. Liczne tutaj skalne żmije też potrafią ukłuć. A nade wszystko, kłujące w oczy przeraźliwym blaskiem górskie słońce...

Pędzimy. Kurz i huk silników. Płaska równina rozciągająca się przed nami, to Jemen wysoki. Dwa do trzech tysięcy metrów nad poziomem morza. Pasma gór wznoszą się jeszcze o tysiąc, półtora tysiąca metrów. Raz rozbiegają się po horyzont, a raz zbliżają się tak, że równina, którą jedziemy, staje się wąwozem. Góry są strome i płaskie. Krajobraz przypomina Colorado. Zza skał, na szczytach gór, od czasu do czasu wznosi się strużka dymu. Za chwilę z wrzaskiem wypadną Indianie na koniach. Nie. To przecież Jemen. A dym na szczytach to ogniska, przy których czuwają obrońcy tych gór i leżących za nimi wąwozów. Góry są szare, jak szare jest tu wszystko. Ale czasem zadziwić potrafią warstwami kolorów od żółtego po czerwień. Wówczas i droga staje się czerwona i kurz, który wdychamy i który osiada na spoconych twarzach. I po chwili sami wyglądamy jak Indianie. Gdzie dolina jest szeroka - pędzimy obok siebie - jak niegdyś na pustyni. Gdzie zwęża się - chcąc nie chcąc - musimy jechać gęsiego, kurząc sobie wzajemnie w oczy. Osmalone, czarne szkielety spalonych samochodów przypominają nam, że na takich jak my, sowieckie migi urządzają tu częste i owocne polowania. Toteż śpieszymy się torturując amortyzatory naszych samochodów i własne kręgosłupy. Byle znaleźć się wreszcie na miejscu. Kierujemy się ku pasmu gór R'zah, kryjących się za kurtyną rozedrganego w słońcu powietrza i majających na horyzoncie w sinym pomroku.

To pasmo gór stanowiło tymczasową granicę terytoriów uznających władzę imama. Dalej - to już terytoria pod władzą czerwonych. Przynajmniej jeśli chodzi o miasta i wioski położone na równinie. Bowiem góry wszędzie pozostały wierne imamowi, a jego zwolennicy bronili się nawet

w pasmach sterczących tuż nad samą stolicą. Sanaah - to był nasz ostateczny cel. Na zamykającym horyzont paśmie gór R'zah kończyła się podróż samochodem. Dalej już pieszo, nocami, prowadzeni przez zaufanych przewodników, mieliśmy się przekraść - poprzez kontrolowaną przez czerwonych równinę - w inne góry, w sam środek krainy dzierżonej przez wroga. Ale to później. Na razie w kurzu i huku silników pędzimy równiną, bojąc się tylko nagłego pojawienia się samolotów. Jakoś jednak kismeth czyli święta księga przeznaczeń, nie przewidziała migów na ten dzień i bezpiecznie pokonywaliśmy przestrzeń nie mając czasu na podziwianie widoków.

R'zah. Góry obłądne. Stromo wznoszący się mur. Wyraźnie zaznaczone warstwy geologiczne o kolorach jak z obrazów Van Gogha: żółte jak dojrzałe zboże, zielone jak lasy, których tu nie ma. Allah, tworząc je, rywalizował z impresjonistą w szaleństwie: góry dzikie, posępne, groźne i wspaniałe. Zbliżamy się. Droga staje się coraz trudniejsza, zavalona złomowiskami skał. Trzeba skupić uwagę, lawirować... Wjeżdżamy w ładi wrzynające się między zbocza gór. Po prawej stronie ściana górską podmyta przez el łeb zwisa nad głowami. Jedziemy jakby tunelem, któremu brak jest lewej ściany. Z prawej żółta, później purpurowa skała zdaje się nas przygniatać. W ścianie głęboka jama, z której snuje się dym. To wojownicy emira Ahmeda gotują baraninę: mdły zapach przedziera się przez kurz i swąd spalin. Jesteśmy na miejscu. Już czoło kolumny staje. Zwisający nad nami okap z tysięcy ton kolorowych skał skutecznie chroni nas przed nalotami.

Monotonny stukot silnika dieslowskiego poruszającego generator, żarówki w grotach: jemeński człowiek jaskiniowy zna elektryczność! Emir Ahmed, bratanek imama i młodszy brat Mohameda, następcy tronu i głównodowodzącego rojalistów, nie przypadkiem obrał na siedzibę góry R'zah. Od strony nieprzyjaciela oddzielał go górski próg tak stromy, że tylko doświadczeni alpinisci zdołaliby go zdobyć. Nieliczne ładi, wąskie i zavalone kamieniami, były łatwe do upilnowania: kilku żołnierzy z karabinem maszynowym i bronią przeciwpancerną wystarczało w zupełności do ich obrony. Obszar na południe od R'zah był w rękach rojalistów. Na północ teren nieprzyjacielski z archipelagiem wysp oporu. Rolą emira było zasilanie tych ośrodków w broń i instruktorów. Stąd, z R'zah, szły nocą piesze kolumny partyzantów imama. Stąd wyruszały wielbłądzie karawany, które w jukach ukrytych pod stosem towarów przemycały broń i pieniądze. Emir Ahmed, wychowanek brytyjskiej szkoły wojskowej, znał świetnie język angielski. Oczytany, o dużej kulturze, zwiedził całą Europę Zachodnią podczas swych studenckich lat. Teraz w otoczeniu swej świty, podejmował nas powitalną herbatą, na wpół leżąc na miękkich poduchach w wyścielonej bogatymi kobiercami grocie. W mroku groty - ledwie częściowo rozproszonym żółtym światłem słabych żarówek, rozwieszonych w załomach skał - skrzyła się blaskiem drogich kamieni rękojeść książęcej dzambii i błyszcząły złote zęby w gębie jego "prawej ręki", wysokiego draba imieniem Szamir. Traciłem poczucie rzeczywistości. Widok był niezwykle. Gdyby tych kilka lejących mdłe światło żarówek zastąpić pochodniami i gdyby nie nowoczesna broń walająca się po kątach groty, zdawać by się mogło, że jesteśmy przeniesieni do krainy bajek z tysiąca i jednej nocy i że znajdujemy się w melinie Ali Baby i czterdziestu rozbójników. Obserwowałem otoczenie emira. Byli tam szejkwowie plemion wiernych imamowi i szejkwowie, którzy przyszli zaofiarować wierność swych plemion w zamian za przywileje lub złoto, którego skrzynia stała za plecami księcia. Byli tu strojni doradcy i obdarci górale. Tłuści dostojnicy i chudzi, zżarci słońcem i tułaczka, wojownicy. Wszyscy siedzieli na kobiercach ze stopami podwinętymi pod siebie. Emir Ahmed królował pośrodku. Po ceremonii powitalnej i herbacie książę wyznaczył nam osobną grootę, przydzielił kilku ludzi i wydał kwit na świeżą żywność: chleb i baraninę. Przed opuszczeniem przez nas groty zaprosił nas na kolację. Wydawał się zachwycony naszą obecnością.

Nasz tłumacz, Ahmed ben Said /niech mu Allah da siedmiu synów!/, uczył nas jak się odbywa uczta u emira i jak się należy na niej zachować. Ogarnęło mnie przerażenie. Patrząc na

twarze kolegów widziałem, że i im nie jest różnie. Uczta taka przebiega w sposób następujący: służba wnosi posiłki na tacach i stawia je na kobiercu, dookoła którego na wpół leżą biesiadnicy. Leży się na lewym biodrze i podiera się lewym łokciem. Nogi muszą być tak podwinięte za siebie, by nie było widać stóp. Je się prawą ręką bez użycia sztućców, ze wspólnej misy. Mięsa, rozgotowanej baraniny, nie kroi się, lecz wrywa palcami kęsy. Kawałki r'hopsu, czyli placka zastępującego chleb, urywa się palcami prawej tylko ręki przytrzymując placek przegubem. Lewej ręki nie używa się zupełnie. Chleb macza się we wspólnej misie z sosem. Uprzejmość nakazuje pierwszy taki zamoczony już kawałek podać sąsiadowi. Książę, gdy chce kogoś zaszczyścić, "odejmuje sobie strawę od ust": wrywa większy kawałek baraniny, odgryza część i resztę podaje wyróżnionemu gościowi. Służba krąży z miseczką wody, w której biesiadnicy płuczą sobie kolejno palce. Wody tej nie zmienia się w ciągu całej uczy. Do tego należy dodać, że Jemeńczycy nie myją się nigdy i że ręce mają straszliwie brudne. A w dodatku, z właściwą dumnym góralom wrażliwością, są niezmiernie czuli na każdy gest i obrażają się łatwo. Toteż bez trudu można sobie wyobrazić, w jakim stanie ducha szliśmy na ową naszą pierwszą jemeńską ucztę.

Do wszystkiego można się przyzwyczać. W ciągu mego dwuipółletniego pobytu w Jemenie przestałem zważać na stare, europejskie uprzedzenia. Ileż to razy będąc gościem Jemeńczyków zdążyło mi się jeść z gospodarzami palcami ze wspólnej misy gotowaną baraninę, popijając ją gorącym, piekielnie ostrym sosem z glinianego garnuszka przechodzącego z ust do ust. Ileż razy piłem z nimi herbatę z findżan niemytych od pokoleń. Ileż to razy wreszcie po skończeniu posiłku paliłem wspólnie wodną fajkę narghil, której ustnik podawany kolejno, krążył wśród biesiadników. Z uczy w grocie emira Ahmeda pamiętam tylko zapach miętowego sosu, który z uporem wysyłał mnie do Rygi, oraz głęboką wdzięczność do gospodarza, że dla nas sobie nie "odejmował od ust". Dużo bardziej utkwiała mi w pamięci moja druga jemeńska uczta.

Była to trzecia doba naszej wędrówki przez terytorium wroga. Szliśmy nocami. W dzień kryliśmy się bądź w skalnych załomach na bezludziu, bądź we wioskach, w domach zwolenników imama, w tajemnicy przed sąsiadami. Obciążeni bronią i plecakami ślanialiśmy się o świcie ze zmęczenia, po przejściu 45 czy 50 kilometrów w rozrzedzonym górskim powietrzu. Na szczęście noce były chłodne. Drugiej nocy zasłabłem tak, że ku memu wielkiemu wstydu koleżdy musieli na ostatnim odcinku nieść mój plecak. Ale dzień wypoczynku w jakiejś grocie wystarczył, bym odzyskał siły i wiarę w siebie.

Trzeciego dnia świt zastał nas we wiosce, o znajomo brzmiącej dla Polaków nazwie: Kura. Mieliśmy tu spędzić dzień u szefa wioski, w tajemnicy przed innymi mieszkańcami. Wioska była śliczna w blaskach wschodzącego słońca: jej domy były przyklejone do zbocza góry, jak jaskółcze gniazda do okapu mazowieckiej chaty. Najokazalszy dom należał do tłustego szejka Saida. Dom był obszerny i panował w nim miły chłód. Szejk zaprowadził nas krętymi schodami do obszernej izby o maleńkich oknach. Tu, na dywanach i poduszkach, wypiliśmy herbatę, zapadliśmy w głęboki sen, z którego obudził nas warkot silników. Ostrożnie wyglądając przez okna obserwowaliśmy zmotoryzowany patrol, który wjeżdżał do wsi wzniesioną obłoki kurzu. Po raz pierwszy widzieliśmy wroga. Dwudziestu zbrojnych, umundurowanych dżimuri wyłaziło z uzbrojonych w karabiny maszynowe samochodów na placyku przed chatą... Czyżby coś wiedzieli o nas? W takim wypadku nasza sytuacja byłaby beznadziejna. Było nas tylko sześciu, gdyż na ową pieszą wędrówkę przez terytorium wroga rozbiliśmy się na dwie grupy. Moją dowodził René, a drugą prowadził osobiście pułkownik Martin, który do nas dołączył w R'zah. Byliśmy niejako w pułapce - z domu szejka było tylko jedno wyjście: na placyk, na którym zatrzymał się patrol. Mieliśmy ręczną broń i kilka granatów. Mogliśmy wybić do nogi tych dwudziestu dżimuri na placyku, ale

wiedzieliśmy, że zaledwie o kilometr od wioski znajdują się duże koszary wroga, którego zmotoryzowane jednostki nie potrzebowałyby pięciu minut, by nas otoczyć. Zaczęło nam się robić zimno, gdy zobaczyliśmy, iż dżimuri przeszukują starannie dom po domu, poczynawszy od skraju wsi. Z domów powychodzili mieszkańcy mieszkając się między mundurowych. Zaczął się handel wymienny: ghaat za papierosy, świeża baranina za konserwy. Już teraz nie mogliśmy użyć granatów ani otworzyć ognia na placyk: zbyt dużo znajdowało się na nim cywilów i zbyt byli przemieszani z wojskiem. Nasz gospodarz przewinął się przez tłum i zniknął nam z oczu. Grupka przeprowadzająca rewizję weszła już do trzeciego domu z rzędu. Nasz był piąty. Szykowaliśmy się do walki wewnątrz domu: mowy nie było, byśmy oddali się żywcom. Tu konwencja genewska nie obowiązywała. Napięcie rosło. Rewidujący wyszli z domu kierując się w naszą stronę. Nagle na ulicy i na placyku powstało zamieszanie. W rękach handlujących cywilów pojawiły się dżambie. Dżimuri padali jeden po drugim pod ciosami ostrych sztyletów. Trwało to krótką chwilę i dwadzieścia trupów wałało się w kurzu. Przez placyk biegł zadyszany tłusty szejek Said przebijając śmiesznie krótkimi nogami. Wołał do nas głośno: "Fissa! fissa! Lazem yalla!" /Szybko, szybko, trzeba uciekać /. Nie było czasu na zastanawianie się. Zbiegliśmy gęsiego po kręconych schodach. Cywile już zniknęli. Przeskakując trupy, z bronią w ręku biegliśmy co tchu za naszym przewodnikiem. Byle dalej, byle w góry...

Szejek Said zaciskał kurczowo rękę na kolbie kałasznikowa. Równie kurczowo zaciskał usta okolone siwym zarostem. Oczy szejka wpatrywały się ponuro w płonąca w dole wieś. Kura płonąca podpalona rękami dżimuri. Mieszkańcy opuścili Kurę wraz z nami, uciekając przed zemstą. Uciekli w góry, by pomnożyć szeregi partyzantów. Szejek Said już nie wyglądał śmiesznie. Był groźny, gdy tak tkwił wpatrzony w płomienie. Czy to odblask pożaru wzniecał iskry w jego oczach, czy gniew?

I znów szliśmy wśród gór, na które padał blask gwiazd. Za nami została spalona wieś Kura, w której otarliśmy się o śmierć. Dopiero gdy znaleźliśmy się w bezpiecznym miejscu, dowiedzieliśmy się co zaszło. Szejek Said, widząc patrol dżimuri domyślił się, że wróg coś wie. Czując się za nas odpowiedzialny - pobiął szukać ratunku. Wiedział, że w pobliżu ukrywa się maleńki oddział partyzancki. Szefowi oddziału opowiedział o tym, co zaszło we wiosce. Partyzanci, zostawiwszy broń palną, uzbrojeni jedynie w dżambie przekradli się do wsi. Tu, wmieszawszy się w ludność cywilną uprzedzoną przez szejka Saida, na dany przez ich szefa znak zaatakowali przeciwników znienacka: każdy zadźgał swego. W górach, w grocie, wódz partyzantów podjął nas posiłkiem, gdy zdyszani i oszołomieni wydarzeniami dotarliśmy na miejsce. Wódz posadził po swej prawej ręce René, a po lewej szejka Saida. Gościł nas serdecznie, choć ciągle był ponury. Wódz nazywał się HARBA'TASZ. Naraził swe życie i życie swych podwładnych by nas ocalić od niechybnej śmierci, nas, psów niewiernych, zwykłych nasrani. Bo byliśmy gośćmi jego księcia. Said wołał dać spalić wioskę, niż dopuścić do śmierci ludzi, którzy mu zaufali. Jadłem kolację u szejka Harba'tasz. Ze wspólnej miski. Rękami. Jemeńczycy jedli z nami. Ale już nie widziałem brudu na ich rękach. Ręce przyjaciół są czyste!

Szliśmy w ciemną noc. Nad nami roziskrzone niebo, jak rozpostarta księga przeznaczeń. Kismeth.

CZERWONA DŻUMA ZABIJA W JEMENIE

Nad doliną krążył orzeł. Raz był małą kropką ginącą w oddali w blasku zachodzącego słońca, to znów zbliżał się tak, że mogłem odróżnić poszczególne lotki jego szeroko rozpostartych skrzydeł, którymi poruszał z rzadka, jakby od niechcienia. Wykorzystywał prądy ciepłego powietrza płynące z nagrzanego kotłiny ku chłodnemu niebu, które już ciemniało w zmierzchu. Pozwalał się znosić wiatrom panującym tam w górze, nastawiając żagle swych skrzydeł, by nagle, zniemacka ocknąć się i kilkoma potężnymi ruchami zmienić kierunek i odzyskać utraconą wysokość. Było mi dobrze, sennie, leniwo. Bolały od całodziennego wysiłku wszystkie mięśnie.. Miałem przed sobą osiem godzin odpoczynku. Byłem dziwnie szczęśliwy. Te góry przed nami dzikie, poszarpane, kryjące moje jutro pełne przygód, i ta dolina poniżej, gdzie zostawiłem moje zmęczone dzisiaj, a która ziała teraz ciepłem uciulanym skrzętnie w ciągu słonecznego dnia... I ten orzeł, który w mętniejących ze zmęczenia myślach wywoływał jakieś skojarzenia: "Orla twych lotów potęga...", "Ptak ptakowi nie dorówna, nie polezie orzeł w gówna...". Orzeł... korona, którą mu zabrali, a która przecież mu się należy za sam majestat lotu...

Ogarnął mnie zasłużony całodzienny wspinaczką sen. Przez równiny - znajdujące się pod kontrolą wroga - przechodziliśmy chyłkiem, wędrując nocami. Lecz pasma górskie były w większości w rękach sojuszników - wiernych imamowi - plemion. Toteż góry przebywaliśmy w dzień. Niebezpieczeństwo grożące nam od migów było mniejszym złem, niż wędrowka po ciemku, nad przepaściami, w które z hukiem spadały co chwila strącone stopą kamienie...

Wczoraj połączyliśmy się z wielbłądzą karawaną taszczącą nasz sprzęt inną trasą. Cały więc dzień szliśmy razem krok w krok. My i dromadery. Niezwykłe to zwierzęta. Georges wyraźnie sądził, że - jak mówił - "Pan Bóg musiał być na cyku, gdy to zwierzę stworzył". Ten, kto nazwał dromadera okrętem pustyni, nie widział go, gdy obciążony jukami wspina się górską ścieżką wiodącą nad przepaścią, gdzie każdy nieostrożny krok oznacza wypróbowanie na własnej skórze prawa ciężenia. A może ten ktoś nabawił się morskiej choroby na kołyszącym garbie dziwoląga? Bo to zwierzę jest naprawdę dziwolągiem. "Spójrz: wyraz twarzy snobistycznej ciotki" /to znowu Georges/. Oczy przymrużone, jak u czytającego gazetę astygmatyka. Zęby wystające, jak u angielskich nurse, które straszą w lasu bulońskim milionerskie dzieci. Szyja długa, wygięta, unosząca bezmyślny, a jednak zamyślony łeb na dwa metry ponad poziom miękkich poduszkowatych kopyt. Kolana łyse, zrogowaciałe od ciągłego przykłękania, jak u starej dewotki. Sierść brudnobezowa, skołtuniona, zwisająca strąkami po obu stronach mniej lub więcej wydatnego garba. Dzikie odgłosy, jakie to zwierzę potrafi wydobywać z siebie bez najmniejszego powodu, przypominają do złudzenia ryk lwa, co ze strony zwierzęcia roślino-, a właściwie badyłożernego /sądząc po jego upodobaniach/ jest co najmniej uzurpacją i zarozumiałością. Bo dromader jest zarozumiały. Może dlatego, że nigdy nie widział się w lustrze. Kroczy objuczony do granic wytrzymałości z istic królewską godnością. Wędruje nad przepaściami z miną doszczętnie znudzoną i... zupełnie nie patrzy pod stopy. Dostojeństwo błazna, komizm Don Kichota w postaci Sancho Pansy. Mina monarchy i garb dzwonnika z Notre Dame. Quasimodo zoologii. Okręt pustyni uprawiający wspinaczkę. Kozica górską o wdzięku hipopotama. A w dodatku... Nie! O obyczajach seksualnych wielbłąda nie będę opowiadał. To nie na moje pióro. To trzeba zobaczyć. Powiem tylko, że obserwując wielbłądzą sielankę dostaliśmy z Georges'em napadu śmiechu tak niepohamowanego, że tubylcy patrzyli na nas z przerażeniem, pokazując palcami na słońce i na głowę, wymownym ruchem dając wyraz przypuszczeniu, że obaj nasrani padli ofiarą udaru słonecznego.

Uff, odegrałem się za kopniaka, jakim uraczył mnie jeden z "okrętów pustyni" z powodów znanych tylko jemu samemu, zabijając rodzącą się we mnie sympatię do niego.

Tu gościnnych grot nie było. Rozbiliśmy namiot, Dwunastoosobowy namiot armii amerykańskiej, jakich tu dużo. Zamaskowaliśmy go specjalną, również amerykańską siatką, która z jednej strony udawała zieloną roślinność, a z drugiej brunatnożółte skały. Oczywiście namiot chroniliśmy od spostrzegawczości sowieckich lotników "skalistą" stroną siatki. W namiocie było ciepło. Zawieszona przy maszcie słaba żarówka oświetlała wnętrze. Było nas pięciu. W jednym skrzydle namiotu leżała sterta naszego sprzętu i broni. Naprzeciw pięć rozchylonych śpiworów zapraszało do środka. Na dworze terkotał przenośny japoński generator elektryczny, zasilający w prąd naszą żaróweczkę i radiostację przy której Jean-Pierre, nasz radiowiec, mrucał monotonie, nadając setki sześciocyfrowych liczb składających się na zaszyfrowaną depeszę. Byliśmy zmęczeni. Jeden po drugim wsuwaliśmy się w śpiwory. Jeszcze było zbyt ciepło, by je zapinać. Wiedzieliśmy, że obudzimy się z zimna w nocy. Wtedy wystarczy jednym ruchem zaciągnąć zamek błyskawiczny i spać dalej. Był to conocny rytuał. W końcu Jean-Pierre przestał wypluwać z siebie cyfry jak zepsuty komputer. Można było myśleć o zgaszeniu światła. Jeszcze ostatni papieros.. "Georges! daj camela!" Georges sięgnął ręką do plecaka, który służył mu za poduszkę i zaczął nim szarpać. Po chwili, nie znajdując papierosów, wyciągnął z plecaka garść ciuchów, jakiś ręcznik... Z ręcznika wypadł przerażony skorpion i zaczął biegać po namiocie, oślepiiony światłem. Poszły w ruch buty i kolby karabinów... Po krótkiej chwili odnieśliśmy zwycięstwo nad jadowitym wrogiem. W śmiertelnych drgawkach próbował wbić w zelówkę leżącego na nim buta ostre żądło, z którego sączyły się kropelki oleistej trucizny. Przetrzęsaliśmy wszystkie plecaki. Zajrzeliśmy w każdy kąt. Nawet na starych wiarusach spotkanie oko w oko ze skorpionem robi wrażenie!

Zasnąłem niemal natychmiast, mimo potu, który spływał po mnie w rozchylonym śpiworze. Gdy obudziłem się była już noc. Moja ręka już, już sięgała do zamka śpiwora, gdy zorientowałem się, że to nie zimno wyrwało mnie ze snu. Coś leżało mi na piersiach. Czulem rakowate łapki, czulem skorupiasty wydłużony kształt. Skorpion! - pomyślałem. Stwór, który leżał na moich piersiach poruszał się sennie, niemrawo. Tak! Nie miałem już wątpliwości. To był skorpion. Najmniejszy ruch mógł spowodować katastrofę. Jeśli się przestraszy czegokolwiek, ukłuje mnie. Wszyję! Widziałem kiedyś jak od ukłucia żądła puchnie noga. Takie spuchnięcie szyi groziłoby mi uduszeniem, nawet gdybym przeżył wywołaną jadem gorączką. Co robić? Leżeć spokojnie i czekać, aż sobie pójdzie? To byłoby dobre wyjście, gdybym był sam. Ale w namiocie było nas pięciu i którykolwiek z moich towarzyszy mógł lada chwila się obudzić i przestraszyć skorpiona.

Powoli, ostrożnie zacząłem zbliżać stopę do nogi śpiącego obok Georges'a. Kilka lekkich szturchnięć, modląc się by Georges budząc się nagle nie przestraszył gwałtownym ruchem mojego nocnego ciemicy. Ale Georges jadł chleb z niejednego już pieca. Tylko po zmianie rytmu oddechu i ledwie wyczuwalnym sprężeniu ciała poznałem, że mój przyjaciel już nie śpi. Wiedziałem, że ręka Georges'a skrada się teraz ku pistoletowi, który towarzyszył mu nawet w śpiworze. "Georges - szepnąłem ledwie poruszając wargami ze strachu - skorpion. U mnie na piersiach. Koło szyi..." Georges zaczął odsuwać się powoli ode mnie, tak że posadziłem go przez chwilę, że stchórzył. Ale nie. Wolno, ze spokojem, Georges przygotowywał się do odsieczy. Później dowiedziałem się, że po omacku odszukał latarkę i... ręcznik. Wreszcie powolutku usiadł. Wtedy wszystko potoczyło się błyskawicznie. Oślepił mnie nagły błysk latarki i poczułem, jak cios ręcznikiem zmiotł ze mnie prześladowcę. Koledzy pobudzili się. Błysnęły latarki. Zaczęło się ponowne przetrząsanie namiotu. Aż wreszcie znaleźliśmy. To nie był skorpion, lecz tutejsza stonoga⁴⁷. Stwór ten wielkości kilkunastu centymetrów, przypominał ogon langusty. Składał się z dziesiątki pokrytych skorupą członów, z których każdy posiadał dwie łapy. Wydzielał ciecz, która po pewnym czasie piekła jak pokrzywa. Wstrętne to, ale ze skorpionem nie da się porównać.

⁴⁷ Skolopendra, parecznik. Jadowity stawonóg. Ukąszenia niektórych gatunków są równie niebezpieczne jak skorpiona. Ale w moim wypadku groziło mi najwyżej bolesne swędzenie przez dwa tygodnie. W Jemenie nie ma śmiertelnych odmian skolopendra.

Koledzy pokpiwali sobie trochę z mego strachu. Georges skomentował to na swój sposób: "Obiektywnie rzecz biorąc nie stało się nic, ale subiektywnie ocaliłem ci życie. W moim subiektywnym mniemaniu należy mi się butelka whisky, jak będziemy w Europie. Wypijemy ją z całą obiektywnością". Przyznałem mu rację. Butelkę whisky, i to nie jedną, wypiliśmy kilka miesięcy później w Bejrucie, na skutek czego Georges narozrabiał tak straszliwie, że dopiero wojna palestyńska zatarła w Libanie pamięć o tym wydarzeniu. Ale to już inna historia...

Jeszcze trzy dni wysiłku. Trzy dni wspinaczek po karkołomnych ścieżkach. Trzy noce pod gwiazdami. Karawana wielbłądzia odłączyła się od nas by pójść łatwiejszą, choć mniej bezpieczną, trasą. Dobrze, że nie poszliśmy jej przykładem: trzeciego dnia wpadła na zmotoryzowany patrol komunistów i rozpierzchła się we wszystkich kierunkach. Tylko dwa objuczone wielbłądy dały się złapać żołnierzom "ludowej" armii. Reszta, oszalała ze strachu, zapominając o pozorowanym na codzień dostojeństwie, uciekła w góry. Okoliczni mieszkańcy polowali na poszczególne wielbłądy całymi tygodniami, by za wysoką nagrodę oddać nam bezcenną zawartość juków: broń, amunicję, rzeczy osobiste, a zwłaszcza rozłożone na części potężne moździerze hotchkiss-brandt, które były naszym skarbem. Przyrząd celowniczy jednego z tych moździerzy trafił na targowisko w stolicy i tam - pod nosem służb bezpieczeństwa i sowieckich doradców - został wykupiony przez wysłannika emira Ahmeda Nas ostrzelano w jakiejś śpiącej wsi, którą przechodziliśmy pod osłoną nocy. Długie serie z kałasznikowa⁴⁸ przerwały brutalnie nocną ciszę. Pociski przelatowały nam nad głowami ze świstem, rozbijały okoliczne skały. Skowyt rykoszetów mieszał się z wyciem wyrwanych ze snu psów. Ostrzeliwując się na chybił trafił uciekliśmy w opiekuńcze góry. Znow zapadła cisza. Powoli milkło ujadanie psów. I tylko mój przestrelony dwukrotnie plecak świadczył o tym, że nie był to sen.

Zbliżaliśmy się do stolicy. Sana'a dawało znać o swej bliskości luną światła rozjarzających niebo nad pasmem okolicznych gór. W górach okalających stolicę wrzała wojna: tu i ówdzie wybuchy pocisków czołgowych, którymi dżimuri hojnie okładali wrogie im góry. Gdzie indziej znów krwawe odbłaski wybuchających rakiet wystrzeliwanych z katusz⁴⁹. To sowieccy "doradcy" grali na "organach Stalina" nokturn śmierci. Zapanowało wśród nas podniecenie: wróg był blisko. Ja tę bliskość przeżywałem silniej niż moi zachodnioeuropejscy koledzy. Dla mnie to nie był zwykły wróg, z jakim miałem już do czynienia na innych frontach walki z komunizmem. Tu byli ONI. "Rękę karaj, nie ślepy miecz" - te słowa Chorału nieraz powracały do mnie gdy strzelałem do ślepych, otumanionych wykonawców, podczas gdy inspiratorzy, ci prawdziwi nosiciele czerwonej zarazy, siedzieli daleko - niedosiężni, bezkarni... Tu byli ONI. To Sowietci obsługiwali katusze, to ich piloci tropili nas w pustyni i w górach, to wreszcie ich czołgiści wyróżniali się na tle jemeńskich partaczy celnym ogniem i większą brawurą. W mało znanym kraju, w wojnie, o której mało kto słyszał, po raz pierwszy od wielu lat - znów dane było Polakowi stanąć z bronią w ręku naprzeciw Armii Czerwonej. I los chciał, żebym ja właśnie był tym Polakiem. Błogosławiony los! Koledzy dziwili się, że wsłuchiwałem się w wycie katusz z uśmiechem i że drżały mi ręce, trzymające lornetkę. "Dajcie mu spokój - powiedział im Georges - On tu ma swoje osobiste porachunki". Georges znał moje myśli: tyle razy mu się zwierzałem z moich celów wojny. Ale i on nie odczuwał mistycyzmu chwili. Nie wiedział co znaczy dusząca gardło nienawiść, w której nie wiadomo co było silniejsze: polski, antyrosyjski atawizm, czy świadomość Absolutnego Zła, w służbie którego rozłaziła się po świecie czerwona zaraza.

⁴⁸ Kałasznikow - oficjalna nazwa AK-47. Automatyczny sowiecki karabin szturmowy. Magazynek - 30 naboju. 600 strzałów na minutę. Broń niezawodna i praktyczna. Dziś wymieniany w armiach Paktu Warszawskiego na AK-74 o kalibrze zbliżonym do kalibru karabinów używanych przez wojska NATO: 5.45 mm.

⁴⁹ Katusza - sowiecka wyrzutnia rakiet na samochodzie ciężarowym. Popularną nazwę "katusza" nadali jej żołnierze Armii Czerwonej. Niemcy - z szacunkiem - nazwali ją "organami Stalina". W Jemenie sowieci używali M-13: 16 odpalanych elektrycznie rakiet o długości 1,41 m, średnicy 132 mm, wagi 42,5 kg, o zasięgu 8,5 km. Dzielili się na rozrywające i zapalające. Wśród tych ostatnich były fosforowe i napalmowe.

Czerwona zaraza zabija. Zabija ciało, gdy nie może zabić ducha. Szliśmy przez spalone wioski. Sowieci stosowali tu już wtedy ludobójcze metody, które po latach obrócili przeciwko Afganom. Ich lotnictwo atakowało bezlitośnie każde skupisko ludzkie w nie podlegającej im części kraju. Ponieważ mężczyźni na ogół znaleźli się w szeregach powstańczych - w niszczonych rakietami i bombami wioskach ginęły kobiety i dzieci. Płonęły skromne zbiory podpalone napalmem, ginęły stada bydła i baranów masakrowane z rozmysłem przez sowieckich pilotów. Ta wojna przeciw bezbronnym nie była objawem szczególnego sadyzmu czy zezwierzęcenia "doradców": były to zimne, planowane w Moskwie zasady prowadzenia wojny mające potrójny cel. Po pierwsze, wygłodzić i zastraszyć ludność. Zagrozić ogniem i zarazą. Przerazić trupim zapachem ciągnącym od pól, od makabrycznej stołówki sępów, które, spasione i ociążałe, nie nadały w spełnianiu swej roli grabarzy. Inną korzyścią, płynącą z tych barbarzyńskich metod, było sianie nienawiści. Jasne było bowiem, że górale mścili się za spalone wioski, za zabite i pokaleczone dzieci na każdym złapanym dżimuri. Mścili się nieraz okrutnie. To z kolei rodziło nienawiść i kopało przepaść między dwoma odłamami społeczeństwa jemeńskiego i miało zapobiec próbom pojednania się sowieckim kosztem: divide et impera. Po trzecie wreszcie, dymiące pogorzeliska i kalekie dzieci miały być ostrzeżeniem dla wahających się plemion: patrzcie, co czeka wasze rodziny, jeśli stawicie nam opór!

W załomach skalnych i w grotach okolicznych gór ciasno było od kryjącej się ludności. Mnóstwo rannych: odłamki artyleryjskich pocisków i zrzucone z samolotów miny nie przebiegały w ofiarach. Z dała od frontu, w bezpiecznej grocie, znajdowała się placówka Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Dla równowagi - podobna placówka działała u czerwonych w stolicy. Obie były prowadzone przez szwajcarskich lekarzy, którzy zasłaniając się tym, że mają udzielać pomocy tylko ludności cywilnej, nie zbliżali się do frontu. A donieść rannych do ich groty, pod obstrzałem w górach, było prawie niemożliwością. Toteż ranni umierali bez pomocy lekarskiej. Nie było ani lekarstw, ani opatrunków. Nic więc dziwnego, że leczenie rannych przypadło nam w udziale. W pokojowych czasach Jemeńczycy znali europejskich lekarzy, których kilku pracowało w okolicy. Dla nich każdy Europejczyk był lekarzem. Zwracali się więc ufnie o pomoc przynosząc nam dzieci, przyprowadzając kobiety. Szybko wyczerpały się zapasy naszej apteczki polowej. Czerwony Krzyż odmawiał wydawania lekarstw, choć chodziły słuchy, że za złote suwereny można było u Szwajcarów dużo kupić. Niemalże groźbą użycia broni udało mi się zdobyć u nich pokaźne ilości opatrunków, antybiotyków i środków dezynfekcyjnych. Żaden z nas nie był sanitariuszem, choć niektórzy mieli niezłą praktykę w udzielaniu pierwszej pomocy. Szyliśmy więc rany, zestawialiśmy złamane kończyny. Jemeńczycy są niesłychanie zahartowani. Duża śmiertelność dzieci gwarantuje - dzięki selekcji naturalnej - odporność tych, którzy wyżyją. Nie przyzwyczajeni do antybiotyków reagują na nie świetnie. Toteż odnosiliśmy niezłe sukcesy w walce ze śmiertelnością. Nie było to łatwe: być chirurgiem nie będąc lekarzem, stawiać diagnozę, ryzykować. Ale wszystko to było lepsze niż bezczynność. Raz przyszedł do mnie powstaniec, któremu odłamek pocisku ugrzązł w kości skroniowej tuż obok prawego oka. Rana miała już kilka dni i była silnie zaropiała. Zardzewiałe żelastwo groziło skałeczeniem gałki ocznej. Oczyszcziłem ranę i wyjąłem odłamek przy pomocy kleszczy znalezionych w narzędziach samochodowych. Wypłynęło oko. Zrobiło mi się słabo i ugięły się przede mną kolana. Odciągając krwawe powieki udało mi się wepchnąć gałkę oczną z powrotem w jamę, z której płynęła krew i łzy. Ostatnim wysiłkiem woli założyłem opatrunek i dałem zastrzyk penicyliny. Byłem przekonany, że po moim "zabiegu" Jemeńczyk straci wzrok w prawym oku. Zapaliłem papierosa i po raz pierwszy od przybycia do Jemenu zatęskniłem za szklanką whisky. Po pół roku spotkałem mego pacjenta. Nie tylko, że widział na oba oczy, ale ku mojemu zdumieniu nawet nie miał zeza! Zarówno kobiety, jak i dzieci znosiły i rany, i bolesne

niezabiegając ze stoickim spokojem i niezwykłą, wzruszającą ufnością. Patrząc z bliska na te liczne, niewinne ofiary sowieckich "naukowych" metod prowadzenia wojny z dumnym i walczącym o swą duszę narodem czuliśmy, jak wzbiera w nas zimna nienawiść. Nienawiść, którą wkrótce będziemy mogli wyładować.

O ŁOWCACH CZOŁGÓW I SOWIECKIM CUDZIE

Od tygodnia już uczyłem jemeńskich wojowników posługiwania się "nowoczesną" bronią. Broń ta była nowoczesna tylko w jemeńskim kontekście: nie były to ani samonaprowadzające się rakiety, ani sterowane radarem działa. Ale w tym kraju nawet bazooka była czymś niezwykłym. A właśnie chodziło o to, by wojownikom imama umożliwić skuteczną obronę przeciwpancerną, by mogli wreszcie stawiać skuteczny opór nie tylko w górach, lecz również bronić dolin i przełęczy.

Major Martin - pod pretekstem, że byłem kiedyś nauczycielem w gimnazjum - mianował mnie instruktorem Jemeńczyków, osładzając tę gorzką pigułkę szumnym tytułem komendanta szkoły wojskowej. Major Martin chciał, żebym z Jemeńczyków zrobił dobrych łowców czołgów. Emir Mohammed - wychowanek brytyjskiej akademii wojennej żądał bym wprowadził odrobinę dyscypliny. O ile Jemeńczycy, urodzeni wojownicy, szybko pojmowali wszystko co dotyczyło sztuki wojennej, o tyle z dyscypliną było znacznie trudniej.

Nasza "armia" miała niewielką ilość broni przeciwpancernej. Jeszcze gorzej było z amunicją. Toteż nie mogłem sobie pozwolić nawet na to, by każdy z moich uczniów choć raz wypróbował praktycznie teorię, którą starałem się przekazać za pośrednictwem tłumacza lub moim nieudolnym arabskim. Próbną strzał z bazooki czy działa bezodrzutowego przyznawałem w nagrodę tym, którzy najsprawniej obchodzili się z bronią, najlepiej pojęli teorię. Po tygodniu wyselekcjonowałem piętnastu "specjalistów". Ze względu na oszczędność amunicji egzamin mieli zdać w walce.

Wycie silnika i zgrzyt gąsienic na skalnym podłożu potężniał z każdą chwilą. Poczułem skurcz żołądka i zaczęły mi potnieć dłonie. Znałem te objawy. Nazywałem to zdenerwowaniem, nie chcąc się przyznać przed samym sobą, że jest to zwykły strach. Napięcie rosło wraz z hałasem zbliżającego się potwora. Jak zwykle w takich chwilach trzeba opanować się i nie myśleć o niczym innym, tylko o skuteczności działania. Spojrzałem na moich jemeńskich uczniów. Trzy pary oczu wpatrzone we mnie. Leżeliśmy za skalnym załomem daleko w głębi terenu wroga, na przełęczy, którą czołgi dostawały się w pobliże "naszych" gór, by je okładać lawiną pocisków. Nocna wycieczka "egzaminacyjna" miała właśnie na celu upolowanie jednego z nich. Jeśli mi się uda - moi uczniowie nabiorą wiary w skuteczność swego uzbrojenia i będą stanowić poważne zagrożenie dla wroga. Jeśli zginę nie zniszczywszy czołgu - wówczas mocno zakorzeniony strach przed czołgami wzrośnie. Mieliśmy tylko jedną bazookę i tylko jeden pocisk. I tak, w razie chybienia, nie byłoby czasu na drugi strzał. Pięć godzin marszu pod osłoną nocy. Pięć godzin wspinaczki i skradania się wśród rozrywających się pocisków wystrzeliwanych na ślepo: przeciwnik nie szczędził amunicji. Było to wczoraj. Noc spędziliśmy w załomie skalnym. Bez rezultatu. Przejechała kolumna nieprzyjaciela: trzy czołgi i ciężarówka wioząca piechotę. Nie zaatakowaliśmy: przeciwko takiej sile nie mieliśmy szans. Czekaliśmy na pojedynczy czołg. Daremnie. Przesiedzieliśmy cały dzień obserwując ruch na przełęczy. Raz jadący ciężarówką żołnierze poczęstowali ogniem nasz załom. Myślałem, że zostaliśmy wykryci. Ale był to fałszywy alarm: wracający z placówki do miasta dżimuri strzelali tak sobie: z radości, na wiwat. Doczekaliśmy się zmierzchu, a później nocy. Teraz nadjeżdżał z hukiem, łomotem i zgrzytem T-34. Pojedynczy. Opanowałem instynktowny strach. Zwyciężyła rutyna. Wsunąłem pocisk do rury bazooki, podłączyłem przewód elektryczny. Jemeńczycy, na mój rozkaz, ustawili sowiecki zdobyczny rkm. Rzecz zdawałaby się prosta: strzelić w czołg i wiać. Ale strzał, nawet celny, niekoniecznie neutralizował załogę i jej broń: działa, karabin maszynowy i miotacze granatów. Czołg wynurzył się z ciemności. Czarna, groźna sylwetka na tle ciemnogradowego nieba. Dla sowieckiej załogi /tylko Sowietci poruszali się nocą/ była to rutyna. Nikt nigdy nie zaatakował ich

na ich własnym terenie. Czarna masa żelastwa przetoczyła się przez przełęcz. Kiedy czołg przejeżdżając o pięćdziesiąt metrów od naszej kryjówki nadstawił nam flankę - dałem ognia. Rura bazooki wyrzuciła wstecz dwumetrowy płomień, który rozjaśnił najbliższą okolicę, zdradzając tym samym nasze stanowisko. W sekundę później drugi błysk: pocisk uderzył. Czołg stanął. Drgnął jeszcze i zamarł. Chwila ciszy i wybuch. Boki unieruchomionego potwora zaczęły lizać płomień. Uciekającą załogę ścięła seria z rkm wystrzelona przez moich jemeńskich towarzyszy. Trzeba było wiać w góry.

W trzy dni później z inną trójką i w innym miejscu nie udało się. Pocisk rozwalił gąsienice, ale nie zniszczył czołgu. Musieliśmy uciekać pod nawalem ognia. Zginął jeden z moich Jemeńczyków. Ja wyszedłem cało, choć posiniaczony od upadków w skałach. Po godzinie góry zajaśniały luną. Jak się dowiedzieliśmy później, czołg podpalił z własnej inicjatywy mieszkańcy pobliskiej wioski, gdy załoga opuściła go, by pójść po pomoc. Przypuszczalnie mieli uszkodzone radio. Nie wątpię, znając sowieckie zwyczaje, że owych czołgistów rozstrzelano za opuszczenie maszyny.

Trzeci czołg rozwaliłem w krótkim czasie. Później już trudno było zrobić zasadzkę. Nauczeni doświadczeniem sowieciarze przestali jeździć nocami, a w dzień poruszali się tylko pod osłoną piechoty. Jednakże moi "łowcy czołgów" rozeszli się po całym Jemenie i długo jeszcze dochodziły do mnie echa ich wyczynów. Już po niedługim czasie pancernik nigdzie nie gwarantował sowieciarzom bezkarności, do jakiej przywykli. Płacili teraz śmiercią za udział w najeździe wolnego kraju. Ja byłem dumny, że się do tego przyczyniłem. Był to dla mnie okres euforii: nareszcie ONI ginęli z ręki Polaka. Bo z właściwym sobie brakiem skromności, skuteczne działania moich uczniów uważałem za swój osobisty sukces.

Z naszej strony góra wznosiła się stromo. Od strony nieprzyjaciela wręcz pionowo. Z naszej strony można było wspiąć się z wysiłkiem na szczyt. Ze strony przeciwnej byłby to wyczyn alpinistyczny. Toteż góra była "nasza". Na jej szczycie mieliśmy placówkę obserwacyjną, która donosiła nam za pomocą walkie-talkie o wszystkich ruchach nieprzyjaciela na "jego" rozległej równinie, rozciągającej się aż po horyzont. Nasza góra pilnowała, by wróg nie wdarł się na nasze pozycje. Nieprzyjaciel "swojej" góry nie miał. Toteż ustawił naprzeciw trzy czołgi, których zadaniem było strzeżenie ujścia dwóch przełęcz, którymi po obu stronach góry mogła się wysypać nasza ofensywa. Czołgi stały dzień i noc dodając sobie otuchy strzelaniem w naszą górę z dział. Były oddalone o dwa kilometry od podnóża stoku.

René kompletnie zwariował, odkąd w jednej z grot służących jako magazyn zaopatrzeniowy odkrył amerykańskie działo bezodrzutowe kaliber 105. Dwanaście naboju do tego działa znalazł już wcześniej. Działo nie miało ani celownika, ani podstawy. Ale René uparł się, że zapoluje na czołg. Co prawda czołgi były poza zasięgiem działa, ale René chytrze zauważył, że jeśli wystrzeli ze szczytu naszej góry, to kilkusetmetrowa różnica poziomów będzie grała na naszą korzyść. Był niezwykle przekonujący, a poza tym był dowódcą. Trudno było w tych warunkach dyskutować. Zaczęliśmy żmudną wędrowkę na szczyt. Na szczęście działo i amunicję windowali pod górę jemeńscy żołnierze. Było duszne popołudnie, gdy wdrapaliśmy się na wierzchołek...

Działo zostało umocowane na trójnogu od dalmierza. Umocowana taśmą izolacyjną lorneta połowa udawała celownik. Kąt podniesienia wskazywał na zwykłym szkolnym kątomierzu pion zrobiony ze sznurka i wiszącego na nim naboju do pistoletu. Takiej łataniny nie znała żadna artyleria świata. Ale René był dumny ze swego dzieła. Jak zwykle wyznaczył mnie na obserwatora. Dał mi instrukcje: "Po strzale obserwuj miejsce wybuchu i bacz pilnie na czołgi. Gdy któryś strzeli, ty nas ostrzeżesz, a my przycupniemy za skalnym parapetem". Rzeczywiście, od strony wroga

głazy tworzyły coś w rodzaju murku prawie metrowej wysokości, za którym można było się schować. Wylazłem na najwyższą skałę, położyłem się na niej z lornetą w rękę. "Jestem gotów" - zameldowałem.

René skończył ustawianie przedziwnej konstrukcji z drutów i scotch'a. Wprowadził nabój i dał mi znać ręką. Huknęło, smuga ognia spaliła trawę na kilku metrach za działem. Po chwili wybuch. "Długi trzysta, w kierunku" - donoszę. I nagle widzę błysk z lufy działa sowieckiego czołgu. "Kryj się" - wrzeszczę na całe gardło. Dzielne wojsko dało nura za skałę. Wybuch. W skałę poniżej nas. Czołgista strzelił "krótki sto, w kierunku". I nic. Ekipa wylazła zza murka i ustawia przewrócone działo. Bo choć bezodrzutowe, to miało odrzut wystarczający, by za każdym razem spaść z erzacu właściwej podstawy. I nic. Cisza. René daje sygnał. Huk. Wybuch. "Sto krótki, w kierunku" - melduję z niemałym podziwem. I błysk z lufy T54. "Kryj się!" Pocisk przeleciał nam nad głowami ponuro wyjąc i wrył się w skałę za nami. Nie wiadomo, z jakiego powodu sowieciarze używali, na nasze szczęście, pocisków przeciwpancernych. René macha do mnie ręką. Wystrzał i wybuch naszego pocisku dokładnie między dwoma czołgami. "W celu, dalej tak samo" - melduję. Błysk w dolinie i... huk tuż przy nas, między skałą, na której leżałem, a murkiem, za którym kryła się ekipa. Sowiecki pocisk uderzył prosto... w lufę naszego działa. Działo przeleciało kilkanaście metrów do tyłu. Nie było czego zbierać. Oniemieliśmy ze zdumienia, a w chwilę później tarzaliśmy się po ziemi w nieopanowanym śmiechu. "Nie opowiadajcie tego nikomu, bo nikt w to i tak nie uwierzy" - powiedział René. I rzeczywiście. Szansa wcelowania na odległość kilku kilometrów w lufę naszego działa była nieporównanie mniejsza, niż szansa na znalezienie przysłowiowej igły w stogu siana. "A jednak szkoda - powiedział René - Jeszcze chwila, a byłbym jednego miał". Nasze straty: wybrakowane działo, dobra lorneta polowa, daremna wspinaczka i pół dnia czasu zmarnowane niepotrzebnie. Niepotrzebnie? Dzięki uporowi René widzieliśmy "artyleryjski cud". Tym razem los był po stronie Sowietów.

HOTCHKISS-BRANDT⁵⁰ I PUŁKOWNIK KOZŁÓW

Na wysokości blisko dwóch tysięcy metrów nad poziomem morza, otoczona wieńcem płaskoszczytych gór, rozciągała się obszerna, spalona słońcem równina. Rzadko rozsiane kępki żółkłej trawy nie przysłaniają brudnoszarej ziemi, wysuszonej i spękanej. Każdy podmuch wiatru wzniesia tu tumany kurzu, który opadając pokrywa resztki anemicznej roślinności. Ni to step, ni pustynia. Żółtoszarą płaszczyznę przecina główny szlak kupiecki, ciągnący się od Adenu aż do Arabii Saudyjskiej. Pośrodku równiny - otoczona wiekowym murem obronnym koloru terakoty - wznosi się stolica Jemenu: Sana. Miasto - jak wszystkie grody obronne - zwarte w sobie, ciasne. Poza murami, wkoło pustka. I tylko przy drodze wiodącej na zachód do portowego miasta Hoddeidah dymią kominy elektrowni, której dieslowskie generatory zasilają miasto w prąd elektryczny. Na północ od miasta biegnie skosem pojedynczy pas startowy lotniska. Miasto rozsiało się w jedynym na całej równinie miejscu, gdzie pod grubą warstwą zeskorupiałej ziemi zbierała się woda. Toteż od wieków tu właśnie zatrzymywały się karawany kupców ciągnących do Jeddach i Taifu oraz pielgrzymi udający się do świętej Mekki.

Teraz miasto znajdowało się prawie w stanie oblężenia: drogę na południe, do Adenu, obsiedli rojaliści tak gęsto, że czerwoni zrezygnowali od dawna z wszelkich prób przebiccia się w tym kierunku. Na północ władza ich kończyła się zaledwie kilkanaście kilometrów za lotniskiem. Tylko droga na zachód, do portu Hoddeidah, stała jeszcze otworem i tędy płynęło całe zaopatrzenie miasta. Góry wokół były nasze. Tylko ponury poturecki fort na szczycie Dżebel el Nogum⁵¹ był obsadzony przez czerwonych i bronił miasta z kierunku wschodniego. Nogum był dla nas nieosiągalny, gdyż jedyna droga na spadzistą zewsząd górę wiodła ze stolicy leżącej u jej podnóża. Jedyna to góra w rękach wojsk reżimowych, jedyna też, która dotyka niemal miasta. Niedługo Turcy zbudowali na niej fortecę, dzięki czemu panowali nad miastem. Mając stolicę za zakładnika, narzucili swą władzę całemu krajowi. Och gdyby móc zająć Nogum!

Jak się nie ma co się lubi... W naszych rękach znajdowało się pasmo gór Beni Matar, zamieszkałe przez góralskie plemię o tej samej nazwie⁵². Górale Beni Matar od dłuższego już czasu opuścili swe wioski przyklejone do gór jak jaskółcze gniazda do okapu chłopskiej chałupy. Nigdy, nawet wtedy, gdy stutysięczna armia egipska roznosiła po całym kraju czerwoną zarazę, Beni Matar nie zdradzili króla. Z zemsty sowieccy piloci zniszczyli wieś rakietami. Górale opuścili spalone domy, ale gór nie oddali wrogowi. Pozostali wolni. Nawet teraz ich wieś, choć spalona, zachowała malowniczość. Mieszkańcy żyli w grotach, których tu nie brakuje. Większość znalazła schronienie pod Dżebel Tahir. Wielka, płaska u góry, ponad stumetrowa skała zwisała nad wąwozem

⁵⁰ Hotchkiss-brandt - francuski moździerz ciężki 120 mm. Broń na owe czasy rewelacyjna. Nawet dziś, po 20 latach, jest nadal najlepszą w świecie w swojej kategorii. Podczas gdy zasięg moździerzy tego kalibru, amerykańskich czy sowieckich, przekracza zaledwie 6 km, hotchkiss ma zasięg skuteczny 13 km. Moździerz ten posiada lufę gwintowaną i pocisk, odpowiednio karbowany, zostaje przy wystrzale wprowadzony w ruch obrotowy. Daje to ogromną celność i pewne zwiększenie zasięgu. W moździerzach klasycznych zasięg maksymalny uzyskuje się przez podniesienie lufy do 45 stopni. W hotchkissie podniesienie lufy dla zasięgu maksymalnego jest 72 stopnie, a przeszło 15-kilogramowy pocisk odpala dodatkowy napęd rakietowy w momencie, gdy znajduje się w apogeum krzywej batalistycznej /ok. 4000 m/, przechyla się do 45 stopni. Obsługa moździerza jest łatwa. Waży on nieco więcej niż połowę wagi swych odpowiedników. Ma własne podwozie. Strzelanie wymagało posługiwania się skomplikowanymi tablicami logarytmicznymi. Dziś jest skomputeryzowany.

⁵¹ Dżebel el Nogun /Góra Nogum/ - wysoki, stromy szczyt wznoszący się nad stolicą. Jedyna z okolicznych gór, której nigdy nie udało się zdobyć rojalistom. Dostępne zbocze znajdowało się od strony miasta. Na wierzchołku stary fort, pamiętający jeszcze tureckie czasy. Nogum był świetnym punktem obserwacyjnym dla naszych przeciwników i dawał im wgląd w nasze pozycje.

⁵² Beni Matar /Synowe Deszczu/ - pasmo gór na południowy-wschód od stolicy i nazwa góralskiego plemienia zamieszkującego te góry. Nazwa wzięła się stąd, iż rzeczywiście opady w Beni Matar były znacznie częstsze niż w innych pasmach gór w okolicy.

ogromnym okapem tworzącym bezpieczny schron dla kobiet, dzieci i rannych. Mężczyźni pilnowali przełęczy.

Strome, o płaskich szczytach, góry Beni Matar przecinało kilka głębokich wąwozów. Góry podmyte przez strumienie zwisały w wielu miejscach ciężkim okapem nad czeluściami wąwozów. Toteż lotnicy, nawet świetni sowieccy piloci nie mogli zadać nam poważnych ciosów. Właśnie w jednym z takich wąwozów przeciętych strumieniem René zainstalował moździerz. W grocie obok urządziliśmy sobie legowisko: René, Jacques i ja. Dżebel el Houar oddzielał nas od równiny, na której leżała stolica i hasały wrogie patrole. Gdy wspiałem się na el Houar, wiedziony przez szejka Ahmeda z plemienia Boni Matar, oniemiałem z wrażenia. Cała dolina ścieliła się u mych stóp, a pośrodku olbrzymi brudnożółty fort zdobny wieżyczkami minaretów: Sana. Widok jak z lotu ptaka. Mój wzrok sięgał za mury miasta, rozróżniał zarys ulic i alei, szejk Ahmed wskazywał mi poszczególne budynki: "to jest siedziba rządu, a tamto partii" - mówił łamaną angielszczyzną. "A to aleja ambasad, przy której mieszczą się przedstawicielstwa państw, które uznały reżim. Ze Związkiem Radzieckim na czele".

Na ustach René pojawił się drapieżny uśmiech, gdy zdałem mu sprawę. Było to dwa tygodnie temu. Na skutek mych obserwacji zapadła decyzja przeniesienia naszego moździerza w wąwozy Beni Matar i ustawienia go za górą Houar. Stąd miał razić miasto. Miał nam zastąpić brakujące lotnictwo i pokazać wrogowi, że nie może czuć się bezpiecznie nawet wśród murów stolicy. Według mych obliczeń zasięg naszego moździerza obejmował trzy czwarte powierzchni miasta wraz z częścią pasa startowego lotniska. Punkt obserwacyjny na el Houar dawał możliwość kierowania ogniem, o jakiej nie marzył żaden artylerzysta.

Wejść na Dżebel el Houar nie było łatwo. Ścieżka była wręcz karkołomna. Oczywiście nie miało to nic wspólnego ze sportową wspinaczką. Półtorametrowy dalmierz na plecach, karabin, pistolet i manierka z wodą nie pozwalały na swobodę ruchów. Kłamię głównie na karabin: był zbyt ciężki. Przy pasie miałem pistolet dla własnej obrony. Ale w Jemenie mężczyzna bez karabinu nie zasługiwał na szacunek. Toteż włóczyliśmy się wszędzie z karabinami. Były to świetne karabiny szturmowe "Hoeckler und Koch" produkcji niemieckiej i budziły powszechny podziw. Ale przy górskich wycieczkach stawały się z każdym przebytym kilometrem coraz bardziej uciążliwe. A szejk Ahmed, dźwigający trójnog do dalmierza i własnego kałasznikowa, mimo podeszłego wieku nadawał piekielne tempo. Skakał boso po ostrych kamieniach jak kozica i mnie, młodemu, byłoby wstyd, gdybym nie nadażył. Przynajmniej tak było na początku. Kilka dni później stary szejk kupił sobie buty. Od tej pory nadażałem za nim łatwo.

Mniej więcej w połowie drogi na szczyt, wijąca się serpentyną ścieżka okrążyła górę od strony równiny, od strony wroga. Ten odcinek był ostrzeliwany przez sowieckie czołgi. Pięć kilometrów od el Houar równina była urozmaicona kilkoma niewysokimi skałami. Tam dniem i nocą stało trzy do sześciu czołgów, które pukały z dział w stronę naszych gór. Skracali sobie czas? Dodawali odwagi? Nie wiem. To pukanie w góry było z punktu widzenia wojskowego marnotrawieniem amunicji. A może musieli wyrobić normę? Udowodnić za pomocą huku żołnierską czujność? Nawet nie mieli tej satysfakcji, że mi strasznie przeszkadzali, bo wiedzieć o tym nie mogli: nie widzieli nas.

Na kilkuset metrach górskiej ścieżki uszy bolały od huku rozrywających się pocisków. Odłamki gwizdały nad głową, a pod nogi spadały kamienie wyrwane wybuchem. Od czasu do czasu z góry staczał się wytrącony z wiekowej równowagi gład i powodował lawinę, która przecinała nam drogę. Czasem przed nosem wyskakiwał gejzer płomieni i dusił nas dym: to sowieciarz, nie wiadomo dlaczego, rąbnął pociskiem zapalającym. Szejk Ahmed mówił: "Incz

Allah" i parł naprzód, a ja za nim pocieszając się tylko tym, że jeśli oberwę, to te dranie nie będą nawet o tym wiedzieć. Ile razy musiałem przebyć tę trasę pod ostrzałem... Charakterystyczna skała z czerwonego porfiru była kresem niebezpiecznego odcinka. Później trzeba się było jeszcze nagimnastykować, by znaleźć się na szczycie. Ale za to co za frajda! Dalmierz na trójnogu. Kontakt radiowy z René. Kierunek. Odległość. Stęknienie wystrzału w wąwozie. Obłoczek dodatkowej rakiety odpalanej, gdy pocisk hotchkissa był w apogeum i w chwilę później wybuch. Radio: "Krótki trzysta, lewo siedem" - stęknienie i wybuch, tym razem tuż przy sowieckich czołgach. "W celu!" - krzyczę w radio. Cztery stęknięcia raz po raz za plecami. Cztery obłoczki. Cztery wybuchy. Między czołgami. Stalowe potwory drgnęły i ruszyły się. Więcej! Jeszcze cztery pociski. Jeden z czołgów napatoczył się wprost na miejsce wybuchu. Ogłuszyło to chyba załogę, bo czołg ujechał jeszcze kilka metrów i wjechał na skałę. Jeszcze parę metrów i zawisnął nad skalnym załomem, przechylił się i runął bokiem. Trzy inne zwały nie czekając reszty. Z leżącego czołgu wypływało paliwo i wsiąkało w piach. Zapadał zmierzch, musiałem wracać na dół do kolegów. Na drugi dzień wieżyczka leżącego czołgu była otwarta. Czy załoga wyszła sama, czy też pod osłoną nocy przyszła ekipa ratownicza? Nie wiem. Czołg pozostał już tak, jak leżał. Nie mówiłem, że frajda?

Pozbyszy się niemiłego sąsiedztwa przeszedłem do rzeczy zasadniczych. Pomiar. Radio. Cel: Dom Partii. Cztery pociski na wstrzelenie się i... w celu - melduję. René dowala serię dwunastu pocisków z różnym opóźnieniem zapalnika. Pierwsze rozerwały się na poddaszu, następne na piętrach. Obserwowałem przez silną lornetę jak z budynku wylatywały okna, w kłębach dymu rozbłyskiwały wybuchy. Z okien wyskakiwali partyjniacy i ludzie w mundurach. Sowieckich. Frajda!

Na drugi dzień szalały migi. Miotaly raketami po wąwozach. Ostrzeliwały skały z działek pokładowych. Latały trójkami: dwa pilotowane przez sowieciarzy i jeden przez Jemeńczyka. Poznać było po klasie! Sowieccy piloci wysłani do Jemenu jako instruktorzy byli świetni. Ich akrobacje w trudnym, górskim terenie obserwowałem z niesłabnącym podziwem. Broni przeciwlotniczej nie mieliśmy żadnej - więc tylko, niestety, obserwowałem.

Jak odlecieli - znów wspinaczka na Džebel el Houar. Dom Partii dopalał się jeszcze: z okien i dziur w dachu wypływały kłęby dymu. Znów namiar dalmierzem, krótkie obliczenie kąta w porównaniu z wczorajszym kierunkiem i rozmowa z René - będziemy tłuc w siedzibę rządu. Hierarchia zachowana: najpierw partia, później rząd. Tu moja rola była trudniejsza. Za budynkiem rządowym zabytkowy meczet ostrzegawczo wyciągał palec minaretu w niebo. Książę Mohammed po rozmowach z naczelnym mułłą Sany zdecydował wprawdzie, że gwoli świętej sprawie zwycięstwa nad bezbożnikami meczet można uszkodzić, ale prosił nas bardzo, byśmy zrobili wszystko, co można, by tego uniknąć. Toteż wstrzeliwać się trzeba było od przodu, dbając o to, by nie przenieść. W gwarze wojskowej nazywa się to "wstrzeliwaniem przez krótkie", Normalnie po pierwszym strzale krótkim daje się przesadnie długi, a później bierze się średnią. Miejsca wybuchów, łatwo widoczne dla obserwatora, pozwalają na dość bezbłędne obliczenie trzeciego strzału. Strzelanie "przez krótkie" takich możliwości nie daje. Toteż siedziba rządu oberwała za piątym strzałem. Cztery były "krótkie", ale nie wszystkie były przez to zmarnowane: pierwszy pocisk rozwalił przypadkowo ciężarówkę pełną wojska, a trzeci posterunek milicji. Siedziba rządu rozleciała się po dziesięciu strzałach. Zatrzymałem ogień. Szkoda było amunicji. Jeszcze daleko było do zmierzchu. Zaproponowałem René bombardowanie koszar. Miał już niewiele amunicji, ale koszary "pionierów rewolucji" stłukliśmy dokumentnie.

Czekaliśmy na dostawę amunicji. Zabijaliśmy czas opatrywaniem rannych Jemeńczyków i leczeniem ludności. Ze wszystkich wąwozów Beni Matar zwracano się do nas o pomoc. Lekko rannych przyprowadzano nam na opatrunki. Wzywano nas do rannych nie nadających się do

transportu. Sowieccy piloci zbombardowali targowisko w jednej z dolin, mimo że nie było tam ani jednego mężczyzny. Same kobiety i dzieci. Ufność, jaką Jemeńczycy pokładali w naszej wiedzy, była wzruszająca. Robiliśmy co było w takich warunkach możliwe, choć nie było między nami ani jednego lekarza. Podziwialiśmy hart Jemeńczyków, nawet małych dzieci. Hart i niezwykłą odporność na ból. A przy tym przerażenie nas ogarniało na widok niesłychanego wprost braku higieny osobistej. Oni się nigdy nie myją! Nigdy! Mimo tego dzięki penicylinie rany goiły się nad podziw dobrze. Trudniej nam było leczyć choroby wewnętrzne, których również nie brakowało.

Codziennie w towarzystwie szejka Ahmeda wdrapywałem się na górę el Houar. Obliczałem na zapas współrzędne przyszłych celów bombardowania. Wieczorami kolacja: baranina, cza'aj i papieros. I długie rozmowy z przyjaciółmi. Czasem partia szachów z René, który odkąd wyczytał, że w sowieckich akademiach wojskowych szachy są obowiązkowe - nauczył się zupełnie nieźle grać. Nie byliśmy jednak na wczasach: wśród rozmów dominowała tematyka wojenna. Jak dokuczyć wrogom. Wspaniałe rezultaty osiągnięte przez nasz mózdzierz napawały nas optymizmem. Mogliśmy zdeorganizować życie w stolicy, mogliśmy uniemożliwić wrogowi korzystanie z lotniska. Byle była amunicja! Ale czerwoni sprowadzali zaopatrzenie drogą z zachodu, z portu Hodeida nad Morzem Czerwonym. Drogi do Hodeidy mózdzierzem zamknąć się nie dało. Powoli w wieczornych rozmowach dojrzywała w nas myśl: trzeba uniemożliwić transport drogowy!

Książę Mohammed dał się przekonać. Przydzielił nam kilkuset wojowników i powierzył René dowództwo. Sprawa wydawała się prosta: dwanaście kilometrów na zachód droga wiodła przez most nad niewielkim wąwozem. Należało most ów wysadzić, a góry po obu stronach drogi obsadzić żołnierzami. Ich zadaniem miałyby być niedopuszczenie do odbudowy mostu.

Zamknięcie drogi Hodeida - Sana mogło spowodować przełom w całej wojnie. Stolica odcięta, bez zaopatrzenia, nie mogła się długo bronić.

Otrzymaliśmy transport amunicji do mózdzierza. Tegoż dnia o zmierzchu zniszczyliśmy miejską elektrownię. W stolicy na moment zapanowała ciemność. Później generatory elektryczne warsztatów i fabryczek zarekwirowane przez władze zaopatrywały w prąd budynki urzędowe. Następnego dnia René otrzymał zgodę emira na zaatakowanie ambasady sowieckiej i egipskiej. Z dziką radością kierowałem ogniem. Ambasadą sowiecką zniszczyliśmy do fundamentów. Nie przerwałem ognia nawet wtedy, gdy wedle wszelkiej logiki nasze strzały nie były potrzebne. Bałem się, że może przeceniłem zniszczenie, że może jeszcze coś zostało z tego gniazda szerszeni. Egipską ambasadę, otoczyłem już mniejszą troską. Przy okazji oberwały inne przedstawicielstwa, jako że mieściły się przy tej samej alei. Wieczorem we francuskim dzienniku radiowym usłyszeliśmy wiadomość, która wprawiła nas w doskonały humor: "Ze względu na bezpieczeństwo personelu, przedstawicielstwa dyplomatyczne ewakuowały się ze stolicy". Zniszczenie sowieckiej ambasady w Sanie uważam za osobisty sukces. Egipska cieszyła mnie już mniej. Natomiast to, że inne ambasady oberwały "przy okazji" uznaję za sprawiedliwe: po co było z takim pośpiechem uznawać komunistyczny, narzucony przez obcą armię, reżim? Powiedzmy, że był to tylko rozrzut...

"Przeciąć drogę na Hodeidę!" Plan René był słuszny. Dzięki mózdzierzowi mogliśmy atakować stolicę, wznecając w niej popłoch i poczucie niebezpieczeństwa. Szpiedzy księcia donosili nam o skutkach bombardowania, wskazywali nowe cele. Maksymalny zasięg hotchkissa pozwalał na pokrycie ogniem znacznej części pasa startowego lotniska. Część poza zasięgiem wystarczała na lądowanie mniejszych samolotów, i na to nie mieliśmy wpływu. Ale wielkie

transportowce typu Antonow potrzebowały całej długości pasa. Wystarczyło więc obserwować lądowanie "Antosia" i rąbnąć pocisk w odpowiedniej chwili. Jeden Antoś został tak poważnie uszkodzony, że stoczono go z pasa na pobocze i tak już pozostał, służąc mi zresztą za wskazówkę przy gorszej widoczności i... obrywał przy każdym strzelaniu. Antonowy przestały przylatywać. Jediną łączność stolicy z resztą świata zapewniała droga na Hodeidę.

Sowieciarze i ich jemeńscy uczniowie pilnowali tej drogi jak oka w głowie. Przynajmniej od strony stolicy. Ciągłe kontrolowały ją patrole piechoty i czołgów. W skałach nad drogą nieprzyjaciel pobudował gniazda karabinów maszynowych. I tak było na dziesiątkach kilometrów. Im bliżej Hodeidy, tym kontrola była słabsza. Tu wróg czuł się pewniej, jako że plemiona zamieszkujące wybrzeże najczęściej z nim współpracowały. Tu mieszkała ludność pochodzenia koptyjskiego i abisyńskiego, która była elementem obcym. Mężczyźni od dawna nie nosili tu broni. Dla jemeńskiego górala był to niechybny dowód podłości gatunku.

Gdy na radzie książęcej dyskutowano, jak przeciąć dostawy do stolicy drogą z Hodeidy - emir Mohammed wysłał mnie z szejkiem Ahmedem na spotkanie delegacji jednego z plemion żyjących na zachód od Sany. Plemię to - dotychczas neutralne - zgłosiło swój akces do wojsk rojalistycznych. Nasze sukcesy wojenne skłaniały coraz to inne plemiona do zajęcia wyraźnego stanowiska po naszej stronie. Wśród licznej, bo trzydziestoosobowej delegacji plemienia, zastałem starego znajomego, szejka Harba'tasz. To on najwyraźniej namówił ludzi do przejścia na naszą stronę. Przyproceedziłem delegację do emira. Mohammed przyjął ją świetnie, dał po garści złota i kazał wydać broń. Szejka Harba'tasz zaprosił do udziału w radzie. René opowiedział nam później, że książę zaakceptował propozycję szejka Harba'tasz, którą zresztą René poparł gorąco.

Plan Harba'tasz polegał na tym, by wężozami, poprzez góry, wydostać się na drogę Hodeida - Sana czterdzięci kilometrów na zachód od stolicy. Tam wróg nie wiedząc, że miejscowe plemię już go zdradziło - nie pilnował drogi zbyt czujnie. Tam też znajdował się jeden z najczulszych punktów na całej trasie: betonowy wiadukt nad wężozem.

Owe czterdzięci kilometrów wydłużało się do ponad stu, gdy zamiast drogą szło się przez górskie wężozy. Tu nie sposób było używać samochodów. Książę przydzielił nam wielbłądy.

Trzydniowa podróż na grzbiecie dromadera pozostanie w mej pamięci na zawsze. Boże, jak to bydle kołysze! W wyprawie wzięło nas udział sześciu. Z nami jechał szejk Harba'tasz i wódz świeżo sprzymierzonego plemienia. Osiem wielbłądów kołysało się w miarowym marszu. Gęsiego w wężozie, rozłaziły się natychmiast w szeroki wachlarz, gdy tylko wężóz rozszerzał się w dolinę. Kierować wielbłądem żaden z nas nie potrafił i wszelkie wskazówki udzielone nam przed podróżą nie zdały się na nic. Wielbłądy lały jak chciały. Jeden z nich, najbardziej narowisty, przewracał się co jakiś czas, by się wytarzać w kurzu. Jean-Pierre, który go dosiadał, musiał dokonywać cudów zręczności, by uniknąć zgniecenia. Moje bydle miało inną przywarę: truchtem podbiegało do poprzednika i zdradziecko szczypało go zębami w... podogonie. Nieszczęśliwiec ryczał straszliwie i puszczał się w galop nie zważając na protesty jadącego na nim Georges'a. W sumie nie byliśmy dumni z siebie. Mimo przygód karawana dotarła na miejsce, skąd już pieszko, dotarliśmy na drogę Hodeida - Sana.

1 maja 1968 roku, w momencie, gdy w Moskwie na Placu Czerwonym odbywała się doroczna defilada, miałem zaszczyt i przyjemność szarpnąć rączką elektrycznego generatora: wybuch wstrząsnął wężozem, wiadukt podniósł się w górę i opadł w tumanach kurzu. W tym momencie zza zakrętu wynurzyły się sowieckie czołgi. Na szczęście od strony Hodeidy. Zerwany wiadukt uniemożliwił im pościg.

Według planu uchwalonego na radzie książęcej czterystu wojowników z nowo sprzymierzonego plemienia zostało w okolicznych skałach, by ogniem broni ręcznej i maszynowej uniemożliwić odbudowę wiaduktu. Droga na Sanę została odcięta. Wydawało się, że zwycięstwo rojalistów jest bliskie.

Wróciliśmy do Beni Matar. Bombardowanie Sany zaczęło się od nowa. Na wschód od stolicy, za górą Nogum, ustawiono nasz drugi moździerz. Stamtąd inna ekipa pokrywała ogniem cele niedosiężne dla nas. Sana została dosłownie wzięta w "dwa ognie". Republika zaczęła się chwiać.

Na nasze głowy wyznaczono wysokie ceny: milion riali od łebka! Za żywego lub umarłego. Chodziło bowiem o to, by zdobyć niezbity dowód, że rojaliści nie walczą sami, że jest to obca interwencja. O egipskiej armii, która na całe szczęście wyniosła się, i o ciągle obecnych "doradcach" sowieckich obsługujących czołgi, lotnictwo i artylerię, wolano nie wspominać. Ale grupa dwudziestu ludzi walcząca po stronie ogromnej większości narodu - to była "obca, imperialistyczna interwencja". Nasza obecność stawała się przedmiotem rozgrywki politycznej i to na tle ścierania się bloków. Stawaliśmy się stawką w tej rozgrywce. Emir Mohammed ostrzegał, byśmy się mieli na baczności i zwiększył nasze strażę. ZSRR i jego satelicko-trzecioświatowa sfera zgodnie zaczęły protestować w ONZ przeciw obecności w Jemenie "imperialistycznych najemników na żołdzie CIA". Protesty te echem powtarzała "odprężeniowa" opinia publiczna Europy. Zanosilo się na to, że nasz pracodawca, to znaczy Arabia Saudyjska, ulegnie naciskom i nie odnowi nam kontraktów. Nasze kontrakty były sześciomiesięczne: cztery i pół miesiąca w terenie i półtora miesiąca płatnego urlopu w Europie. Podróż płacona przez pracodawcę. Ten system pozwalał Arabii na szybkie wycofanie się z imprezy bez zrywania bieżących kontraktów: nasze, już trzykrotnie odnawiane, miały się ku końcowi. Byliśmy wszyscy zdenerwowani. Opuścić Jemen teraz, gdy zanosilo się na zwycięstwo - to znaczyło zmarnować wiele miesięcy wysiłków i narażania skóry.

Nad doliną Seher'zad leciał mig 21. Jechaliśmy jeepem środkiem łysej i pustej doliny. Georges skręcił gwałtownie za skalny załom, który dawał nam raczej iluzoryczne schronienie. Byliśmy w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Mig, przeleciawszy nad nami, zatoczył po mistrzowsku ostry łuk, kładąc się niemal na plecy. Drgnęło odbicie słońca w szybie pilota, a spod skrzydeł błysnęły ogniki odpalanych rakiet. Zakotłowało się wokół nas i zaczęła palić się ziemia. Samolot przeleciał z hukiem i szykował się do powtórnego przelotu. Georges wyrwał karabin maszynowy z jeepa i dał nura za skałę. Mig wracał w naszą stronę. Georges zaczął strzelać, ja podawałem mu taśmę za taśmą. Okazało się, że nie byliśmy sami. Zza sąsiedniej skały pojawiły się smugi pocisków świetlnych i rozległ się szczekot karabinu maszynowego przemieszany z salwami broni ręcznej. To jakiś oddziałek jemeńskich powstańców grzał do samolotu z czego się dało. Mig wracał. Pilot najwyraźniej chciał nas wykończyć. Jeśli wróg miał dobry wywiad, a na to mieliśmy wiele dowodów, to pilot mógł po typie naszego pojazdu domyślić się, że ma do czynienia z europejskimi doradcami, tak jak my, po mistrzowskim pilotowaniu samolotu wiedzieliśmy, że mamy do czynienia z sowieckim pilotem. Pod jemeńskim obcym niebem Francuz, Belg i Polak z jednej strony, a sowiecki pilot z drugiej prowadzili wojnę. Miało to wymowę symboliczną dla współczesnych stosunków międzynarodowych. Ale w tym momencie nie zastanawiałem się nad symbolami, zbyt przejęty tym, by opanować strach przed ziejącym ogniem sowieckim samolotem i dbać o to, by Georges'owi nie zabrakło amunicji. Płonął już jeep i skały wokoło, gdy uparty mig

nawrócił po raz czwarty. Chciał dokończyć dzieła, czy tylko upewnić się, że nikt nie uszedł, czy też widział błysk strzałów naszego karabinu maszynowego? Znow kładł się na bok w eleganckim przechyle, znow błysk słońca w szybie. Nie, to nie słońce! W miejscu rozbłysku pojawił się dym! Samolot zachybotał się jak rozpedzony wóz na wybojach, poderwał ostro dziób ku niebu, zawahał się i... runął ku ziemi. Tuż nad ziemią, jakby pilot odzyskał na chwilę przytomność, mig wyprostował swój lot i wyglądało, że będzie lądował. Nie wyciągnął jednak podwozia i widzieliśmy, jak rył długo kamienistą ziemię w dolinie, wznecając obłok kurzu. Biegliśmy w jego stronę wszyscy: trzej Europejczycy i grupka jemeńskich powstańców, która z wrzaskiem wypadła zza sąsiedniej skały. Z pobliskiej wioski biegły kobiety, dzieci i psy. Dobiegliśmy do samolotu. Jakież wydawał się niegroźny, teraz gdy leżał z wyrwanym skrzydłem i zmiażdżonym podbrzuszem. W kabinie trup w lotniczym kombinezonie. Smużka krwi z ust i dziwnie nienaturalnie zawieszona głowa. Wytrzeszczone niebieskie oczy. obok przyrządów nawigacyjnych przypięty mapnik, a w nim mapy i dokumenty. Z tych ostatnich wynika, że nieboszczyk był nie byle kim: upolowaliśmy pułkownika Kozłowa, samego szefa sowieckiej misji doradczej przy "ludowej" republice. Lista podległych mu pilotów: trzydzieści sześć nazwisk. Z innych dokumentów odczytać można rozmiar sowieckiej interwencji.

Dokumenty znalezione przy Kozłowie przekazaliśmy rządowi Arabii Saudyjskiej. Te dowody sowieckiej obecności w Jemenie wystarczyły, by zamknąć gębę tym wszystkim, których gorszyła nasza tu obecność. Pułkownik Kozłow ocalił nasze kontrakty. Podwójnie czule go wspominam: po pierwsze za to, że dał się zabić, co jest niezwykle sympatyczne, jeśli chodzi o bolszewika, a po drugie za to, że przez brak rewolucyjnej czujności dał nam w ręce bezcenne argumenty dla naszego dalszego udziału w wojnie. I bez znaczenia jest fakt, czy zestrzelił go Georges, czy nasi jemeńscy przyjaciele.

GENERAL, KTÓRY ZDRADZIŁ

General, który zdradził, nazywał się Kassim Monassir. Był wodzem plemienia Had'szuf, którego terytorium rozciągało się na północny wschód od góry Nogum, a która, jak gigantyczna wieżyca strażnicza, sterczała nad stolicą. Na jej szczycie stary, jeszcze przez Turków zbudowany fort, służył wrogowi jako świetne miejsce obserwacji. Ale góry rozrzucone za Nogum należały do Kassima Monassira. Nie znałem go osobiście, Ale zawdzięczam mu nieprzespaną noc pełną rozpaczy i rozterki.

Kassim Monassir był szejkiem rodowym swego plemienia. Gdy czerwoni objęli władzę w stolicy, postąpił tak, jak inni szejkwowie sąsiednich plemion: zaczął walczyć. Walczył najpierw przeciw ekspedycyjnemu korpusowi Nasera, a później przeciw "ludowej" armii republiki kierowanej przez sowieckich doradców. W przeciwieństwie jednak do innych szejków był doskonałym dowódcą. Toteż szybko zdobył sobie ogromny prestiż i posłuch. Podporządkowały mu się niektóre sąsiednie plemiona. Gdy do Jemenu wrócił bratanek i przedstawiciel imama, emir Mohammed, z braćmi, Kassim posiadał już znaczenie takie, że nie sposób było potraktować go jak byle szejka i podporządkować go któremuś z książąt. Toteż książę Mohammed przezornie potwierdził jego władzę nad wojskiem i obszarem, którym de facto już i tak rządził. By go sobie ująć, nadał mu nawet tytuł "generała", który to tytuł nie istniał dotąd w Jemenie, a który wynosił go ponad innych szejków i czynił niejako równym książętom.

Trzej młodszy bracia emira Mohammeda dowodzili trzema różnymi odcinkami frontu, trzema, jak to się mówi, teatrmi wojny. Czwarty był Kassim Monassir. Mohammed dowodził całością. Przy każdym z książąt znajdowała się ekipa doradców europejskich, do których należało nie tylko służyć radą w sprawach wojskowych, ale również zapewnienie łączności radiowej między poszczególnymi sztabami, szkolenie jemeńskich wojowników w posługiwaniu się nowoczesnym sprzętem wojskowym, no i wreszcie obsługa hotchkissa. Jako "równy książętom" generał Kassim Monassir miał również przydzieloną pięcioosobową ekipę. I żeby już było zupełnie równo, przydzielono mu również jeden z naszych wspaniałych moździerz. Moździerz ten miał okładać ogniem tę część stolicy, która dla nas, z Beni Matar, była nieosiągalna. W ekipie doradców, a właściwie w obsłudze moździerza, znalazł się Ludgier W.

Ludgiera poznałem, gdy jako siedemnastoletni chłopiec przybył do polskiego emigracyjnego gimnazjum w Les Ageux pod Paryżem, gdzie byłem przez kilka lat nauczycielem. Rodzice Ludgiera wyemigrowali z córką do Stanów Zjednoczonych. Starsi bracia, również abiturienti z Les Ageux, zostali w Paryżu. Ludgier, dowcipny i wesoły chłopak, nie był pozbawiony kompleksów. Uczył się źle. Pomagałem mu, ile mogłem, udzielając korepetycji. Zaprzyjaźniliśmy się i Ludgier, już po zdaniu matury, często do mnie przyjeżdżał. Gdy w 1965 roku wyjechałem na wojnę do Konga, ku mojemu zdumieniu po paru miesiącach dołączył do mnie Ludgier. Zrobił mi tym ogromną niespodziankę. Ludgier nie miał w sobie nic z żołnierza, a jeszcze mniej z poszukiwacza przygód. To ogromne i silne chłopisko było w gruncie rzeczy łagodne jak baranek. Bojąc się, że mu będę odradzał nie napisał do mnie, nie podzielił się zamiarem przybycia do Konga. Wiedział, że jestem tu dowódcą batalionu, więc już na miejscu poprosił o pozwolenie skontaktowania się ze mną. Od tej pory dzielił moją dolę i niedolę. Przyznaję, że jako dowódca starałem się chłopaka jak najmniej narażać. Może to było niesprawiedliwe wobec innych podkomendnych, ale tłumaczyłem się sam przed sobą tym, że Ludgierowi brakowało tej dodatkowej szansy, jaką mieli inni, a którą dawało wojskowe doświadczenie. Razem wróciliśmy do Europy.

Gdy wyjechałem do Jemenu wiedziałem, że Ludgier cierpi w Paryżu i liczy, że zrobię wszystko by go sprowadzić. Okazja trafiła się dopiero po roku. Nasze kontrakty przewidywały

sześć tygodni urlopu w każdym półrocznym okresie kontraktowym. W praktyce wyglądało to tak, że wspaniałomyślna Arabia Saudyjska płaciła nam sześć tygodni urlopu po czterech i pół miesiącach obecności na froncie. Po niecałym roku ruszyłem więc po raz drugi na urlop do Europy. Nasz stan był uszczuplony, gdyż kilku najstarszych odeszło. Major Martin zalecił mi, bym sprowadził paru godnych zaufania kolegów. Byłem bardzo zaszczycony tym zadaniem, gdyż jak wiadomo, miejsca w Jemenie były nieliczne, a chętnych mnóstwo. Będąc lojalny wobec moich francuskich przyjaciół uzgodniłem z René i z Georges'em, że sprowadzę Ludgiera, którego znali już z Kongo, i jeszcze jednego Polaka, im nieznanego. I tak się stało. Ludgier znalazł się w Jemenie. Co prawda z własnej woli, ale tym razem nie bez mojego udziału. Toteż nic dziwnego, że drżałem na myśl, iż może mu się coś złego przytrafić. Uważałem się jakby za jego starszego brata i czułem się za niego odpowiedzialny. U Kassima Monassira Ludgier był stosunkowo bezpieczny. Jego placówka znajdowała się w miejscu dobrze ukrytym przed sowieckim lotnictwem, a zdyscyplinowane oddziały "generała" gwarantowały, że nieprzyjaciel nigdy nie dotrze do groty, w której żyła nasza piątka. Ludgier odwiedzał mnie czasami. Czasem mnie udało się pojechać "służbowo" w odwiedziny do niego. Opalony, w doskonałym humorze Ludgier zajmował się nie tylko sprzętem, co było jego główną rolą, ale również czynił ogromne wysiłki, by urozmaicić codzienne "baranie menu" ekipy. Próbował nawet, jako prawdziwy Polak, pędzenie alkoholu z rodzynków kupionych na targu, i to w dodatku pędzenie w bańce po paliwie, co prawda dobrze umytej, niemniej cuchnącej jak stacja benzynowa w upalny dzień.

Aż któregoś popołudnia - grom z jasnego nieba! Nasi Jemeńczycy, zasłuchani w jazgot tranzystorowych radiodbiorników, biegają w podnieceniu z grupki do grupki dyskutując wniebogłosy. Jako że w tym zwariowanym kraju nigdy nie wiadomo, co się może wydarzyć, a strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc zainteresowaliśmy się żywo przyczyną zamieszania. Wkrótce wyszło na jaw co tak naszych wojowników podnieciło: oto dziennik "ludowego" radia donosił ze stolicy, że "generał" Kassim Monassir przeszedł ze swym wojskiem na stronę czerwonych. Jak już wspomniałem, na nasze głowy wyznaczono milionowe nagrody. Kassim przechodząc na stronę przeciwnika miał ogromny atut: pięciu europejskich doradców i francuski nowoczesny mózdzierz. Była to dla niego moneta przetargowa ogromnej wagi, za którą mógł uzyskać obietnice dostojenstw i przywilejów, a wiadomo, że był człowiekiem ambitnym. Wiedzieliśmy, że naszych kolegów czeka straszny los, że być może, zobaczymy ich głowy na palach wbitych przed murami stolicy. Litości od czerwonych nie spodziewał się nikt, a o konwencji genewskiej nikt w Jemenie nie słyszał. Ludgier! Na miłość boską, dlaczego właśnie Ludgier? Złapałem naszego tłumacza i zmusiłem go, by słuchał "czerwonego" radia i powtarzał mi wszystko, co w nim usłyszy. W międzyczasie nasze oddziały, sąsiadujące z wojskiem "generała", potwierdziły wiadomość. Linia frontu przesunęła się. Czy ktoś może się dziwić, że tej nocy nie spałem? Muszę przyznać, że czuwali ze mną wszyscy koledzy, wszyscy jednakowo przejęci wydarzeniem, wszyscy jednakowo zaniepokojeni losem naszej nieszczęsnej piątki. I tak od samego rana. Kawa i nasłuch radia, nasłuch radia i herbata. Nic o naszych kolegach. Kassima wita rząd w stolicy. Kassim bohaterem dnia. Kassima przyjął premier. A o naszych głucho. Najgorsze przypuszczenia przychodziły nam do głowy. Może ich wymordowano? Może ich torturują? Może ich zabijają cichcem, by nie wywoływać protestów międzynarodowych? Może ich wysłał do Sowietów?

Rano tuman kurzu na szosie. Jeepy. Skąd jeepy? Nie spodziewaliśmy się nikogo. Zbliżają się, już widać znajome twarze. W pierwszym wozie Ludgier. Widzi mnie. Krzyczy z daleka coś, co wycie silników zagłusza. Biegnę w kierunku kolumny. Przewracam się, podrywam i znowu biegnę...

Generał, który zdradził księcia, nazywał się Kassim Monassir. Tego nazwiska nie zapomnę nigdy. Dlaczego zdradził? Nie wiem. Być może uraził go któryś z książąt. Może uznał, że republika da mu większe pole do popisu niż monarchia. A może od początku to planował i walczył tylko po to, by się drożej sprzedać? Nie moja rzecz sądzić. Ale nie mogę pominąć przecież sprawy najważniejszej. Dlaczego generał zdradzając księcia nie zdradził swych europejskich doradców? Dlaczego owego pamiętnego dnia, kiedy przeszedł na stronę wroga, wysłał do nich gońca z nagłą radą: "uciekajcie!" i wydał rozkazy, by im w tej ucieczce nie przeszkadzano? Dlaczego pozwolił, żeby zabrali swoją broń i sprzęt? Dlaczego w swej rozgrywce politycznej pozbawił się tak mocnej karty? Generał zdradził księcia. Ale arabska etyka nie pozwoliła mu na zdradę ludzi, którzy jedli jego chleb. Znowu w pełni zagrało święte prawo gościnności.

Oto dlaczego generał, który zdradził swego księcia, trafi do raju muzułmańskich wojowników i całą wieczność będą go bawiły hurysy. Allah Akhbar. Allah jest wielki!

Mój druh serdeczny, Ludgier zmarł przed paru laty w Paryżu po długiej i ciężkiej chorobie. Wspominamy go często i z żalem. Ja i moi przyjaciele. Psy wojny wyją długo, gdy odchodzi ktoś z ich stada.

Z PISTOLETEM I BIBLIĄ

W poczekalni u dentysty pasowała cisza przerywana od czasu do czasu jękami płynącym z gabinetu. Nie wpływało to dobrze na moje samopoczucie. Zacząłem przeglądać rozrzucone na stole gazety. Nigdy nie potrafiłem zrozumieć dlaczego pisma zalegające lekarskie poczekalnie są zawsze stare i tak dobrane, jak gdyby klientela lekarzy składała się wyłącznie z kucharek. Ze stosu pism poświęconych modzie, życiu na książących dworach tudzież plotkom na temat znanych gwiazd filmowych, wyciągnąłem wyświechtany stary numer paryskiego tygodnika ilustrowanego "Paris Match". Ucieszyłem się. Pismo to wprawdzie również nie gardzi sensacją, ale zamieszcza oprócz tego sporo świetnych reportaży z całego świata. W poczekalni były jeszcze dwie osoby przede mną. Zacząłem przeglądać "Paris Match" w poszukiwaniu artykułu, który byłby w stanie na tyle mnie zainteresować, bym potrafił zapomnieć zarówno o bólu zęba, jak i o czekającej mnie przeprawie na dentystycznym fotelu. Przerzuciłem kilka kartek i zamarłem: z dużej fotografii, zamieszczonej w piśmie patrzył na mnie Jean Kay. Na tle jakiejś hinduskiej pagody spoglądał niewidzącym wzrokiem w obiektyw. Wygolony łeb i wychudła postać przypominała bardziej hinduskiego mnicha, niż mego dawnego towarzysza broni z Jemenu.

Zniknęła poczekalnia dentysty. Głuchy na dolatujące z gabinetu jęki zagłębiłem się we wspomnieniach. Jean Kay! Jeana poznałem w Jemenie. W roku 1967 mieszkaliśmy jakiś czas pod wspólnym namiotem, dzieliliśmy konserwy, pchły i papierosy. Jean był inteligentnym człowiekiem, o dużym uroku. Już wtedy miał wyraźne tendencje do mistycyzmu. Żołnierz-mystyk? Takie skojarzenie jest częstsze niżby się mogło wydawać. Jean uważał, iż ze złem należy walczyć z bronią w ręku. Wieczorami, przy zgaszonym świetle, długo przekonywał mnie, że ludziom posiadającym odrobinę odwagi nie wolno "patrzeć i milczeć", akceptując krzywdę i zło. Jean od najmłodszych lat wymagał wiele od innych, ale jeszcze więcej od siebie. Od innych wymagał lojalności i odwagi. Od siebie wręcz bohaterstwa i poświęcenia. Nigdy nie opowiadał o swoim życiu, o kobietach, o swych licznych, bądź co bądź, podróżach. Wiedzieliśmy, że sporo przeżył, wiele widział, a jeszcze więcej przemyślał. Taki jak on idealista, ze skłonnością do poświęceń stać by się mógł równie dobrze zakonnikiem-misjonarzem leczącym trędowatych, jak i terrorystą podkładającym bomby w imię "słusznej" sprawy. Ustrzegł go przed tym wybujały skrajny indywidualizm, nie pozwalający wierzyć w nic, co inni do wierzenia podają. Stąd jego żywiołowa nienawiść do komunizmu głoszącego kolektywizm, tak przeciwny jego naturze indywidualisty. Urodzony w Algierii, jako młody chłopiec przeżył tamtejszą straszną wojnę domową. Brał w niej nawet pod koniec udział jako osiemnastoletni ochotnik. Gdy de Gaulle przyznał Algierii niepodległość, Jean, jak wielu innych młodych ideowców, dał się wciągnąć w szeregi OAS⁵³. Jako specjalista w dziedzinie radiokomunikacji nadaje pirackie, antyrządowe audycje na zakresie fal Radio France. Kosztuje go to osiem miesięcy więzienia. Czas wypełnia mu lektura Brasillacha, Drieu la Rochelle, Celine'a⁵⁴ i Malraux. Te lektury miały mocno zaważyć na postawie przyszłego najemnika. Po wyjściu z więzienia szuka schronienia we frankistowskiej Hiszpanii, gdzie już wcześniej znaleźli azyl niektórzy z dawnych przywódców OAS. Epizod hiszpański trwa długo, zbyt długo jak na gust naszego przyjaciela. Któryś z jego kolegów jest w Jemenie. Jean udaje się tam również.

⁵³ OAS - Organisation de l'Armée Secrète. Tajna organizacja, która powstała w celu obrony francuskiej Algierii. De Gaulle doszedł do władzy we Francji, gdy okazało się, że rządy IV Republiki nie są w stanie rozwiązać algierskiego konfliktu. De Gaulle posiadał zaufanie wojskowych i ludności francuskiej Algierii, jak również tej części ludności tubylczej, która wiązała swe losy z Francją. Wszyscy poczuli się zdradzeni, gdy de Gaulle rozpoczął rokowania, które skończyły się podpisaniem umowy w Evian przyznającej Algierii niepodległość.

⁵⁴ Brasillach, Drieu la Rochelle i Céline - trójka pisarzy "wyklętych". Pierwsi dwaj przedstawiali, każdy na swój sposób, ideologię skrajnej francuskiej prawicy, która doszczętnie skompromitowała się kolaboracją w czasie wojny. Jednakże bardziej lub mniej kompromitujące zachowanie autorów nie odbiera wartości ich dziełom. Trzeci, Céline, znany był przed wojną z ostrej krytyki lewicowego komfortu myślowego. Głosił przy tym tezy antysemickie co wystarczyło, by w latach powojennych zrobić z niego faszystę, którym nigdy nie był.

Nasuwał nam nieodparcie na myśl postać średniowiecznego mnicha-rycerza lub też Don Kichota, i to bez czuwającego nad nim Sancho Pansy. Gdy wojna w Jemenie skończyła się i wróciliśmy do Europy, przez krótki okres kawalerka Kay'a w Dzielnicy Łacińskiej Paryża była miejscem spotkań przyjaciół i okolicznościowym domem noclegowym. Później Jean Kay zginął mi z oczu na dłuższy czas. Słyszałem, że pojechał do Libanu, gdzie oddał całą swą wiedzę wojskową na usługi chrześcijańskich falangistów. Wrócił do Paryża z żoną, śliczną, młodą Libanką imieniem Seta, i w niedługim czasie został ojcem dziewczynki, malutkiej Emanueli. Wydawało się, że Jean się ustatkował. W jego kawalerce w Dzielnicy Łacińskiej zamieszkał kolega. Kay'owie przenieśli się do niewielkiego mieszkanca opodal. Życie jest życiem i nasze kontakty stawały się coraz bardziej sporadyczne. Wpadałem do nich czasem na pogawędkę, ale Jean stawał się coraz mniej towarzyski, popadał w zamyślenie, odpowiadał półgębkiem. Toteż bywałem tam coraz rzadziej. Wiedziałem, że zaczął pisać wspomnienia⁵⁵.

Nadszedł rok 1971. Środki przekazu pełne były wiadomości z Bangladeszu. Po drugiej wojnie światowej kraj ten został włączony do Pakistanu jako tak zwany Pakistan Wschodni. W roku 1970 buntuje się i odrywa od Pakistanu. Armia Pakistanu prowadzi krwawą wojnę interwencyjną, w wyniku której ginie ponad milion osób, a kraj nawiedza klęska głodu. Francuska telewizja alarmuje społeczeństwo. Andre Malraux, znany pisarz, a podówczas minister kultury i przyjaciel de Gaulle'a, wzywa Francuzów do śpieszenia z pomocą. Tygodniki ilustrowane pełne są wstrząsających zdjęć. Pomoc organizuje się powoli. Zbyt powoli. Alarmujące wieści z Bangladeszu wskazują na to, że ta opieszala pomoc dotrze za późno. Brak jest środków leczniczych. W Bangladeszu wybuchają epidemie. Kraje sąsiednie, same w nędzy, nie mogą, a może nie chcą, udzielić pomocy.

Nagle dzienniki telewizyjne podają sensacyjną wiadomość: na podparyskim lotnisku Orly zbrojny pirat sterroryzował załogę samolotu i w zamian za wypuszczenie zakładników żąda, by samolot załadowano lekarstwami z przeznaczeniem dla Bangladeszu. Pirat zamierza dostarczyć lekarstwa ginącym mieszkańcom dalekiego kraju. Pirat grozi, iż w małej, czarnej walizeczce, którą wniósł na pokład, jest bomba zdolna wysadzić samolot. Wszystkie dzienniki radiowe podają w kilka godzin później, że różne organizacje charytatywne zaczęły zbiórkę. Pierwsze transporty lekarstw trafiają na Orly. Wreszcie wieczorem ujawniono, że piratem jest były najemnik Jean Kay. Ciężarówka zwozi lekarstwa. Zaczyna się załadunek. W miejsce pracowników lotniska skrzynie z lekarstwami wnoszą na pokład przebrani za robotników policjanci. Szamotanina. Pada strzał. Jean Kay zostaje obezwładniony. Strzelił do policjanta. Na szczęście pocisk utknął w kuloodpornej kamizelce. Ku ogólnemu zdumieniu w owej czarnej walizeczce policja wykryła nie bombę, lecz biblię. Jean znalazł się w więzieniu, ale czyn jego nie poszedł na marne. Samolot załadowany kilkudziesięcioma tonami lekarstw poleciał do Bangladeszu. Odwiedzałem wówczas często Setę, jego żonę i pytałem w czym mogę pomóc. Prosiła o pomoc w mobilizowaniu opinii publicznej w obronie Jeana. Obeszło się jednak bez mojej pomocy. Opinii publicznej zaimponowała odwaga i bezinteresowność tego bladego, smukłego młodzieńca o smutnym, zamyślnym spojrzeniu, którego pokazała telewizja. Najlepszym obrońcą okazał się sam Malraux. Nie szczędził ni starań, ni wpływów, a miał je ogromne, toteż gdy po ośmiu miesiącach nadszedł dzień procesu, opinia publiczna znalazła sobie nowego bohatera. Gazety donosiły, że w Dacca, stolicy Bangladeszu nazwano jedną z ulic imieniem Jean Kay. Na procesie wystąpił sam Malraux. Powiedział, że kto wie, czy sam, gdyby był młodszy, nie zrobiłby tego samego. Główny zarzut: strzał do policjanta, został zbagatelizowany przez samą ofiarę. Policjant patrząc z widoczną przyjaźnią, a nawet z podziwem na oskarżonego stwierdził, iż jego zdaniem strzał padł przypadkowo, w zamieszaniu. W tych warunkach sąd uwzględnił okoliczności łagodzące i wydał wyrok... z zawieszeniem. Jean

⁵⁵ Jean Kay wydał w sumie dwie książki, o niewielkim zresztą nakładzie: "Z bronią w sercu" i "Szaleńcy wojny". Pierwsza, bardziej intymna, łączy wspomnienia osobiste z rozważaniami autora. Druga jest swoistą apologią świata najemników.

wyszedł na wolność. Wkrótce zniknął z Paryża. Zniknęła również jego żona, czarnowłosa Seta i małeńka Emanuella.

Długo było głucho o romantycznym rozbójniku. Powoli zapominaliśmy o nim. Czasami tylko wracał w rozmowach przyjaciół, gdy przy szklance wina wspominaliśmy dawne czasy, może niebezpieczne i trudne, ale jakże bajecznie kolorowe. Przeważało zdanie, iż policji udało się obezwładnić Jeana tylko dlatego, że był sam i wyczerpany długotrwałym napięciem, jakiego wymagało równoczesne kontrolowanie okolic samolotu i pilnowanie zakładników. Gdyby dopuścił do tajemnicy któregoś z nas! Przecież żaden nie odmówiłby mu pomocy! Ale Jean Kay pozostał takim, jakim był przez całe życie: samotnikiem. A może bał się naszej ironii? W naszym środowisku "twardych ludzi" dwa tylko były dopuszczalne powody do ryzykowania własnej skóry: pieniądze lub idea. Jean działał z litości. I nie zgadł, że pod pozorną gruboskórnością jego przyjaciół znalazłby więcej zrozumienia niż gdziekolwiek indziej, w jakimkolwiek innym środowisku.

I znów zapomnieliśmy o nim. Zajęci zawodowo, struci szarym cywilnym życiem spotykaliśmy się coraz rzadziej, instynktownie broniąc się przed wpadnięciem w "kompleks kombatanta". O niektórych towarzyszach nie mieliśmy żadnych wiadomości. Nie mówiliśmy o nich. Może dlatego, że podświadomie byliśmy przekonani, iż oni, gdzieś w szerokim świecie, kontynuują Wielką Przygodę. Gdy świeża była taka myśl - nurtowała nas zazdrość, do której nie chcieliśmy się przyznać. Każdy z nas przeżył na swój sposób, ale zawsze tragicznie, własne, prywatne "pożegnanie z bronią".

Nadszedł rok 1976. W lipcu wybuchła głośna "afery Dassault", od nazwiska słynnego francuskiego konstruktora samolotów i miliardera. Prawa ręka Marcela Dassault i jego pełnomocnik finansowy Hervé de Vathaire zdefraudował w dziwnych okolicznościach osiem milionów franków. De Vathaire zeznał na swym procesie, iż sumę tę wręczył w zamian za jakieś kompromitujące papiery niejakemu Jean Kay. Marcel Dassault odmówił złożenia skargi nie tylko przeciw swemu pracownikowi, lecz również przeciw rzekomemu szantażyście. Dziwna ta sprawa nigdy nie została do końca wyjaśniona. Mogłoby się wydawać i tak to ówczesnie naświetlała część prasy, że nasz dawny przyjaciel stoczył się na złe drogi, zdobył szantażem pokaźny majątek i pędzi wesołe życie gdzieś w Ameryce Południowej. Wśród nas, którzy znaliśmy Jeana, ta wersja nie miała powodzenia. Węszyliśmy raczej jakąś aferę polityczną. Marcel Dassault był człowiekiem znanym z dobroci, ale przecież nie do tego stopnia, by nie wnieść skargi przeciw defraudantowi, który go zdradził, i szantażyście, który go obrabował z pokaźnej, nawet jak dla miliardera, sumy. Artykuł przeczytany w poczekalni u dentysty utwierdził mnie jeszcze bardziej w przekonaniu, że tak być nie mogło: reporter "Paris Match" znalazł Kay'a nie w luksusowym hotelu w Rio de Janeiro, lecz w nędznej lepiance w najuboższej części Indii. Bez śladu pieniędzy i bogactwa. Więc chyba nasza wersja była słuszna. Przypuszczaliśmy bowiem od początku, że Jean Kay wziął pieniądze nie dla siebie. Najprawdopodobniej sumę tę przeznaczył na zakup broni dla libańskich chrześcijan, wspomaganych przez Izrael, a zagrożonych przez muzułmańskich fanatyków. Wówczas przestaje być dziwne, że Dassault nie złożył skargi. Przypuszczalnie cała sprawa od początku do końca była ukartowana. Jeśli Dassault pragnął pomóc libańskim chrześcijanom, on, miliarder i katolik żydowskiego pochodzenia, nie mógł uczynić tego jawnie w dobie zakazu wywozu dewiz z Francji, a szczególnie w momencie, gdy samoloty Dassault nabywały w większości państwa arabskie. Cóż wtedy łatwiejszego niż dać się okraść? A komu powierzyć pośrednictwo jak nie oddanemu i zaufanemu pracownikowi, za którego uchodził Vathaire. A kto nadawał się lepiej, by załatwić uczciwie zakup broni i przekazać ją pod właściwy adres, jeśli nie Jean Kay?

Czy Jean Kay żyje nadal w Indiach? Czy znalazł wreszcie spokój duszy zagłębiając się w medytacji w kraju, gdzie to nie dziwi nikogo, a gdzie poszukiwanie sensu życia ciągle jeszcze budzi szacunek, a nie drwinę?

POŻEGNANIE Z BRONIĄ

Dziś gazety paryskie reklamują wycieczki turystyczne do północnego Jemenu. Francusko-amerykańskie konsorcjum wykryło ropę naftową w ponoć wystarczających na rentowną eksploatację ilościach. W Sana luksusowe hotele czekają na turystów. Francuskie pismo ekonomiczne donosi, iż Jemen wyposaża się w nowoczesne komputery. Moi zbójcy, z krzywymi kindżałami za pasem, są atrakcją dla zwiedzających. Folklor!

Gdy pod koniec grudnia 1969 roku opuszczaliśmy ten kraj, nastroje były ponure. Najpierw uprzedzono nas, że kontrakty dobiegające końca w lutym 1970 roku nie zostaną odnowione, a w kilka dni później, że... zostały zerwane. Och, nie byliśmy poszkodowani! Arabia Saudyjska wypłaciła co do grosza to, co nam się do końca kontraktów należało. Ale byliśmy rozżaleni, że musimy odjechać w momencie, gdy zwycięstwo zdawało się bliskie. Baliśmy się, że zostaną zmarnowane owoce naszej działalności, że nasz trud, nasz strach, nasz pot i nasze rany, śmierć Georges'a - że to wszystko pójdzie na marne. Baliśmy się również o naszych wojowników-górali, którzy tu zostawali. Baliśmy się o ten piękny, dziki kraj, bo wszyscy wiedzieli, czym jest komunizm i czym kończy się jego wprowadzenie. Dusiło nas przecucie, że nastąpił moment pożegnania z bronią.

W Europie losy rozdzieliły nas szybko. Jedni przeszli do cywila, drudzy szukali dalszych przygód. Czy je znaleźli? Nie wiem. Wśród tych pierwszych znalazłem się i ja. Z żalem. Ale zmusiły mnie okoliczności rodzinne. Trzy i pół roku walczyłem z bolszewizmem tam, gdzie walczyć się dało. Byłem trzy razy ranny. Kilkakrotnie otarłem się o śmierć z bliska. Ale to były niewątpliwie moje najpiękniejsze lata. Lata życia pełną piersią, lata poczucia walki zgodnie z sumieniem.

Bilans? Kongo dziś nazywa się Zair. Dyktatura Mobutu "daleka jest od wzorców demokracji". Ale olbrzymie złoża uranu, kobaltu, miedzi i diamentów nie służą czerwonemu. W jakimś tam maleńkim stopniu jest w tym i moja zasługa. Choćby całą moją działalność sprowadzić do kłucia szpilką. "Milion ukłuć szpilką i słonia zabije" - powiedział Mao. Niech więc każdy chwyta szpilkę i kłuje!

W Jemenie obie walczące strony dogadały się. Nie wiedzieliśmy, opuszczając ten kraj, że rokowania były prowadzone już od miesięcy. Jemen pozostał republiką. Ale nie komunistyczną. Na początku 1970 roku wydano "doradców" sowieckich. Zamknięto sowiecką bazą w Hodeida. W lipcu tegoż roku Jemen Północny wznowił stosunki dyplomatyczne ze Stanami Zjednoczonymi i uzyskał od nich pomoc. 300 tysięcy uchodźców z Południowego, "ludowego" Jemenu napłynęło jeszcze tego samego roku. w 1979 roku Południowy Jemen napadł na Północny, próbując go przyłączyć siłą /na wzór Korei, gdzie się to nie udało, czy też Wietnamu, gdzie, niestety, się powiodło/. Trzysta milionów dolarów pomocy wojskowej od USA. Inwazja załamała się. Zamachy stanu. Kraj jest "daleki od wzorców demokracji". Ale jest wolny. I ma przed sobą przyszłość. I w tym jest również moja maleńka zasługa.

Paryż, kwiecień 1988

SPIS ROZDZIAŁÓW

<u>NAJEMNICY? TO STARE JAK ŚWIAT.....</u>	<u>4</u>
<u>KONGO.....</u>	<u>11</u>
<u>W PRZEDSIONKU WIELKIEJ PRZYGODY.....</u>	<u>11</u>
<u>ZIELONA DŻUNGLA I CZERWONA REWOLUCJA.....</u>	<u>15</u>
<u>MCHAWI MUKUNDU I TRZECH LEGIONISTÓW.....</u>	<u>33</u>
<u>HANYS.....</u>	<u>38</u>
<u>SIERŻANT WIATR.....</u>	<u>40</u>
<u>O KRASICKIM NIE BAJKA.....</u>	<u>43</u>
<u>MOJŻESZ CZOMBE, WÓDZ KATANGI.....</u>	<u>47</u>
<u>JEMEN.....</u>	<u>53</u>
<u>JEMEN? GDZIE TO JEST?.....</u>	<u>53</u>
<u>DŻEDDAH, WROTA ISLAMU.....</u>	<u>57</u>
<u>TROGLODYCI I BEDUINI.....</u>	<u>61</u>
<u>EGIPSKIE MUMIE I SOWIECKIE CZOŁGI.....</u>	<u>70</u>
<u>HONOR SZEIKA HARBA'TASZ.....</u>	<u>75</u>
<u>CZERWONA DŻUMA ZABIJA W JEMENIE.....</u>	<u>81</u>
<u>O ŁOWCACH CZOŁGÓW I SOWIECKIM CUDZIE.....</u>	<u>86</u>
<u>HOTCHKISS-BRANDT I PUŁKOWNIK KOZŁÓW.....</u>	<u>89</u>
<u>GENERAŁ, KTÓRY ZDRADZIŁ.....</u>	<u>96</u>
<u>Z PISTOLETEM I BIBLIA.....</u>	<u>99</u>
<u>POŻEGNANIE Z BRONIA.....</u>	<u>103</u>